Piotr Lisiewicz
NAJPIĘKNIEJSZY DYWERSANT ŚWIATA

Jakub A. Maciejewski
UKRYTY WIRUS ROSYJSKI W DUSZY POLSKIEJ

Stefan Czerniecki
FATIMA. O TYM, CO BYŁO NA POCZĄTKU

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

KTO NASTĘPNY

Przegrana Ukrainy byłaby katastrofą dla NATO

cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #213 05/2024
www.panstwo.net nakład 11 000 indeks 211060 #177 02/2021
OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, FOT. WIKIPEDIA, ADOBE STOCK (6)
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 0e52dac90d

TEMAT NUMERU ▼ 4–13

Przegrana Ukrainy byłaby katastrofą dla NATO / 4

IDEE ▼ 14–29

Postmodernistyczny przepis na społeczeństwo / 14

HISTORIA ▼ 30–56

Najpiękniejszy dywersant świata / 30

KULTURA ▼ 62–69

Sto twarzy Draculi / 62

ŚWIAT ▼ 72–98

Trzeba jedności wolnego świata / 72

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Przegrana Ukrainy byłaby katastrofą dla NATO 4

Piotr Lisiewicz
Ukraina wybrała kiepskiego adwokata. Jak Niemcy nie pozwalają jej wygrać wojny 10

Ryszard Czarnecki
Kijów pokonany, czyli na drodze „Wielkiego Ześlizgu” 13

IDEE

Jacek Rutkowski
Postmodernistyczny przepis na społeczeństwo 14

Jakub A. Maciejewski
Ukryty wirus rosyjski w duszy polskiej 20

Dawid Wildstein
Fałszywi ambasadorowie Żydów 24

Małgorzata Matuszak
Czym jest dzisiaj kobiecość? 27

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Najpiękniejszy dywersant świata 30

Dariusz Jarosiński
Kto wpuścił Czyngis-chana do Europy? 36

Agnieszka Kowalczyk
Jak Polacy zdobyli Monte Cassino. W 80. rocznicę bitwy. Część II 42

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Wariat zawsze musi mieć dzieci” 48

Edmund Charaszkiewicz
Prometeizm i jego niemiecka konkurencja 54

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Sto twarzy Draculi 62

Krzysztof Karnkowski
Jak ogrzać arystokratę? 68

Krzysztof Karnkowski
2tm 2,3 – powrót z pełną mocą 70

ŚWIAT

Z minister Anną Fotygą rozmawia Hanna Shen
Trzeba jedności wolnego świata 72

Antoni Rybczyński
Syndrom hawański cyrylicą pisany, czyli kompromitacja służb Bidena 78

Stefan Czerniecki
Fatima. O tym, co było na początku 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

Antoni Rybczyński
Erdogan przegrał wybory. Początek końca? 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Nikt nie każe nam kochać Ukraińców, ale rozum nakazuje inwestować w ich armię
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Luksus posiadania przedmurza
PAPKULTURA 57

Krzysztof Wołodźko
Rzecz o człowieku szalonym
DZIENNIK LEKTUR 58

Marek Kalinowski
Przewietrzyć country
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67

Małgorzata Matuszak
Czym jest... ciekawość
KATECHIZM INTELIGENTA 71

Ryszard Czarnecki
Senegal pachnący paradoksami
CZARNECKO TO WIDZĘ 77

Tomasz Sakiewicz
Jedni chcą wolności, drudzy świętego spokoju
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŹNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 0e52dac90d

Katarzyna Gójska

Nikt nie każe nam kochać Ukraińców, ale rozum nakazuje inwestować w ich armię

Możemy działać na rzecz uzbrojenia Kijowa, a jednocześnie dbać o nasz interes gospodarczy, bo jedno nie wyklucza drugiego. A wręcz przeciwnie – Polska silna może pomóc bardziej, niż Polska pogrążona w kryzysie i protestach.

W debacie na temat wspierania Ukrainy od początku zbyt dużą rolę odgrywają emocje. Tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny i ujawnieniu rosyjskich zbrodni było to rzecz jasna dużo bardziej zrozumiałe. Szok, lęk i empatia wobec straszliwie dotkniętych barbarzyństwem naszych sąsiadów generowały współczucie i piękną ludzką chęć pomocy, z czasem – gdy przyzwyczajaliśmy się do tej wojny – emocje się zmieniały i wraz z problemami, jakie ta sytuacja musiała wywołać – pojawiały się też postawy negatywne czy mocno krytyczne. Warto jednak odłożyć, na ile to możliwe, odczucia i spojrzeć na sprawę racjonalnie. Przede wszystkim, im dłużej Ukraina walczy, im większe straty zadaje armii Putina, tym mamy więcej czasu, by umocnić zdolności obronne naszego kraju. To zupełnie oczywista diagnoza, jednak zadziwiająco często umyka ona podczas debaty publicznej. Ma ona zastosowanie również do protestu rolników – dziś to obywatele Ukrainy walcząc w straszliwej pozycyjnej wojnie, dają szansę polskim rolnikom na spokojną pracę. To ukraińskie pola zamieniają się w pola minowe, nasze na szczęście nie. Zatem w najlepiej rozumianym polskim interesie jest inwestowanie w obronność naszego wschodniego sąsiada, bo dziś przeznaczamy na to pieniądze, a nie przelewamy krew naszych mężów, ojców czy synów. Rzecz jasna nie możemy pozbyć się racjonalnego oglądu sytuacji – i tu powracamy do rolnictwa. Nawet gdyby jednego dnia Ukraińcy sprzedali w Polsce wszystkie jajka, drób czy miód, w żaden sposób nie wpłynęłoby to na ich zdolności na polu walki. Jakieś firmy (Bóg jeden wie, z czyim kapitałem) nieźle by się obłowiły, ale w najmniejszym stopniu nie wzmocniłoby to armii naszych wschodnich sąsiadów. Zatem mimo świadomości znaczenia walki ukraińskich żołnierzy, bezmyślnością byłaby zgoda na podkopywanie naszej gospodarki, w tym strategicznego sektora rolnego. Możemy działać na rzecz uzbrojenia Kijowa, a jednocześnie dbać o nasz interes gospodarczy, bo jedno nie wyklucza drugiego. A wręcz przeciwnie – Polska silna może pomóc bardziej, niż Polska pogrążona w kryzysie i protestach. O wsparciu dla naszych walczących sąsiadów decyduje polityka, a nie umożliwienie sprzedaży tego czy innego produktu. Z tej perspektywy nieskuteczny jest Donald Tusk, rozganiający protestujących rolników i oskarżający ich o wbijanie noża w plecy Ukraińcom, a skuteczny jest prezydent Andrzej Duda, który w tym samym czasie prowadzi działania dyplomatyczne uwieńczone pozytywną decyzją parlamentu USA w sprawie pomocy dla Kijowa, rozumiejąc jednocześnie problemy, jakie wojna wygenerowała na polskiej wsi. Widać gołym okiem, iż można inwestować w obronę Ukrainy – bo to inwestycja o wielkim znaczeniu dla naszej przyszłości, ale równocześnie trzeźwo i racjonalnie stać na straży naszej gospodarki, bo los naszych wschodnich sąsiadów nie zależy od niczym nieograniczanego importu towarów na nasz rynek, a od decyzji politycznych kluczowych stolic na świecie. Dziś największym zagrożeniem dla utrzymania zdolności bojowych ukraińskiej armii jest nakierowana na utrzymywanie niedoborów amunicji polityka Niemiec, a nie polski sprzeciw wobec ukraińskiej żywności. ■

Dziś największym zagrożeniem dla utrzymania zdolności bojowych ukraińskiej armii jest nakierowana na utrzymywanie niedoborów amunicji polityka Niemiec, a nie polski sprzeciw wobec ukraińskiej żywności.

eprasa.pl 0e52dac90d

To jest istota strategii Putina – zmusić Zachód do popełnienia swoistego samobójstwa politycznego i wywrzeć presję na Ukrainę, by się poddała, choć to my posiadamy wszystkie kluczowe atuty, by Moskwa poległa. Kreml usilnie dąży do tego, aby Stany Zjednoczone wybrały bierność i zaakceptowały fałszywą nieuchronność zwycięstwa Rosji. Główny ciężar działania Moskwy nakierowany jest na zbudowanie fałszywego obrazu konfliktu, aby w ten sposób wpłynąć na strategiczne decyzje Zachodu i doprowadzić do odcięcia pomocy dla Ukrainy.

Przegrana Ukrainy byłaby katastrofą dla NATO

Piotr Grochmalski

eprasa.pl 0e52dac90d

FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, FOT WIKIPEDIA, ADOBE STOCK (6)

Prezydent Litwy, Gitanas Nauseda, nie ma wątpliwości, iż długa rozmowa Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem 18 kwietnia 2024 roku, w której głowa polskiego państwa przekonywała lidera republikanów, że pakiet pomocowy dla Ukrainy jest pilnie potrzebny, dała pozytywny efekt już dwa dni później. Izba Reprezentantów w błyskawicznym tempie przegłosowała w sobotę ustawy pozwalające na wsparcie Ukrainy sumą niemal 61 mld dolarów. Zakończył się trwający od miesięcy impas w amerykańskim kongresie, który wykorzystywała Rosja. Po uzyskaniu dostaw ponad 3 mln sztuk amunicji artyleryjskiej z Korei Północnej, putinowska armia uzyskała dziesięciokrotną przewagę siły ognia na froncie. Wiliam Burns, szef CIA, ostrzegał, że jeśli USA nie wyślą broni, Ukraina może przegrać wojnę do końca tego roku.

Frederick Kagan, jeden z najlepszych amerykańskich analityków komentujących agresję Rosji na Ukrainę, w swojej ocenie z 16 kwietnia br., w raporcie dla Institute for the Study of War, stwierdził, iż: „Niemal niemożliwe jest przecenienie, jak bardzo sukces lub porażka obecnych wysiłków Ukrainy na rzecz odparcia rosyjskiego ataku zmienia perspektywy przyszłego rosyjskiego ataku na północno-wschodnią flankę NATO", a więc także na Polskę.

W marcu 2023 roku wyciekły na Zachodzie dokumenty FSB, które ujawniały plan Putina, gdyby szybko pokonał Ukrainę w lutym 2022 roku. Miał wówczas postawić ultimatum Zachodowi, aby wyraził zgodę na okupację napadniętego państwa. Zażądałby też ustanowienia strefy zakazu lotów nad Polską i krajami bałtyckimi. Potem wywarłby nuklearną presję, aktywując „nuklearną triadę". Miałoby to spowodować wycofanie się kilku krajów z NATO, a także z UE. Według ocen Kremla, wiele krajów zachodnich byłoby tak przerażonych, że zaakceptowałoby nawet ataki rakietowe na Polskę czy kraje bałtyckie. Działania te spowodowałyby fundamentalny upadek Zachodu. Putin miał się spodziewać, że kraje zachodnie apelowałyby do Rosji, aby nie prowadziła wobec nich agresywnych działań, bo nie zamierzają brać udziału w ewentualnej wojnie. W konsekwencji zaledwie w ciągu kilku tygodni Rosja odzyskałaby globalną pozycję porównywalną do tej, jaką posiadał Związek Sowiecki. Ukraina skutecznie zatrzymała drugą armię świata i ośmieszyła plany Putina. Nie zmienia to jednak wysokości stawki w tej dramatycznej grze.

Globalna stawka

W głośnym raporcie trzech komisji Izby Reprezentantów – spraw zagranicznych, sił zbrojnych i do spraw wywiadu – z grudnia 2023 roku pada jasne stwierdzenie, iż wynik tej wojny zadecyduje o przyszłości Zachodu. Jak czytamy: „Rosja i sojusz składający się z Chin, Iranu, pełnomocników Iranu (takich jak Hamas i Hezbollah) oraz Korei Północnej współpracują, aby podważyć amerykańskie interesy na całym świecie. Ich celem jest osłabienie gospodarki USA, złamanie kluczowych sojuszy i ustanowienie nowego totalitarnego porządku światowego. Od czasów II wojny światowej Stany Zjednoczone nie stanęły w obliczu bardziej niebezpiecznego szeregu przeciwników".

Raport pokazuje, iż zwycięstwo Ukrainy leży w interesie narodowym USA i Zachodu. We wstępie do niego czytamy: „Nie dajcie się zwieść, wsparcie USA dla Ukrainy to nie działalność charytatywna. Po katastrofalnym wycofaniu się prezydenta Bidena z Afganistanu wsparcie Ukrainy w pokonaniu sił najeźdźców Putina ma kluczowe znaczenie dla przywrócenia amerykańskiego odstraszania w Europie, na Bliskim Wschodzie i w regionie Indo-Pacyfiku. Nasi przeciwnicy patrzą na to, a proponowany plan zwycięstwa zapewni Ukrainie możliwość poczynienia niezbędnych postępów na polu bitwy, aby zmusić Putina do stołu negocjacyjnego. W przeciwnym razie próżnia władzy związana ze zwycięstwem Putina na Ukrainie zapoczątkowałaby bardziej niebezpieczny świat dla Stanów Zjednoczonych oraz naszych sojuszników i partnerów".

Wiemy też, jakie były warunki Putina zakończenia wojny, które przedstawione zostały Ukrainie w kwietniu 2022 roku w trakcie tajnych rokowań, które rozpoczęły się 28 lutego w jednej z wiejskich rezydencji Łukaszenki w pobliżu wsi Łaskawicze, około 50 km od granicy białorusko-ukraińskiej, a potem przeniosły się do Kamjanuk na Białorusi, tuż przy granicy z Polską. Traktat miał ogłosić Ukrainę państwem trwale neutralnym i nienuklearnym, wyrzekającym się wszelkich zamiarów przyłączenia się do sojuszy wojskowych lub zezwolenia na obecność obcych baz wojskowych lub oddziałów na jej terytorium. Rosjanie godzili się na szkieletową armię ukraińską, która miałaby liczyć maksymalnie 85 tys. żołnierzy, 342 czołgi i posiadającą na swym wyposażeniu rakiety, których zasięg byłby poniżej 40 km.

Liczy się każdy dzień

Po decyzji Izby Reprezentantów, otwierającej drogę dla pomocy Ukrainie, liczy się każdy dzień. W ciągu kilku dni pakiet ustaw przyjmie z pewnością Senat, a potem, po podpisie prezydenta Bidena, Amerykanie wyślą mostem powietrznym tony sprzętu i amunicji, które były już przygotowane do wysyłki. Liczy się każdy dzień. Analitycy Institute for the Study of War uważają, iż „wznowienie pomocy USA w zakresie bezpieczeństwa dla Ukrainy jest krytycznym punktem zwrotnym wojny na Ukrainie, ale Kreml, Zachód i Ukraina muszą jeszcze podjąć dodatkowe decyzje, które zadecydują o charakterze i wyniku walk". Podkreślają: „W nadchodzących tygodniach siły rosyjskie prawdopodobnie zintensyfikują

eprasa.pl 0e52dac90d

trwające operacje ofensywne oraz ataki rakietowe i dronowe, aby wykorzystać zamykające się okno ukraińskich ograniczeń sprzętowych". Wszystko wskazuje na to, iż jeden z najbardziej krytycznych momentów tej wojny został przezwyciężony. Wywołało to furię na Kremlu, a Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, stwierdziła z irytacją na kanale Telegram, że „Pomoc wojskowa przeznaczona przez Stany Zjednoczone dla Ukrainy, Izraela i Tajwanu zaostrzy światowe kryzysy, ponieważ pomoc wojskowa dla reżimu w Kijowie stanowi bezpośrednie wsparcie finansowe działalności terrorystycznej, [pomoc] dla Tajwanu stanowi ingerencję w wewnętrzne sprawy Chin, [a dla] Izraela to bezpośrednia droga do bezprecedensowej eskalacji w regionie".

Ukraina wygra, jeśli Zachód nie da się oszukać Rosji

Putin wie, że nie ma żadnych szans na zwycięstwo, jeśli nie dokona wielkiego oszustwa. A jednak udało mu się ugruntować, w ramach wielkiej operacji informacyjnej, pogląd na Zachodzie, że tej wojny nie da się wygrać z powodu rzekomej, urojonej dominacji Rosji. Dla Kremla to jest jedyna realna szansa na uniknięcie katastrofy. To jest istota strategii Putina – zmusić Zachód do popełnienia swoistego samobójstwa politycznego i wywrzeć presję na Ukrainę, by się poddała, choć to my posiadamy wszystkie kluczowe atuty, by Moskwa poległa. Kreml usilnie dąży do tego, aby Stany Zjednoczone wybrały bierność i zaakceptowały fałszywą nieuchronność zwycięstwa Rosji. Główny ciężar działania Moskwy nakierowany jest na zbudowanie fałszywego obrazu konfliktu, aby w ten sposób wpłynąć na strategiczne decyzje Zachodu i doprowadzić do odcięcia pomocy dla Ukrainy.

Siergiej Karaganow, jeden z kluczowych strategów z kręgu Putina, już w czerwcu 2023 roku przekonywał, iż Rosja winna dokonać taktycznego uderzenia atomowego na Poznań, aby otrzeźwić NATO i zmusić je, pod groźbą eskalacji nuklearnego konfliktu, do zaprzestania wsparcia dla Ukrainy. Był to element owej operacji informacyjnej obliczonej na oddziaływanie na zachodnią opinię publiczną, aby zwiększyła się presja na polityków. Były prezydent USA Bill Clinton rok temu, 4 kwietnia 2023 roku, a więc dokładnie w 74. rocznicę ustanowienia NATO, przepraszał za strategiczny błąd, jakim było nakłonienie przez niego Ukrainy w 1994 roku, by przekazała swój ogromny, trzeci pod względem wielkości na świecie, arsenał atomowy Rosji. Słusznie twierdzi dziś, że gdyby Kijów tak nie postąpił, nie byłoby dziś tej wojny. Gwarancje nienaruszalności swego terytorium, jakie Ukraina otrzymała od Rosji, Wielkiej Brytanii i USA, okazały się zwykłym świstkiem papieru. Clinton i John Major, brytyjski szef rządu, dali się dziecinnie ograć. To pokazuje długofalowe skutki naiwnych decyzji. Putin liczy, że także tym razem ogra Zachód.

Ale z tego wynikają jednoznaczne wnioski dla Polski – musimy domagać się objęcia nas, i innych państw wschodniej flanki NATO – w tym Finlandii i Szwecji (które coraz bardziej skłaniają się do tego), taktyczną bronią atomową w ramach Nuclear Sharing. Trzeźwiący głos w dyskusji na temat ukraińskiej wojny przedstawił amerykański Institute for the Study of War (ISW). Jego analitycy, Frederick W. Kagan, Natalia Bugajowa i Katerina Stiepanienko, w artykule z 27 marca 2024 roku „rozebrali do naga" kremlowską strategię. Jak stwierdzają: „Rosja nie może pokonać Ukrainy ani Zachodu – i prawdopodobnie przegra – jeśli Zachód zmobilizuje swoje zasoby, aby stawić opór Kremlowi. Istniejące i ukryte możliwości Zachodu przyćmiewają zasoby Rosji. Łączny produkt krajowy brutto (PKB) krajów NATO, państw Unii Europejskiej nienależących do NATO i naszych azjatyckich sojuszników wynosi ponad 63 biliony dolarów. Rosyjski PKB jest bliski wartości 1,9 biliona dolarów. Iran i Korea Północna niewiele wnoszą w zakresie wsparcia materialnego. Chiny zapewniają ciche wsparcie Rosji, ale [...] jest mało prawdopodobne, że otwarcie to zrobią. Jeśli pochylimy się i przyspieszymy, Rosja przegra".

Rosyjskie oszustwo

Jak zauważają autorzy: „Manipulacja percepcją to jedna z podstawowych zdolności Kremla, obecnie wykorzystywana z pełną siłą wobec zachodniej opinii publicznej jako jedyna strategia Kremla pozwalająca na zwycięstwo na Ukrainie". Ma ona zdumiewające podobieństwa do tworzenia owej rzeczywistości urojonej przez ekipę Donalda Tuska w Polsce. Według analityków ISW, Kreml stara się narzucić Zachodowi dwa fałszywe twierdzenia. Po pierwsze, że oczywiste jest, iż Ukraina nie może wygrać tej wojny, a jej wspieranie odwraca jedynie uwagę od „prawdziwych" problemów USA. Nie ma to sensu, bo Kijów i tak prędzej czy później polegnie, a Stanom Zjednoczonym, jeśli się z tym nie pogodzą, grozi ugrzęźnięcie w kolejnej, „wiecznej" wojnie. Po drugie, ryzyko wspierania Ukrainy aby ją obronić, nie mówiąc już o doprowadzeniu do jej zwycięstwa, jest zdecydowanie wyższe dla USA od kosztów porażki Kijowa. Poza tym Ukraina nie jest tego warta. Akurat w obu przypadkach jest odwrotnie. Zachód jest skazany na zwycięstwo. Ma gigantyczną przewagę gospodarczą. W czasach zimnej wojny zasoby ZSRS stanowiły około połowę amerykańskiego PKB. Dziś jest to kolosalna przepaść. Zwycięstwo jest jedynie kwestią woli i determinacji Zachodu. Ponadto przegrana wywołałaby katastrofę regionalną i globalną, bo suwerenna Ukraina jest kluczem do europejskiego bezpieczeństwa, ale jest też ściśle powiązana ze strategicznym dylematem tajwańskim w relacjach amerykańskio-chińskich.

Rosjanie w budowie owego obrazu zakłamanej rzeczywistości mają stosować metody „kontroli refleksyj-

eprasa.pl 0e52dac90d

nej", sowieckiej wersji teorii gier, wypracowanej przez psychologa matematycznego Władimira Lefewra w Związku Sowieckim, który w 1974 roku wyemigrował do USA. Przykładem takich fałszywych stwierdzeń jest forsowanie narracji, iż dyskurs na temat przyjęcia Ukrainy do NATO stanowi bezpośrednie zagrożenie dla Rosji. Połączone zostało ono z innym kreowanym „pseudofaktem", iż Ukraina nie jest prawdziwym krajem, lecz stanowi jedynie część FR. Dlatego Kreml ma prawo do agresji na to terytorium, bo jest to swoisty „problem wewnętrzny". Innym kłamstwem, forsowanym w ramach kontroli refleksyjnej, jest stwierdzenie, że Rosja ma rzekomo prawo do samodzielnego określania swojej strefy wpływów, w obrębie której może robić wszystko, co chce – od mordów i czystek etnicznych po totalne niszczenie infrastruktury i jej grabież. Analitycy ISW dekonspirują rosyjską strategię wojny informacyjnej. Podkreślają, iż Kreml zmusza „Zachód do poświęcenia energii na równie nieistotną dyskusję na temat tego, czy Ukraina ma »prawo« do bycia państwem, czy narodem. Żaden kraj mający siedzibę w Organizacji Narodów Zjednoczonych i uznawany przez przeważającą większość państw na świecie nie ma obowiązku udowadniania swojego prawa do istnienia, niezależnie od tego, jak małe lub etnicznie podobne byłoby do innego państwa. Zasada ta ma kluczowe znaczenie dla obecnego porządku światowego, a jej zniszczenie otworzyłoby wrota wojny na całym świecie, ponieważ drapieżniki wykorzystywały takie rozumowanie do usprawiedliwiania ataków na potencjalną ofiarę. Jednak zalew fałszywych rosyjskich narracji zmusza nas do angażowania się w takie nieistotne kwestie, zamiast skupiać się na strategiach wygrywających wojnę i naszych interesach".

▶ Mapa rozbiorowa i „pokojowa" propozycja Miedwiediewa

Taki jest rzeczywisty powód owych operacji informacyjnych co rusz odpalanych przez Kreml. Tak było choćby w przypadku Dmitrija Miedwiediewa, byłego prezydenta FR, a teraz wiceszefa Rady Bezpieczeństwa, który 4 marca 2024 roku, podczas Rosyjskiego Światowego Dnia Młodzieży wygłosił wykład o granicach geograficznych i strategicznych Rosji na tle rzekomo przyszłej mapy Europy Wschodniej (jest ona dostępna na jego kanale Telegram od lipca 2022 roku). Według Miedwiediewa, zachodnia Ukraina ma znaleźć się pod kontrolą Węgier, Polski i Rumunii – co ma utrwalać budowaną przez Kreml narrację, że rzekomo te państwa NATO toczą „spory terytorialne" o te ziemie. Na tej mapie Ukraina ma być zredukowana do obwodu kijowskiego. Pozostałe jej ziemie mają być wchłonięte przez Moskwę. Wykorzystanie przez Miedwiediewa mapy z pierwszego okresu wojny wskazuje, że Kreml nie rezygnuje z maksymalnych celów terytorialnych. Przy czym powtórzył wówczas stwierdzenie Putina, iż tak naprawdę „granice Rosji nigdzie się nie kończą". Zaznaczył przy tym, iż koncepcja suwerennego państwa ukraińskiego i ukraińskiej tożsamości narodowej, która nie jest rosyjska, muszą „zniknąć na zawsze".

A 14 marca Miedwiediew zaproponował „formułę pokojową" zakończenia wojny, która w istocie była ofertą całkowitej kapitulacji Ukrainy. Przedstawił siedem punktów tej „formuły pokojowej", którą określił jako „ludzką" i „miękką". Punkty obejmują: uznanie przez Ukrainę swojej porażki militarnej, całkowitą i bezwarunkową kapitulację Ukrainy oraz pełną „demilitaryzację"; uznanie przez całą społeczność międzynarodową „nazistowskiego charakteru" Ukrainy i „denazyfikacji" ukraińskiego rządu; oświadczenie Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ) pozbawiające Ukrainę statusu suwerennego państwa na mocy prawa międzynarodowego oraz oświadczenie, że jakimkolwiek państwom-następcom Ukrainy nie będzie wolno przyłączać się do jakichkolwiek sojuszy wojskowych bez zgody Rosji; dymisja wszystkich władz ukraińskich i natychmiastowe tymczasowe wybory parlamentarne; ukraińskie reparacje wypłacone Rosji; oficjalne uznanie przez parlament tymczasowy, który zostanie wybrany po rezygnacji obecnego rządu Ukrainy, że całe terytorium Ukrainy jest częścią Rosji i przyjęciu aktu „zjednoczenia" włączającego terytorium Ukrainy do Federacji Rosyjskiej; rozwiązanie tego tymczasowego parlamentu i akceptacja przez ONZ „ponownego zjednoczenia" Ukrainy z Rosją. Uderza podobieństwo pierwszych punktów owej „propozycji pokojowej" do treści wystąpienia Putina, gdy ogłaszając inwazję 24 lutego 2022 roku, jako główne cele Rosji na Ukrainie określił pełną „demilitaryzację" i „denazyfikację" .

▶ NATO i Rosja w „bezpośredniej konfrontacji"

W ramach „kontroli refleksyjnej" idą kolejne fale uderzeń informacyjnych, które mają pogłębiać fałszywy obraz rzeczywistości. Nagle 4 kwietnia, a więc dokładnie w dzień 75. rocznicy powstania NATO, szczekacz Kremla, Dmitrij Pieskow, ogłosił na cały świat, że NATO i Rosja znajdują się już w „bezpośredniej konfrontacji" i że Sojusz „jest już zaangażowany w konflikt wokół Ukrainy" (zaledwie 18 marca Putin stwierdził, że wojna na pełną skalę pomiędzy NATO a Rosją jest niepożądana, ale możliwa). W ten ton narracji wpisał się szef Sztabu Generalnego, gen. Walerij Gierasimow, który na spotkaniu szefów sztabów generalnych państw członkowskich WNP ostrzegał, iż Zachód konsekwentnie niszczy „fundamenty strategicznej stabilności i instytucji bezpieczeństwa międzynarodowego". Finansuje też międzynarodowy terroryzm. A Siergiej Szojgu, szef resortu obrony, który – także 4 kwietnia – odbył telefoniczną rozmowę z ministrem obrony Francji Sebastienem Lecornu, miał

eprasa.pl 0e52dac90d

w jej trakcie zagrozić, że potencjalne rozmieszczenie wojsk francuskich na Ukrainie „stworzy problemy samej Francji" w odpowiedzi na oświadczenie francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona z 16 marca, że „być może w pewnym momencie" konieczne będzie działanie wojsk francuskich na Ukrainie.

Według analityków ISW, Christiny Harward, Nicole Wolkov, Angeliki Evans, Rileya Baileya i Karoliny Hird, „Próby Szojgu grożenia Francji i powstrzymania dalszego wsparcia Zachodu dla Ukrainy przy jednoczesnym udawaniu zainteresowania negocjacjami pokojowymi są częścią szerszej rosyjskiej operacji informacyjnej, mającej na celu przekonanie krajów zachodnich do wepchnięcia Ukrainy w niekorzystną sytuację i nierówne negocjacje na warunkach rosyjskich". Elementem tej gry, która miała rzekomo ukazać gotowość Rosji do negocjacji, było wystąpienie tego samego dnia, 4 kwietnia, Siergieja Ławrowa, szefa putionowskiego resortu spraw zagranicznych, na spotkaniu z grupą niezachodnich ambasadorów. Ten notoryczny kłamca stwierdził, że Moskwa jest gotowa siadać do rozmów pokojowych w każdej chwili, ale na własnych warunkach. Zgodnie z założeniami owej „kontroli refleksyjnej" ogłosił, że to Ukraina rozpoczęła wojnę w 2014 roku, a teraz była zaangażowana w niedawny atak terrorystyczny na przedmieściach Moskwy.

W rosyjskiej strategii wojny informacyjnej szczególne znaczenie przypada pojęciu pokoju, który w interpretacji Kremla ma oznaczać poddanie się Ukrainy według formuły Miedwiediewa. Wspomniani wcześniej analitycy ISW, Frederick W. Kagan, N. Bugajowa i K. Stiepanienko, zwracają uwagę, jak prymitywnie skuteczna jest owa rosyjska metoda przejmowania pojęć i nadawania im innego znaczenia, korzystnego dla Moskwy. Jak podkreślają: „Zachód w sposób naturalny i zrozumiały skłania się ku pokojowi. Naszym domyślnym instynktem jest wykorzystanie pierwszej okazji w każdym konflikcie, aby »zaprzestać walki«. Kreml opanował umiejętność wykorzystywania zachodnich skłonności do pokoju jako ratunku w wojnach prowadzonych w Rosji – od Syrii po Ukrainę". Tę metodę „pokojowej nienawiści" czy „zabójczego uśmiechu" zapożyczył Tusk właśnie od putinowskiej propagandy. W przypadku Tuska ów deklarowany pokój społeczny ma nastąpić po wyniszczeniu opozycji, jej totalnej kapitulacji, a więc podobnie jak w ideologii Kremla – od początku wojny w 2022 roku zawsze „pokój'" zawiera żądanie zniszczenia suwerenności Ukrainy. Analitycy ISW zwracają uwagę, iż „Używanie przez Kreml terminu »pokój« jest niezgodne z jego działaniami, w tym z kampanią Rosji na rzecz wykorzenienia ukraińskiej tożsamości na okupowanych terytoriach. Wykorzystywanie przez Kreml zachodniego argumentu na rzecz »powstrzymania rozlewu krwi« kryje w sobie jeszcze jeden krytyczny niuans. Zaprzestanie walk nie powstrzymuje zabijania, jeśli chodzi o Rosję. Zabijanie trwa w rosyjskich izbach tortur na terytorium okupowanym przez Rosję – jest to proces mniej widoczny dla zachodniej opinii publicznej".

Tusk a Putin

Istnieje zdumiewająca zbieżność techniki narracyjnej realizowanej przez reżim 13 grudnia w Polsce ze strategią „kontroli refleksyjnej" Putina. W przypadku ekipy Tuska owym przejętym i zmanipulowanym pojęciem jest rzekome „przywracanie praworządności", a w przypadku Kremla owa manipulacja pojęciem „pokoju". Putin chce rękami Zachodu wymusić kapitulację Ukrainy, bo ma świadomość, iż nie jest w stanie tego samodzielnie osiągnąć militarnie. Jak zauważają analitycy ISW: „Kiedy Kreml »sygnalizuje pokój«, w rzeczywistości sygnalizuje żądanie kapitulacji Ukrainy i Zachodu. Niemniej zachodnia debata w dalszym ciągu toczy się wokół fałszywych propozycji Kremla na rzecz »pokoju«, pomimo całkowitego braku dowodów potwierdzających jakąkolwiek rozsądną ocenę, że pozwolenie Kremlowi na zamrożenie linii na Ukrainie może prowadzić raczej do pokoju niż do dalszej wojny".

Równie niebezpieczna jest manipulacja, jakiej dokonuje Putin, forsując przekonanie, iż ukraiński opór wobec rosyjskiej agresji jest przyczyną eskalacji wojny (i znów ten sam mechanizm wykorzystał Tusk do obciążania PiS odpowiedzialnością za eskalację politycznej nienawiści do przeciwnika). Oczywiste jest, iż Rosja napadła na Ukrainę, która postanowiła bronić swej państwowości. Jak zwracają uwagę analitycy ISW: „Działania Ukrainy polegają na przeciwstawianiu się śmierci, okupacji i okrucieństwom ze strony sił rosyjskich. Jednak w zachodniej debacie okresowo oskarża się Ukrainę (lub sam Zachód) o »eskalację« lub »przedłużanie wojny«. Kreml ogromnie zainwestował w ukazywanie Ukrainy – i każdego, kto ośmieli się stawić opór Kremlowi – jako agresora (i Rosji jako ofiary). Legitymizacja przez Zachód Rosji, strony wojującej na Ukrainie od 2014 roku, jako mediatora w porozumieniach mińskich dała także Kremlowi osiem lat na fałszywe określanie jako „ukraińską agresję" wszelkich ukraińskich działań w ramach samoobrony lub niechęci do podporządkowania się woli Kremla. Zwraca uwagę podobieństwo do mechanizmu zastosowanego przez Berlin wobec proniemieckiej opcji w Polsce. Długoletnia legitymizacja Tuska jako człowieka, który ma rzekomo „przywracać praworządność", pozwala mu na totalną masakrę instytucji państwa polskiego. W przypadku Putina jedno wydaje się oczywiste – Ukraina może zostać pokonana przez Rosję jedynie wówczas, gdy Zachód poda ją na tacy Putinowi. A to oznaczałoby nie tylko koniec NATO, lecz także katastrofę dla całej Europy. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Ukraina wybrała kiepskiego adwokata. Jak Niemcy nie pozwalają jej wygrać wojny

„Nie będę tym, który wbije nóż w plecy Ukrainie" – te słowa Donalda Tuska o rolniczych blokadach na ukraińskiej granicy były przejawem wyjątkowej hipokryzji. Bo gdyby nawet Polska wykupiła całą pszenicę, rzepak i mrożone maliny od działających na Ukrainie międzynarodowych oligarchów, nie zmieniłoby to sytuacji na froncie. Zmienić mogły ją wielokrotnie Niemcy, których politykę realizuje Tusk. Gdyby kanclerz Olaf Scholz nie odmawiał uparcie przekazania Ukrainie pocisków manewrujących Taurus, o zasięgu 500 kilometrów. Nie chce tego również niemiecka opinia publiczna. A niektórzy przedstawiciele obozu rządzącego w Niemczech mówią wprost o potrzebie „mrożenia" wojny czy popierają rosyjski scenariusz.

Piotr Lisiewicz

eprasa.pl 0e52da690d

12 listopada 2022 roku prezydent Wołodymyr Zełenski odznaczył dziennikarkę TVN Biankę Zalewską. Wyróżniona została demonstracyjnie przedstawicielka telewizji, której główny program informacyjny „Fakty" zachęcał wcześniej Ukrainę, by zrezygnowała z części swojego terytorium. Podając jej jako przykład Finlandię, która po II wojnie światowej bogaciła się, mimo utraty Karelii. Odznaczenie dla dziennikarki TVN było drobnym incydentem zwiastującym proniemiecki zwrot Ukrainy.

Miałem wtedy okazję rozmawiać z jednym z naszych ukraińskich przyjaciół, który tłumaczył mi motywacje ukraińskich władz, z którymi osobiście się nie zgadzał: „Wy jesteście od wielu lat w NATO i UE, jesteście częścią Zachodu, przyzwyczailiście się do tego, do mechanizmów rządzących w UE zdążyliście się nawet zniechęcić. Perspektywa Ukraińców jest inna. My tego wszystkiego nie mamy, a teraz Niemcy nam to obiecują. Ja im nie wierzę, ale rozumiem nasze władze, że nie są w stanie odrzucić takiej propozycji. Że zostaniemy przez Niemcy znowu oszukani? Pewnie tak, ale wielu Ukraińców woli wierzyć w lepszy scenariusz".

▶ Szef klubu SPD szokuje. Chce „zamrozić" wojnę na Ukrainie

Z perspektywy maja 2024 roku widać już, że faktycznie Ukraińcy zostali oszukani. To prezydent Andrzej Duda, rozmawiając z Donaldem Trumpem 18 kwietnia 2024 roku, przekonał byłego prezydenta, by część republikanów zagłosowała za przekazaniem Ukrainie pomocy wartej 61 mld dolarów, bez której nie wygra ona wojny.

A niemiecki adwokat? Paradoksalnie partią najbardziej proukraińską w Niemczech jest dziś CDU, którą do 2018 roku kierowała wymieniająca z Putinem uściski kanclerz Angela Merkel. Ma to o tyle niewielkie znaczenie, że partia ta jest dziś w opozycji. 14 marca 2024 roku Bundestag po raz kolejny odrzucił wniosek frakcji CDU/CSU o wyrażenie zgody na dostawy pocisków manewrujących dalekiego zasięgu Taurus dla Ukrainy. W trakcie dyskusji na ten temat przewodniczący klubu parlamentarnego SPD, partii, z której wywodzi się Olaf Scholz, Rolf Mützenich, skrytykował inicjatywę opozycji i wygłosił bulwersujące słowa o „zamrożeniu i zakończeniu" wojny na Ukrainie.

Andrij Melnyk, były ambasador Ukrainy w Niemczech, na platformie X napisał w odpowiedzi: „Zawsze mówiłem: ten facet był i pozostaje najbardziej odrażającym niemieckim politykiem". Szefa klubu parlamentarnego SDP skrytykowali koalicjanci. Deputowana liberalnej partii FDP Marie-Agnes Strack-Zimmermann mówiła w radiu Deutschlandfunk: „Jestem pewna, że Ukraina była tak samo przerażona, jak my wszyscy w Bundestagu, kiedy to usłyszeliśmy". Liderka Partii Zielonych Ricarda Lang skrytykowała szefa klubu SDP, mówiąc, że jego przemówienie w Bundestagu było powrotem do starej polityki socjaldemokracji wobec Rosji: „Oczywiste jest, że »zamrożenie« tego konfliktu ostatecznie doprowadziłoby do niewyobrażalnego cierpienia wielu ludzi na okupowanych terytoriach".

Czy było to oburzenie oraz odcinanie się w każdym przypadku szczere? Ekspert CDU ds. polityki zagranicznej Roderich Kiesewetter ocenił, że nie. Stwierdził, że oświadczenie Muetzenicha zostało uzgodnione z Urzędem Kanclerskim. Inicjatywa ta była „balonem próbnym", który ujawnił ogólne stanowisko SPD. W jego ocenie pomysł „zamrożenia" konfliktu pokazał, że SPD nadal ma romantyczny stosunek do Rosji, „który teraz dogania (obywateli) Niemiec w straszny sposób".

▶ Scholz nie da Ukrainie taurusów. Bo są skuteczne

W praktyce jednak mamy do czynienia z polityką, której skutki, w przypadku braku amerykańskiej pomocy, byłyby jeszcze gorsze od „zamrożenia" wojny. Czyli zwycięstwo Rosji.

Ukraina zwróciła się do rządu Niemiec o dostarczenie pocisków dalekiego zasięgu Taurus już 29 maja 2023 roku. Problem Niemiec z taurusami, na których dostarczenie Ukrainie nie wyraził zgody w połowie marca 2024 roku Bundestag, polega na tym, że w rękach Ukraińców byłaby to broń… skuteczna. Zasięg 500 kilometrów umożliwiłby im nawet ostrzał Moskwy, do której z jej terytorium jest 450 kilometrów. Ale przede wszystkim skończyłby się bezkarny ostrzał terytorium Ukrainy z terytorium Rosji.

Tymczasem niemieckie podejście do konfliktu zabrania dostarczania Ukrainie broni mogącej zrobić Rosji znaczącą krzywdę. Kanclerz Scholz, uzasadniając tę odmowę 14 marca w Bundestagu, stwierdził: „Jako kanclerz mam obowiązek zapobiec zaangażowaniu Niemiec w tę wojnę". Dodał, że to byłoby bezpośrednie wciągnięcie Niemiec do wojny. „Rozwaga nie jest czymś, co można scharakteryzować jako słabość, jak niektórzy to robią, ale rozwaga jest tym, do czego obywatele tego kraju mają prawo" – filozofował Scholz.

Sondaż przeprowadzony dla agencji DPA przez instytut badania opinii YouGov 6 marca pokazał,

FOT. MICHAEL KAPPELER/AP/DPA

eprasa.pl 0e52dac90d

że podobnie myśli większość niemieckich wyborców. Za dostawą taurusów opowiedziało się jedynie 28 proc. obywateli; 58 proc. było przeciw. Z tych 58 proc. ponad połowa, bo 31 proc., opowiedziała się w ogóle przeciw dostawom niemieckiej broni do Ukrainy! 14 proc. nie miało zdania. Co gorsza, sprzeciw wobec sprzedaży taurusów w kraju, mającym być adwokatem Ukrainy, nie maleje, a szybko rośnie. W badaniu przeprowadzonym w lutym, przeciw ich przekazaniu było 49 proc. obywateli.

Niemcy nie chcą brytyjskiej pomocy

W tej sytuacji z pomocą Scholzowi przyszli Brytyjczycy, którzy zadeklarowali, że chętnie dostarczą Ukrainie analogiczne pociski, jeśli Niemcy pójdą z nimi na wymianę. Brytyjski minister spraw zagranicznych David Cameron zaoferował Niemcom wsparcie w dostawie taurusów na Ukrainę. „Jesteśmy zdecydowani, zarówno w tej kwestii, jak i we wszystkich innych, ściśle współpracować z naszymi niemieckimi partnerami, aby pomóc Ukrainie" – powiedział Cameron dla „Süddeutsche Zeitung". Jak stwierdził, możliwa byłaby na przykład wymiana okrężna, w ramach której Niemcy przekazują Wielkiej Brytanii pociski manewrujące Taurus, a Londyn z kolei dostarcza Ukrainie dodatkowe pociski typu Storm Shadow.

Taurus jest bowiem uznawany za odpowiednik brytyjskich pocisków Storm Shadow, które zostały już wcześniej dostarczone na Ukrainę i pozwoliły jej oddziałom atakować wojska rosyjskie daleko za linią frontu. Siły Zbrojne Ukrainy użyły ich w czasie ataku na Ługańsk, który wcześniej był poza zasięgiem rażenia strony ukraińskiej. „Jesteśmy gotowi rozważyć wszystkie opcje, aby osiągnąć maksymalny efekt dla Ukrainy" – zaznaczył Cameron. Stwierdził, iż odrzuca obawy, że dostawa pocisków manewrujących może doprowadzić do eskalacji wojny. Jego zdaniem „absolutnie możliwe jest ustalenie ograniczeń w użyciu tych broni, aby zapewnić, że w żaden sposób nie przyczynią się do eskalacji".

Niemieckie słowo roku

W tym samym czasie, w którym Niemcy nie chcą skutecznie pomagać Ukrainie, bardzo ochoczo wzięły się one do czerpania zysków gospodarczych, jakie obiecały im w zamian za pomoc władze tego kraju. Jak pisze w swojej analizie Tadeusz Iwański z Ośrodka Studiów Wschodnich, „Ukraina chętnie przyczyni się do sukcesu Zeitenwende w sferze gospodarczej, przyjmując inwestycje w zieloną energetykę (wodór) i infrastrukturę w ramach odbudowy kraju oraz oferując niemieckiemu biznesowi perspektywę zysków kosztem objętej sankcjami Rosji".

Słowo „Zeitenwende" zostało wybrane przez Towarzystwo Języka Niemieckiego słowem roku 2022 w Niemczech. Pochodziło ono z przemówienia Olafa Scholza, który powiedział: „Rosyjska inwazja na Ukrainę wyznacza »Zeitenwende« (punkt zwrotny, dosłownie: przełom czasów). Zagraża całemu naszemu powojennemu porządkowi". Według Iwańskiego, poparcie Ukraińców dla zbliżenia z Niemcami było duże, „choć Kijów ma świadomość, że przyspieszenie przekazywania uzbrojenia nie oznacza faktycznego przekonania Berlina do pokoju na ukraińskich warunkach, to możliwość pozyskania konkretnej pomocy, nieodzownej do kontynuowania oporu wobec najeźdźców, wygrywa z wątpliwościami". Jak się okazało, nawet te oczekiwania były na wyrost, bo pomocy „nieodzownej" Ukraina nie dostaje.

A Tusk broni malin międzynarodowych oligarchów

Gdy wybuchły rolnicze protesty, Donald Tusk w cytowanym już przemówieniu na konwencji Koalicji Obywatelskiej w Krakowie mówił: „Ja nie zablokuję granicy z Ukrainą w sytuacji, gdy w ciągu tych miesięcy rozstrzygają się losy Ukrainy". Dodał, że nie pozwoli „nikomu" zaszkodzić Ukrainie. Nie dodał, że od tego „nikomu" jest jeden wyjątek – jego niemieccy patroni.

Gdy Andrzej Duda przekonał Donalda Trumpa do przegłosowania przez republikanów pomocy Ukrainie przez Kongres Stanów Zjednoczonych, także w Niemczech rozległy się głosy krytyczne w sprawie sabotowania przez Berlin pomocy dla Kijowa. „Po przegłosowaniu wielomiliardowego pakietu wsparcia USA dla Ukrainy, także w Niemczech rośnie presja, by zwiększyć pomoc dla Kijowa" – pisał „Sueddeutsche Zeitung". „Także niemiecki rząd nie ma już wymówek, by się wahać i zwlekać"– powiedział na tych samych łamach polityk opozycyjnej chadecji Juergen Hardt. „Ukraina musi wygrać tę wojnę, aby Europa mogła żyć w wolności. Brakuje mi takich słów ze strony niemieckiego kanclerza" – dodał.

Ale znów pojawiła się w koalicji rządowej kontra do tych wypowiedzi. Minister finansów z FDP stwierdził, że to inne kraje powinny bardziej wspierać Ukrainę, a Niemcy „wspierają ten kraj w sposób… wzorowy". ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Ryszard Czarnecki

Kijów pokonany, czyli na drodze „Wielkiego Ześlizgu”

Porażka Kijowa ośmieli Rosję do kolejnych takich „operacji militarnych”, których celem jest poszerzenie jej terytorium.

Ukraina nie powinna przegrać tej wojny. Ukraina obroni niepodległość. Ukraina może nie obronić swojej integralności terytorialnej. Jaka jest więc definicja porażki Kijowa? Czy zajęcie całego terytorium państwowego naszego wschodniego sąsiada? Nie wydaje się to możliwe. Czy dojście przez Rosjan do stolicy kraju i jej okupacja? To też, w wymiarze militarnym, nie wydaje się być specjalnie prawdopodobne. Czy też za porażkę uznamy zajęcie całego obwodu donieckiego (co może nastąpić szybciej niż myślimy)? To akurat jest prawdopodobne.

Jednak za „porażkę Ukrainy” należy uznać inne, a nie tylko militarne sukcesy Rosjan. Także zmęczenie wojną w armii i społeczeństwie naszego wschodniego sąsiada ze wszystkimi tego dalekosiężnymi skutkami. Ale też zmęczenie tą wojną w elitach Zachodu i społeczeństwach Europy i Ameryki. Co wtedy ? Czy Zachód uzna to za wygodny pretekst, aby ponad głowami Kijowa, ale też w dużej mierze Polski, krajów bałtyckich czy Finlandii, zacząć dogadywać się z Rosją i wymuszać na Kijowie zgodę – choćby czasową, polityczną, a nie traktatową, trwałą, formalnoprawną – na zabór części jej terytorium?

Porażka Ukrainy, choćby częściowa, może być sygnałem, aby szeroko rozumiany Zachód robił z Federacją Rosyjską znów biznesy „as usual”? To również możliwość powrotu „z przytupem” nieformalnej PPR (partii przyjaciół Rosji), która od dwóch lat, po napaści Moskwy na naszego wschodniego sąsiada, funkcjonuje w konspiracji, ale jednak cały czas działa. Jest obecna w strukturach UE i jest w większości, jeśli nie we wszystkich krajach Unii. Także w Polsce. Porażka Ukrainy spowoduje, że PPR wyjdzie z ukrycia i będzie mogła funkcjonować z otwartą przyłbicą. Niekoniecznie za rosyjskie pieniądze. Czasem jej działania tłumaczone są po prostu potrzebą robienia z Rosją biznesów, eksportu na wielki rynek, inwestycji od europejskiej części Federacji Rosyjskiej aż po Ural itp., itd. Preteksty zawsze się znajdą.

Przegrana Ukrainy – a jest zapewne ostatni dzwonek, aby tego uniknąć – oznaczać może uznanie konieczności, że chcąc nie chcąc trzeba pogodzić się z rolą Moskwy jako jednego z globalnych playmakerów. Słabszego niż kiedyś, coraz bardziej uzależnionego od Chin, ale wciąż mającego status rozgrywającego przynajmniej w skali ponadregionalnej.

Jednak konsekwencje tego poszerzenia wpływów Rosji na zachód od jej oficjalnej granicy państwowej będą znacznie poważniejsze. Będzie to przede wszystkim jasne przesłanie dla całego obszaru postsowieckiego, że Putinowi nie należy „podskakiwać”, bo i tak w końcu Rosja z takim delikwentem zrobi porządek. Przecież Kreml wcale gorliwie nie dementował powszechnie funkcjonującego w państwach powstałych na gruzach Związku Sowieckiego przekonania, że 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem był zamach na polskiego prezydenta! Informacja o tym miała bowiem zastraszyć elity krajów, które starały uniezależnić się od Moskwy. Miały wiedzieć, iż nie należy tego robić, bo ci, którzy tak czynią – giną.

Wreszcie porażka Kijowa ośmieli Rosję do kolejnych takich „operacji militarnych”, których celem jest poszerzenie jej terytorium. W ślad za tym pójdzie od razu uznanie za część Federacji Rosyjskiej Osetii Południowej i Abchazji w Gruzji czy Naddniestrza w Mołdawii. Będzie wtedy łatwiej dokonać dezintegracji terytorialnej choćby krajów bałtyckich. Czyż fakt, że połowa mieszkańców – ale nie obywateli! – Łotwy to Rosjanie, nie będzie ułatwiał przeprowadzenia operacji przez „zielonych ludzików”?

W interesie Polski jest to, aby Ukraina zachowała niepodległość i dodatkowo terytorialną integralność (to ostatnie będzie bardzo trudne). Nie zmienią tego agresywne, głupie i irracjonalne ataki części polityków ukraińskich na Polskę – trzeba je piętnować, ale nie mogą one przesłonić faktu, że w interesie Rzeczypospolitej jest, aby między nami a Rosją istniało realnie funkcjonujące, niepodległe państwo. Zaczerpnięty od Józefa Mackiewicza „Wielki Ześlizg” jest w kontrze do tej koncepcji. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

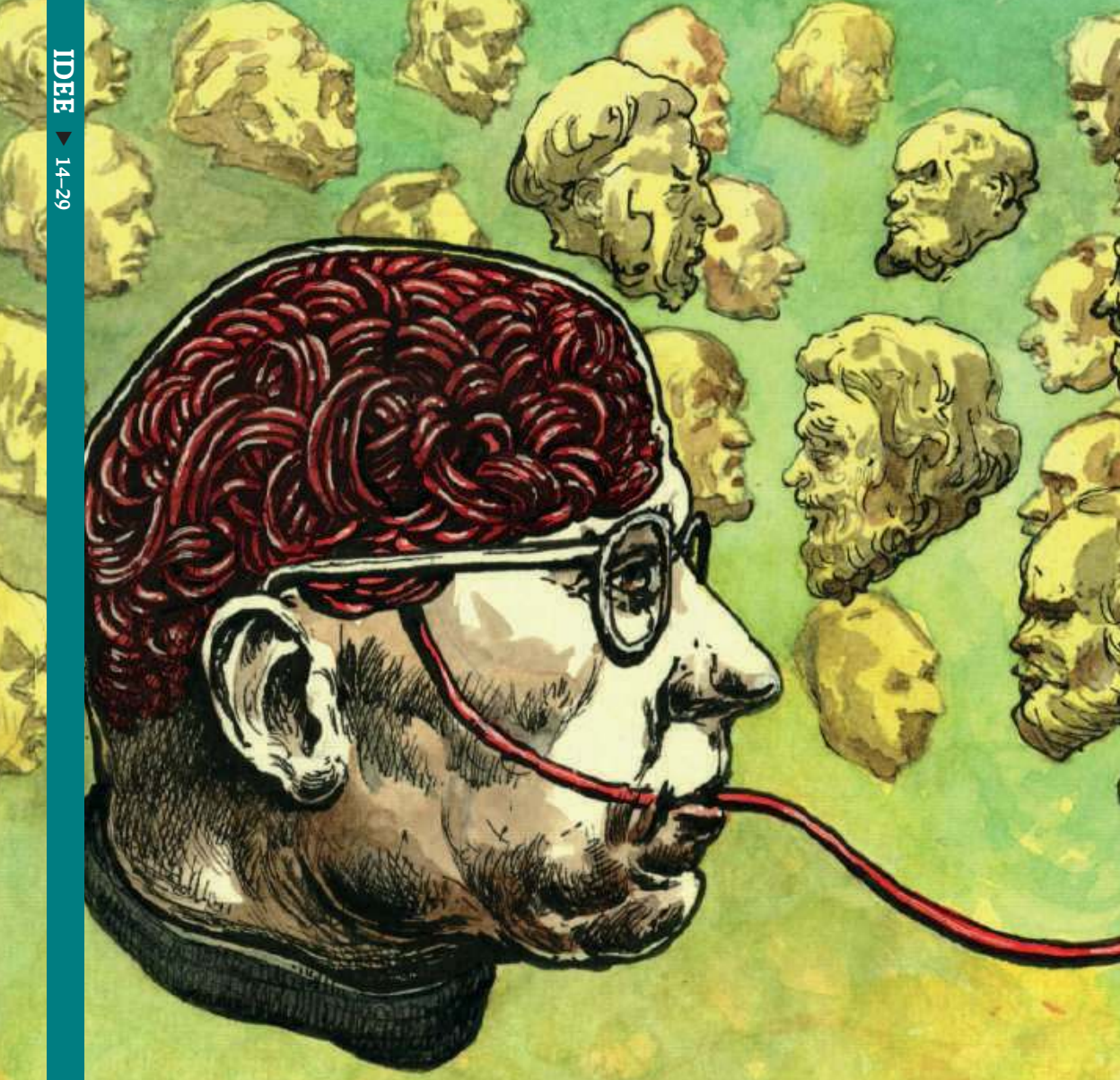

Według metafizyki klasycznej społeczeństwo nie jest prostym agregatem tworzących je jednostek, lecz ma pewną realność ukonstytuowaną dzięki realnie istniejącym relacjom międzyludzkim w łonie społeczeństwa. Krótko mówiąc, społeczeństwo jest czymś rzeczywistym, bo ludzi coś łączy. Czy jednak współcześnie ludzi cokolwiek łączy, gdy ludność krajów zachodnich składa się z „nomadycznych monad", odosobnionych wędrowców przez życie? Na pewno nie łączy ich ani chrześcijaństwo, ani marksizm, a w coraz mniejszym stopniu idee Oświecenia. Owym spoiwem, które „zestrzela myśli w jedno ognisko", wydaje się być polegający na czystej negacji postmodernizm.

eprasa.pl 0e52dac90d

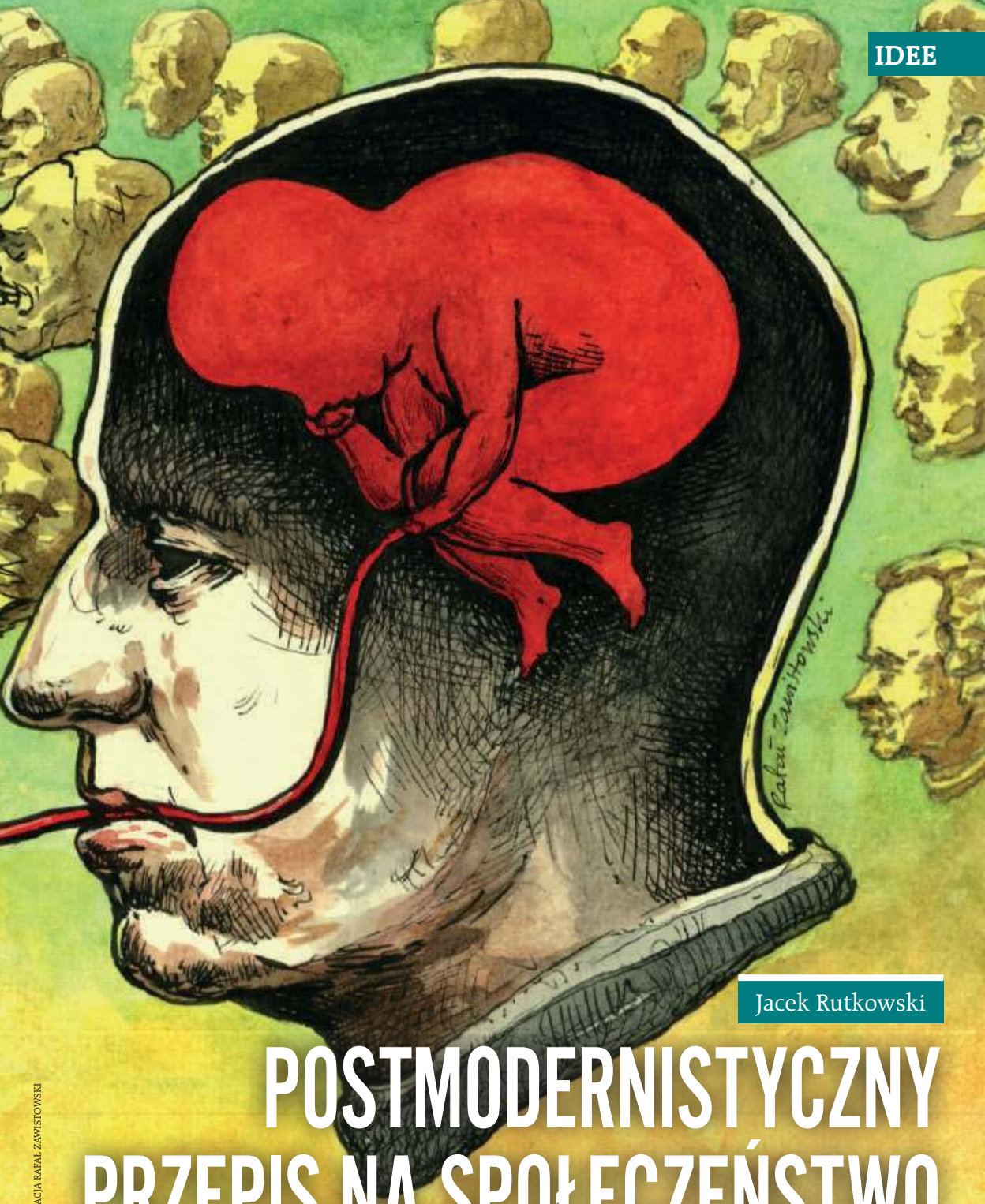

ILUSTRACJA RAFAŁ ZAWISTOWSKI

Jacek Rutkowski

POSTMODERNISTYCZNY PRZEPIS NA SPOŁECZEŃSTWO

eprasa.pl 0e52dac90d

Wszystkie stwierdzenia orzekające coś w sposób mocny i jednoznaczny o rzeczywistości należy odrzucić pod groźbą totalitaryzmu. Nie powinno się w nic wierzyć poza jednym: że nie można w nic wierzyć. Dzięki temu uda się stworzyć społeczeństwo złączone nihilizmem; społeczeństwo zestrojone w jedno za pomocą nicości. Czy takie społeczeństwo może przetrwać?

Postmodernizm jako sceptycyzm

Rozwój koncepcji filozoficznych czy ideologii zdaje się podlegać pewnym niezmiennym prawom. Jakkolwiek filozofuje zawsze jednostka, to, jak powiadał o. Jacek Woroniecki, filozofem *par excellence* jest społeczeństwo, w łonie którego filozof tworzy swe dzieła. Ojciec Woroniecki był oczywiście daleki od jakiegoś determinizmu. Nie należy sobie wyobrażać, że społeczeństwo dyktuje myślicielom książki niczym anioł z nieba kolejne sury Koranu. Chodzi raczej o pewien ogólny klimat epoki, o die geistige Situation der Zeit, duchowy stan czasu. Według raczej zapomnianego XIX-wiecznego niemieckiego filozofa Franza Brentany, można w łonie każdej szerszej struktury cywilizacyjnej wyróżnić w rozwoju filozofii pewne fazy. Cykl rozpoczyna się od pytań, potem następują odpowiedzi na te pytania. Potem, w poczuciu pewnego przesytu pragnie się praktycznego wykorzystania znalezionych odpowiedzi. Gdy kładzie się zbyt duży nacisk na praktykę, niejako zapomina się w międzyczasie, jakie były odpowiedzi na podstawowe problemy, przykłada się do nich mniejszą wagę, co rodzi sceptycyzm. Sceptycyzm ten przygotowuje grunt dla mało zainteresowanego sprawami tego padołu łez mistycyzmu. Mamy zatem następujące okresy: pytania, odpowiedzi, praktyka, sceptycyzm, mistycyzm.

Ten schemat to oczywiście skrajne uproszczenie, jednak całkiem dobrze opisuje przemiany, jakie dokonywały się w filozofii zarówno w starożytności, jak i w średniowieczu. Co więcej, wspomniane fazy można rozpoznać również w rozwoju filozofii nowożytnej. Żyjemy na samym końcu nowożytności, albo jak chcą niektórzy, nawet w ponowożytności, czyli wbrew pozorom w epoce mistycyzmu. To mistycyzm à rebours, naturalistyczny i materialistyczny transhumanizm. Nie byłby on możliwy, gdyby wcześniej nie dokonała się potężna destrukcja intelektualna, spustoszenie, jakiego usiłował dokonać na całej tradycji europejskiej postmodernizm – czyli we wskazanym schemacie okres sceptycyzmu.

Postmodernistyczna mitologia i tolerancja

Znawcy postmodernizmu narzekają, że „postmodernizm" to pojęcie worek, do którego wrzuca się najrozmaitsze koncepcje, nie za bardzo mające związek jedna z drugą. Sprawy określenia istoty tego nurtu myślowego nie ułatwia fakt, że sami postmoderniści często nie lubią być nazywani postmodernistami. Żeby jeszcze nieco utrudnić zadanie, do jednej z czołowych tez postmodernizmu należy przekonanie, że sens zdania nie zależy w żaden sposób od jego twórcy, lecz jest kreowany w całości przez odbiorcę – nie ma żadnej obiektywnej rzeczywistości, dzięki której nadawca i odbiorca wypowiedzi mogliby znaleźć „przestrzeń porozumienia", do której zdanie by się odnosiło. Po co w takim razie postmodernista miałby określać, na czym polegają jego koncepcje, jeśli nic nie zależy od tego, co napisze, lecz cała interpretacja zależy od czytelnika?

Mamy jednak to szczęście, że jeden z francuskich postmodernistów na chwilę przestał być postmodernistą i napisał zdanie, które daje się całkowicie zrozumieć (no dobrze, prawie całkowicie) od początku do końca! Chodzi o Jean-François Lyotarda, który określił postmodernizm jako „nieufność wobec metanarracji". Metanarracja to słowo pochodzące z postmodernistycznej nowomowy, które wymaga wyjaśnienia. Metanarracje to totalizujące ideologie i religie, które próbują wyjaśnić sens życia i całą rzeczywistość. Metanarracją jest zatem, co nie budzi zaskoczenia, chrześcijaństwo, tradycyjny chłopiec do bicia. Co jednak stanowi pewne *novum*, metanarracją są też Oświecenie i marksizm. Wszak te ideologie również mają tendencje absolutystyczne, proponują wizję świeckiego zbawienia przez postęp bądź uwspólnienie środków produkcji. Zarówno Oświecenie, jak i marksizm sugerują, że odnalazły i rozpoznały najistotniejsze na całym świecie prawdy, że wejrzały w samą głębię bytu – w tym wypadku chodzi głównie o byt społeczny. Według postmodernistów należy jednak odżegnać się od każdej koncepcji czy ideologii, która pretenduje do posiadania najwyższej prawdy. Trzeba zastąpić metanarracje mininarracjami, niemającymi tak absolutystycznych tendencji, a w końcu „prawdą prywatną". Każdy powinien mieć „swoją prawdę" i tolerować prawdy innych.

W powyższych zdaniach padają sformułowania „trzeba", „powinien". Można zasadnie spytać, dlaczego ktokolwiek powinien coś robić? Czyżby na podstawie jakiegoś absolutnego porządku moralnego? Oczywiście w postmodernizmie to niedopuszczalne. Wspomniana potrzeba wynika z dwóch przesłanek.

eprasa.pl 0e52dac90d

Przeciw „myśli mocnej"

Metanarracje zawsze stanowią tak zwaną „myśl mocną", zawierają twarde przekonania na temat rzeczywistości. Gdy oświeceniowy filozof mówi, że dzieje to niepowstrzymany pochód postępu ku coraz większemu światłu rozumu, wygłasza bardzo skomplikowane i bardzo nieoczywiste stwierdzenie na temat historii. Rości sobie pretensje do zrozumienia istoty dziejów. Podobnie gdy katolik mówi, że *extra Ecclesiam salus nulla*, poza Kościołem nie ma zbawienia – wręcz despotycznie orzeka o możliwościach zbawienia całego rodzaju ludzkiego. Słowo „despotycznie" jest jak najbardziej na miejscu, gdyż postmoderniści łączą wszelką myśl mocną z totalitarnym despotyzmem. Każda myśl mocna prowadzi ich zdaniem do totalitaryzmu, gdyż zasklepia się w sobie i nie dopuszcza sprzeciwu. Nawet jeśli zwolennik myśli mocnej twierdzi, że toleruje jakąś koncepcję, to czyni to w sposób niewystarczający – samo to, że ma silne przekonania, „obraża" zwolennika myśli mocnej. To właśnie istota sławetnej „mowy nienawiści". Jeśli ktoś mówi bezczelnie do mężczyzny po różnych operacjach: „jesteś mężczyzną", to choćby tolerował przyjmowanie rozmaitych hormonów i inne zabiegi, będzie się posługiwał mową nienawiści. Jedynym remedium na tę przypadłość jest zmiękczenie swej narracji i posługiwanie się jak najczęściej ozdobnikami w rodzaju „prawdopodobnie", „moim zdaniem", „wydaje mi się, że". W ten sposób wolny od totalitarnych zapędów matematyk powinien powiedzieć: „wydaje mi się, że kwadrat przeciwprostokątnej jest prawdopodobnie równy sumie kwadratów przyprostokątnych. Oczywiście jest tak tylko w mojej opinii". Miejmy nadzieję, że w ramach reformy edukacji w Polsce zostanie wprowadzona tolerancja dla inaczej myślących na temat twierdzenia Pitagorasa i że również dzieci mające inne poglądy na temat kwadratów zbudowanych na bokach trójkąta prostokątnego zostaną wysłuchane i przyjęte w swej ubogacającej różnorodności!

„Myśl słaba", w przeciwieństwie do mocnej, polega na tym, że ma się swoją prawdę, ale zawsze w horyzoncie innych prawd, na które trzeba pozostać otwartym. Różnicę między myślą mocną a słabą dobrze będzie zilustrować na przykładzie pytania Hamleta: „być albo nie być; oto jest pytanie". Na przykład św. Tomasz z Akwinu na podobną wątpliwość chimerycznego księcia duńskiego odpowiedziałby, uderzając pięścią w stół: „Być – oto jest odpowiedź!". Natomiast daleki od takich totalizujących orzeczeń zwolennik myśli słabej rzekłby: „może być, a może nie być? Być może być, a być może nie być?". Oczywiście rozmowa z taką osobą, jeśliby miała odwagę choć na chwilę pozostać konsekwentna, stałaby się nie do zniesienia. Proszę sobie wyobrazić podobne dialogi: „– Czy mógłbyś podać mi masło? – Być może mógłbym, a być może bym nie mógł – kto to wie? Wydaje się, że bym mógł, ale chętnie wysłucham innych poglądów, nie chce nikomu narzucać swoich przekonań". Albo: „– Przyniosłeś w końcu te zakupy? – Być może przyniosłem, a być może nie przyniosłem, trudno powiedzieć – jestem otwarty na twoją opinię!". Postmodernista nie może sobie więc pozwolić na konsekwencję i gdy tylko opuszcza mury uczelni, na której głosi swoje tezy, wnet zaczyna wierzyć w prawdę, logikę i istnienie rzeczywistości zmysłowej. Nawiasem mówiąc, wybitny francuski tomista Étienne Gilson uważał, że cechą wyróżniającą realizmu (rozumianego jako przekonania o istnieniu rzeczywistości oraz o możliwości jej poznania) jest właśnie to, że filozofowie mimowolnie stają się realistami, gdy tylko zapomną o przyjętej przez siebie roli. Nie można być postmodernistą na pełen etat.

Michel Foucault, jeden z czołowych przedstawicieli postmodernizmu, twierdził, że nie tylko myśl mocna stanowi niebezpieczeństwo. Należy się wystrzegać również jakichkolwiek racjonalnych pojęć, gdyż prowadzą one – a jakże! – do totalitaryzmu. Platon pisał w „Państwie", że rzeczy zmysłowe (w przeciwieństwie do niezmiennych bytów ze świata idei) „jakby się chwieją w obie strony i niepodobna ująć myślą i ustalić, czy tam pośród nich coś istnieje, czy nie istnieje". Według Platona do rzeczy zmysłowych można odnieść tylko mniemanie, prawdziwa wiedza jest zarezerwowana dla świata idei. Platon zgodziłby się być może z Foucaultem, że racjonalnych pojęć nie można w pełni stosować względem świata zmysłowego, jednak nie ze względów politycznych, tylko ze względu na samą prawdę rzeczy. Wydaje się to znamienne, że odwieczny problem filozoficzny pewnej niedookreśloności bytów zmysłowych, ich niestałości, przenosi się na płaszczyznę polityki. Gdy Heraklit usiłował przeniknąć naturę rzeczy i stwierdził, że wszystko płynie, i że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, troska o ustrój polityczny Efezu był zapewne ostatnią sprawą, o jakiej myślał. Sądził, że nie powinno się stosować racjonalnych pojęć do inherentnie zmiennej rzeczywistości nie dlatego, że obawiał się rzekomego totalitarnego wpływu tych pojęć, lecz po prostu dlatego, że stosowanie takich pojęć byłoby niezgodne z prawdą.

Przestarzałe metanarracje

Postmoderniści wskazują na jeszcze jeden powód, dla którego należy porzucić wszelkie metanarracje. Otóż po prostu się one zużyły. Wszystko ma

eprasa.pl 0e52dac90d

swój czas, jak powiada Kohelet. Różne metanarracje miały w historii intelektualnej Europy swoje pięć minut, ale żadna z nich nie nosi już w sobie potencjału twórczego. Postmodernizm nie tyle wieści rychły zmierzch Zachodu, ile po prostu, bez większego niezadowolenia, ten zmierzch ogłasza. Przejrzeliśmy już na oczy. O ile kiedyś wierzyliśmy w chrześcijaństwo, Oświecenie czy komunizm, teraz już widzimy, że były to tylko narracje uzależnione od epoki. Każda z nich straciła swój czas, swój καιρός. Teraz już nie ma odwrotu. Samo rozpoznanie, że każda metanarracja jest tylko epifenomenem rozwoju społecznego, sprawia, że niepodobna dalej na poważnie wierzyć w jakąkolwiek metanarrację. Postmodernista przypomina dorosłego, który mówi dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje. Trudno się spodziewać, by takie dziecko wierzyło dalej w nieodzownych pomocników Świętego Mikołaja: elfy i renifery. Postmoderniści wsadzają do jednego worka różne religie i ideologie. Tak jak człowiek dorosły nie wierzy w Świętego Mikołaja, tak postmodernista nie wierzy w żadną z tych religii czy ideologii. Stwierdza, że są one nieaktualne, że straciły swój czas, oraz że każda ideologia ma przeznaczony dla siebie okres. Nie trzeba już po kolei przeprowadzać złożonych wywodów obalających poszczególne totalizujące ideologie, tak jak nie trzeba po kolei dowodzić nieistnienia poszczególnych elfów oraz reniferów z Rudolfem na czele. Można te wszystkie ideologie obalić *en bloc*, stwierdzając, że są co najwyżej „prawdami czasu" bądź też „prawdami wielkich zbiorowości". To określenie wprowadził i rozwinął Fryderyk Nietzsche, który pod tym względem jawi się jako prekursor postmodernizmu.

Mitologia według Nietzschego

Nietzsche, znany ze swojego powiedzenia „Bóg umarł", był również genialnym filologiem klasycznym. Na fali swoich zainteresowań mitologią doszedł do określenia mitu jako „prawdy wielkich zbiorowości". Mit różni się od pluralizmu, w którym „każdy ma swoją prawdę". Wiąże się on ze stanem społeczeństwa w danym momencie historycznym. Mit to intersubiektywne, grupowe przekonanie, że dana myśl jest prawdziwa. Ta sama wspólnota może kilkaset lat później stwierdzić, że dana myśl jest zupełnie nieprawdziwa. Przykładami tak rozumianych mitów są chrześcijaństwo w średniowieczu w całej Europie, Oświecenie w XVIII wieku we Francji czy teoria aryjskiej rasy panów w XX wieku w Niemczech. Mit jawi się jako coś pośredniego między prawdą a fałszem. Nietzsche uważał, że mity są konieczne dla mas. Mit to podstawa funkcjonowania społeczeństwa, ludzie potrzebują uznawać coś za prawdę. Tylko wielkie jednostki mogą się skonfrontować z tym, że w istocie prawdy nie ma. Jak później mówił Jean-Paul Sartre, la vie est absurde, życie jest absurdem. Stawianie czoła bezsensowności życia wymaga heroizmu nadczłowieka.

Ta diagnoza wydaje się trafna – rzeczywiście, niepodobna by było funkcjonować w świecie pozbawionym sensu, potrzeba do tego szczególnych, wręcz nadludzkich zdolności. Jak pisał święty Jan Ewangelista: ἐν ἀρχῇ ἦν ὁ λόγος, co zwykle przekłada się (za tłumaczeniem łacińskim): „na początku było Słowo". Jednak greckie słowo λόγος (jak każde szanujące się greckie słowo) ma mnóstwo znaczeń, a jednym z nich jest „sens". A zatem „na początku był sens". Świat widziany oczyma chrześcijanina to dokładne przeciwieństwo świata Sartre'a. Życie nie jest absurdem, wszystko ma sens; sens jest początkiem wszelkiego bytu, jego podstawą, zasadą. Nawiasem mówiąc, jest to powodem, dla którego średniowiecze było, w przeciwieństwie do naszej, tak radosną epoką. Poczucie wszechobecnego sensu i ładu sprawiało, że ludzie spontanicznie śpiewali i skakali z radości, czego świadectwa do dzisiaj możemy ujrzeć na płaskorzeźbach średniowiecznych katedr.

Czy może funkcjonować społeczeństwo pozbawione takiego poczucia ładu? Czy społeczeństwo może składać się z nadludzi, negujących istnienie sensu i prawdy? Czy może istnieć społeczeństwo pozbawione swojego mitu, swojej „społecznej prawdy"?

Mitologia postmodernistyczna

Postmodernizm jest oczywiście inherentnie niezdolny do zaproponowania takiej społecznej prawdy. Mit, jakkolwiek uwarunkowany czasowo i społecznie, jednak rości sobie pretensje do pewnej absolutności. W przeciwnym wypadku wcale nie byłby pociągający. Niemcy w latach 30. ubiegłego wieku święcie wierzyli, że ponadczasową prawdą jest wyższość rasy aryjskiej i na przykład konieczność zyskania Lebensraum na wschodzie, szczególnie na Ukrainie (Niemcy tamtego okresu mogą mocno przypominać pewien inny naród żyjący współcześnie). Luminarze Oświecenia byli przekonani o nieuchronności postępu i chwalebnym marszu światła rozumu, pokonującego dawną ciemnotę i zabobon. Wydawałoby się zatem, że postmodernizm musi skapitulować. Każda „prawda społeczna" jawi się jako „myśl mocna", jako „metanarracja", do której postmoderniści, jak wskazano wyżej, czują „niechęć".

Postmoderniści proponują jednak pewne dość karkołomne rozwiązanie. Zamieszki studenckie z ro-

eprasa.pl 0e52dac90d

ku 1968 streszcza się często postulatem: *Il est interdit d'interdire!*, zakazuje się zakazywać. Postmodernistyczny postulat głosi: jest prawdą, że nie ma prawdy. Sprzeczność tych sformułowań jest tylko pozorna, W pierwszym z nich, zakazami, których studenci chcieli zakazać, były te, które przeszkadzały im w lekkim, łatwym i przyjemnym życiu. Dość niechętnie wspomina się o upokarzającym szczególe rewolty studenckiej, że iskrą, która pobudziła paryskich lekkoduchów do rozruchów, był zakaz pozostawania w żeńskich akademikach po 22. Chodzi zatem o zakazy przedmiotowe, dotyczące postępowania, zakaz zakazywania należy do innego porządku, znajduje się o poziom wyżej.

Podobnie ma się rzecz z podstawowym postmodernistycznym dogmatem o braku prawdy. Chodzi o brak prawdy przedmiotowej, dotyczącej rzeczywistości. Nie można powiedzieć nic prawdziwego o świecie. Takie stwierdzenie nie stanowi bynajmniej *contradictio in adiecto*, gdyż nie odnosi się bezpośrednio do rzeczywistości, a jedynie do ludzkiego mówienia o rzeczywistości. Problem polega na tym, że postmodernizm, udając dobroduszny sceptycyzm, mający zapobiegać totalitaryzmom, proponuje po prostu przeniesienie poziomu, na którym głosi metanarrację i myśl mocną. Krytykując wszystkie metanarracje, postmodernizm staje się meta-metanarracją. Krytykując każdą myśl mocną, postmodernizm staje się myślą wszechpotężną. Filozof klasyczny mógł na przykład mieć pewne skromne przekonanie na jakiś szczegółowy temat, na przykład na kwestię duszy ludzkiej – że jest duchowa, samoistna i nie ginie wraz z ciałem. Postmodernista by powiedział, że nie tylko ten filozof nie ma racji, ale że nie mają racji również wszyscy inni filozofowie, jacy tylko byli i będą aż do skończenia świata. No jeśli to nie jest myśl mocna, to już doprawdy nie wiem, co by mogło nią być.

Właśnie ta myśl, albo raczej ta bezmyślność, jest podstawą naszej nowoczesnej cywilizacji, prawdą zachodniej zbiorowości. Średniowieczna Christianitas była zbudowana na religii katolickiej. Zdarzali się i wówczas niewierzący, na przykład cesarz niemiecki Fryderyk II, ktoś tu i ówdzie mógł bąknąć, że nie jest przekonany co do dogmatu o transsubstancjacji, ale trzon społeczeństwa twardo obstawał przy wierze. Nowoczesna cywilizacja jest zbudowana na dogmacie o braku prawdy. Zdarzają się tu i ówdzie niewierzący, którzy nieśmiało głoszą, że przynajmniej niekiedy można w pewnych aspektach odkryć prawdę. Nie należy to jednak do dobrego tonu; lepiej się nie wychylać z takimi poglądami. Podobne faszystowskie wizje mogą łatwo doprowadzić do ze wszech miar nietolerancyjnego przekonania, że mężczyzna to mężczyzna, że ludzie mający czarny kolor skóry mają czarny kolor skóry albo też (pozwolę sobie na zuchwałość!) że mężczyźni nie mogą rodzić dzieci.

Postmodernizm jako społeczna ideologia jest znacznie bardziej szkodliwy od sceptycyzmu starożytnego. Pirron, założyciel szkoły sceptyckiej, bynajmniej nie rościł sobie pretensji do budowy społeczeństwa zgodnie z wyznawanymi przez siebie przekonaniami. Pirron był, jak go nazywał Cyceron, „nauczycielem cnoty", chciał pokazać, że można żyć *con arte* nawet bez prawdy i wartości. Sceptycyzm starożytny proponował pewien model życia, służył jednostkom pragnącym wyzwolenia od ułudy zmysłów i marności tego świata. Sceptycyzm współczesny – postmodernizm – proponuje zamiast tego społeczny zamordyzm, w którym nie można już mówić „tak, tak; nie, nie".

Negocjowalna prawda

Założenie o braku prawdy stanowi logiczną podstawę demokracji liberalnej, w której wszystko podlega głosowaniu. Według Herberta Marcusego, guru rewolty studenckiej 1968 roku, prawda powinna być negocjowalna. Należy ją wypracowywać w toku społecznego dyskursu. Ostatnio taką prawdą negocjowalną stało się we Francji prawo do aborcji, które wpisano do konstytucji. Z miażdżącą przewagą 780 głosów przeciwko 72 przegłosowano, że aborcja jest prawem człowieka (oczywiście chodzi o tego człowieka, który już miał szczęście się urodzić, nie o tego drugiego). Emanuel Macron zapowiada, że to samo powinno się w najbliższym czasie stać z eutanazją. Sam pomysł, że można sobie ot tak głosować o sprawach życia i śmierci, o prawdzie i o przeznaczeniu człowieka, bierze się z postmodernistycznego założenia o braku prawdy. Gdyby istniała prawda, trzeba by było ją poznawać, a nie nad nią głosować.

W tym kontekście filozoficznym i historycznym, w tym zalewającym nas oceanie zwątpienia i w oparach nihilizmu, można być naprawdę dumnym ze słów prezydenta Andrzeja Dudy, że „w sprawach życia i śmierci nie powinno być przeprowadzane referendum". Te słowa przywodzą na myśl chwalebne wspomnienia Bitwy Warszawskiej, bitwy pod Grunwaldem, odsieczy wiedeńskiej. „Aż dotąd, nie dalej! Tu zapora dla twoich fal nadętych!" (Hi 38, 11). Tak jak teraz agnostycy przywołują z upodobaniem i sympatią palonych na stosie wolnomyślicieli minionych wieków, tak kiedyś będzie się wspominać ze wzruszeniem tych nielicznych, uparcie wierzących w prawdę stronników używania rozumu, którzy nie poddali się wszechwładzy postmodernistycznej ortodoksji. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Ukryty wirus rosyjski w duszy polskiej

Jakub Augustyn Maciejewski

epresa.pl 0e52dac9dd

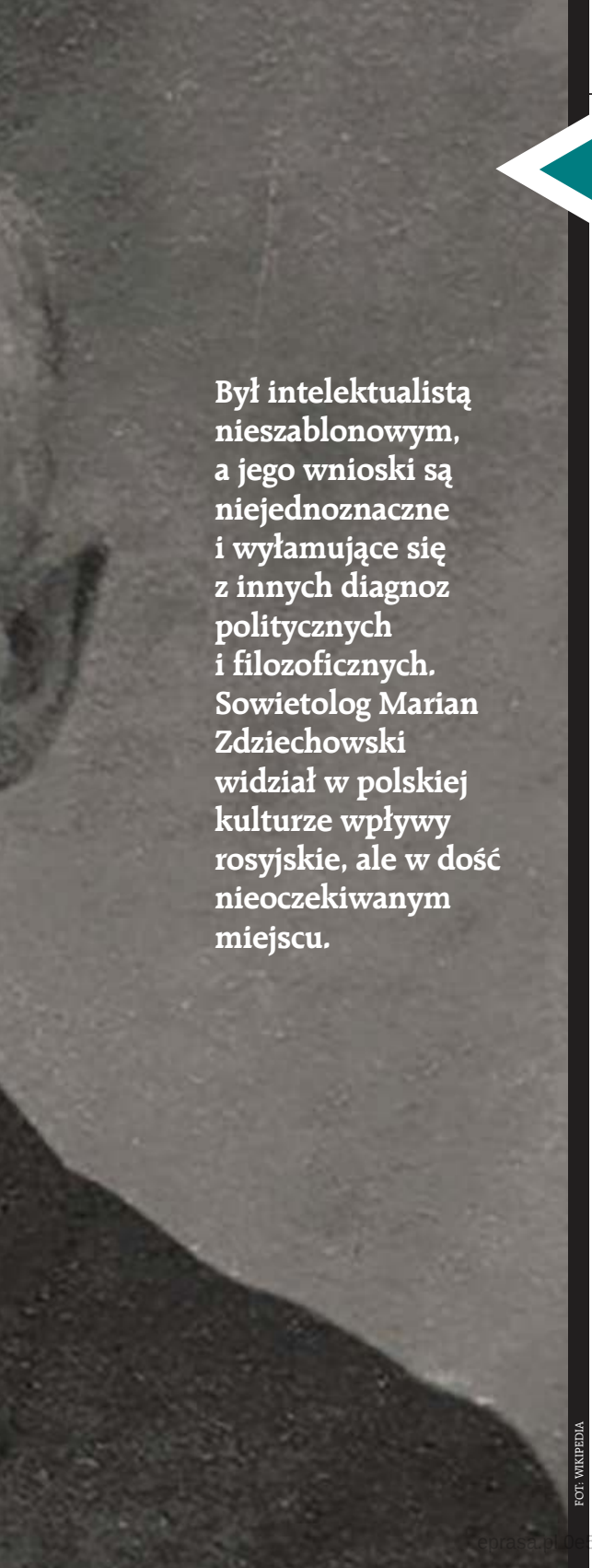

Był intelektualistą nieszablonowym, a jego wnioski są niejednoznaczne i wyłamujące się z innych diagnoz politycznych i filozoficznych. Sowietolog Marian Zdziechowski widział w polskiej kulturze wpływy rosyjskie, ale w dość nieoczekiwanym miejscu.

FOT. WIKIPEDIA

Jako polski znawca Moskwy i rosyjskiego imperium patrzył na swój obiekt zainteresowań o tyle wyjątkowo, że nie pisał o Rosji źle, lecz niuansował, widział setki odcieni szarości i generalnie odcinając Wschód od Zachodu, widział tam przebłyski europeizacji – mając na myśli czas sprzed 1917 roku.

Nonkonformistyczny manifest

Żył na przełomie epok, bo urodził się w 1861 roku, w czasach odwilży posewastopolskiej, a zmarł w 1938 roku, gdy nie było już carskiej Rosji, była za to wolna Polska, choć w przewidywaniach Zdziechowskiego nadchodziła już wojenna apokalipsa. Zdziechowski w latach 30. wykładał w Wilnie, w słynnej polskiej szkole sowietologicznej, a więc w Szkole Nauk Politycznych – jego myśl wpłynęła więc na całe pokolenie sowietologów, którzy – często znalazłszy się na emigracji – wpływali na postrzeganie Kremla nawet w USA (Ryszard Wraga). W swoim życiu rosjoznawca przewinął się przez uniwersytety wszystkich stron Europy: w Petersburgu studiował, specjalizację robił w Dorpacie, był także w Zagrzebiu i w Genewie, wykładał w Krakowie, mógł wykładać w Londynie. Pisał do dziesiątek gazet, znał czołowych publicystów rosyjskich, korespondował z nimi, z niektórymi się przyjaźnił, nawet jak się z nimi nie zgadzał. Patrzył na świat także z perspektywy duchowej i religijnej, odnotowywał różnice między etyką w różnych kręgach kulturowych, nie idealizował Polski i nie demonizował Rosji. Żaden z politycznych nurtów nie mógł go zapisać do siebie, Zdziechowski nawet Piłsudskiemu odmawiał publicznych stanowisk. Był słowianoznawcą chętnie witanym na uniwersytetach i w wydawnictwach całej wschodniej i południowej Europy.

Książkę „Wpływy rosyjskie na duszę polską" pisał pod koniec I wojny światowej, gdy jeszcze rozstrzygnięcie bolszewickie nie było znane, gdy jeszcze sowiecka Rosja nie napadła na Polskę, a kształt narodowej niepodległości nie był jasny. Był to czas raczej mocno czarno-biały, elity dzieliły wszystkich na patriotów i zdrajców, niewiele było miejsca na krytykę „tych dobrych" czy chwalenie „tych złych". Było nie do pomyślenia, by ktoś potępił XIX-wiecznych wieszczów albo narodową kulturę, tak często wznoszącą antyrosyjskie powstania, a więc publikacja pracy Zdziechowskiego nie trafiła pod strzechy, będąc intelektualną kontrowersją i nonkonformistycznym manifestem. Bo jakże to, Polsce walczącej z Rosją legionami Piłsudskiego przypisywać podobieństwa do Rosji? Praca filozofa bowiem opisuje z jednej strony różne postawy rosyjskie, jej ekstremizmy i radykalizmy, a z drugiej strony zarzuca polskiej duszy pewne podobieństwa do swojego zaborcy. Zdziechowski tym samym rozpoczął tradycję przyglądania się polskim cechom narodowym jako pochodnej gwałtowi Rosji na Polsce.

eprasa.pl 0e52dac90d

Wkrótce potem wybitny publicysta Józef Mackiewicz będzie ostrzegał, że sowiecka okupacja zrobiła z Polaków „sk***synów", a ks. Józef Tischner w późnym PRL będzie pisał o „Homo sovieticus" w naszym kraju, co z perspektywy socjologii podkreśli potem – niedawno zmarła – profesor Jadwiga Staniszkis. O ile jednak nasze doświadczenia i dyskurs publiczny pełne są nawiązań do PRL i często widzimy w epoce sprzed 1989 roku kolebkę narodowego minimalizmu czy też wiernopoddańczości silniejszym stolicom (kiedyś Moskwie, dziś Brukseli), o ile pewną bierność społeczną czy ateizację i antyklerykalizm możemy śmiało przypisać esbeckiej inżynierii społecznej, o tyle Zdziechowski wskazywał zagrożenia głębsze i nieoczywiste. Uważał, że „rusyfikacja docierała aż do głębin duszy polskiej" i stanowiła „niezdrową hipnozę", pewien rodzaj fascynacji wrogiem, upodobnianiem się do siły, z którą się walczy.

Maksymalizm – nieuleczalna rosyjska choroba

W tej pracy sama Rosja oczami Zdziechowskiego jawi się jako nieudolny kolos. Z jednej strony wielki terytorialnie, z liczną armią, surowcami naturalnymi i ze słynną kulturą i filozofią, a jednak jest to kolos, który nie może dokonać już niczego wielkiego, jest swoją wielkością przytłoczony i bezradny. Jako przykład tej swojej niemożności pisarz podaje niby niepozorne zmiany administracyjne z 1912 roku, kiedy to z Królestwa Polskiego (będącego częścią Rosji) odrywa się Chełmszczyznę, a z Wielkiego Księstwa Finlandii (również część Rosji) przygraniczny Wyborg. Obie zmiany są jedynie korektą administracyjną wewnątrz terytorium zarządzanego przez cara, a jednak w prasie rosyjskiej i politycznej propagandzie jest to ogłoszone jako sukces. Zdaniem Zdziechowskiego ospała i ociężała Rosja, która przegrała nawet tę swoją „małą wojnę" z Japonią, potrzebowała jakiegoś ekwiwalentu, zatem od własnych wasali wzięła skrawek ziemi i przedstawiła to jako triumf Rosji.

Z tej rosyjskiej niemocy i porażek polityczno-militarnych bierze się jedna z jej zasadniczych i nieuleczalnych chorób. Tak pisał o niej pierwszy polski sowietolog: „Chorobie tej na imię – maksymalizm: albo wszystko – albo nic. Jest to przeobrażona w manjactwo utopijność ludzi, których przez wieki trzymano na uwięzi; że więc nie zetknęli się z życiem realnem, wszystko przeto wydaje im się prostem i łatwem, i gdy myśli jakiej się chwycą, to po to, aby ją natychmiast z bezwzględną konsekwencją wcielić".

Zdziechowski tezę tę wysnuł nie tylko po lekturach setek autorów, pism, klasyków, religijnych traktatów Rosji, lecz przede wszystkim z rozmów z jemu współczesnymi: politykami, pisarzami, filozofami. Odnotował ich jakby skutki uboczne nieudolnego kolosa, że skoro nie wychodzi zwykłe zarządzanie państwem, to Rosjanie uciekają w ambicje światowe, wszechświatowe, wieczne – ale nie w doczesnym świecie. Przejawem tego maksymalizmu był bolszewizm, który obiecywał nie jakieś państwo dobrobytu, ale zbawienie materialne całego świata, wszystkich ludzi. „Maksymalizm, to wściekły wybuch niewolnika, któremu dano pohulać; to wynik dziejów, które ideę samowładzy monarszej na coraz wyższy szczyt niosły; to objaw rasy i temperamentu, w którym buntowniczo-anarchiczne skłonności Słowianina zlały się w potwornej jakiejś mieszaninie ze ślepą uległością Mongoła wobec miażdżącej go siły".

Prostolinijność – specyficzny typ rozumowania rosyjskiego

Rosja nie stworzyła Rosjanina, który by chciał dobrej edukacji, wolności słowa i ekonomicznego prosperoty, lecz stworzyła „homo novus", taki typ człowieka, który jest gotowy zniszczyć tu i teraz, z nadzieją na ideał gdzieś i kiedyś. Zdziechowski nazwał to „szukaniem miasta Bożego" i „tęskliwym wyczekiwaniem Niebieskiego Jeruzalem na Ziemi", czyli jakiejś ziemskiej doskonałości. Takim miał być komunizm ze swoim zbawicielem – Leninem, nowym Adamem – robotnikiem, rajem na Ziemi – Związkiem Sowieckim. Ale nie tylko w komunizmie przejawiał się ów maksymalizm rosyjski – jeszcze wcześniej bowiem polityka carska wraz z koncepcją premiera Stołypina uciekała w drugą skrajność. Naprzeciwko czerwonego rewolucjonizmu postawiła czarny konserwatyzm, czarną sotnię, czyli nienawidzących inności prawosławnych Rosjan organizujących pogromy Żydów i podejmujących Stołypinowską krucjatę przeciwko Polakom. I tak jak wcześniej urzędnicy rosyjscy na Polakach urządzali biurokratyczny rodzaj rusyfikacji, łatwy do obejścia przez łapówki i niedokładność, tak za Stołypina nadeszła rusyfikacja fanatyków szczerze nienawidzących Polski.

Ale przeobrażanie świata u Moskali szło dużo dalej niż do sprawy polskiej. Tak Zdziechowski streszczał poglądy rosyjskie początków XX wieku, cytując jednego ze swoich rozmówców: „Rosja jest jedynym narodem, który myśli nie o chwili obecnej, lecz o wieczności, nie o dobrobycie ziemskim, lecz o królestwie Bożem – i stąd wiarę moją czerpię, że zwycięzą w niej nie hasła zniszczenia i chaosu, choć głośno tam rozbrzmiewają, ale zwycięży Chrystus". I tak się zaczynał wir rosyjskich sił, w których każda była najświętsza i najbardziej metafizyczna. Car zbawiał autokracją, czerwoni rewolucją, a czarni najsztywniejszym prawosławiem. Zdziechowski uważał, że Rosjanie, którzy nigdy nie mieli wpływu na swoje państwo, przyjęli naiwne wyobrażenia, że wystarczy być szlachetnym i sprawiedliwym, a reszta się ułoży. Nazwał on prostolinijnością ten specyficzny typ rozumowania rosyjskiego. „Prostolinijność jest z natury swojej doktry-

eprasa.pl 0e52dac90d

nerską i maksymalistyczną, bo pędząc prosto do celu, nie widzi i widzieć się nie chce przeszkód, więc wszystko wydaje się jej łatwem. Maksymalizm – to nieliczenie się z rzeczywistością, z dalekim tamtym brzegiem, który ginie we mgle i ze swoim, który jest pustką". Było to obecne w literaturze, malarstwie, religii, Rosjanin był aposotołem wielkiej zmiany. „To oznaczało w myśli Dostojewskiego, że Francuz może być tylko Francuzem, a Polak Polakiem, jeden tylko Rosjanin wśród narodów zdoła czuć, kochać, cierpieć za wszystkie narody i we wszystkie się wcielać".

Dwa mesjanizmy

Tu dochodzimy do polskiej cechy, która wydaje się bliźniaczą wobec mechanizmu myślenia poddanych rosyjskiego imperium. Był nią mesjanizm. Ten uwielbiany przez powstańców i zaciekłych wrogów Rosji mesjanizm Mickiewicza i Krasińskiego, rewolucyjny, dzielny i skory do poświęceń do walki właśnie z Rosją, miał być z tejże Rosji, zdaniem Zdziechowskiego, wzięty. Rosjanie nigdy nie mieli państwa, które by ich szanowało, a Polacy wówczas nie mieli swojego własnego państwa i również uciekli z rzeczywistości, w której trzeba urządzić podatki, naukę i administrację, w zbawianie świata czy Europy jako „Chrystus narodów". Rosyjski i polski mesjanizm różniły się od siebie, nasz miał być mniej apokaliptyczny, „był w istocie swojej przesunięciem nadziei naszych z przyszłości bliskiej w niedającą się określić dal". Nie mogąc odzyskać państwa, mówiło się o odzyskaniu ducha, nie mogąc zbudować armii, mówiło się o zbudowaniu siły moralnej i duchowej. Tenże maksymalizm wybrzmiewał u Krasińskiego. Czyż nie w wieczność i śmierć patrzał Krasiński, gdy „miotan rozpaczą i bezbrzeżną i wściekłą, streszczał wątpienia swoje i męki w strasznym dylemacie: albo nicość, albo wieczysty trud i ból?". I tak oto ten, który Rosji nienawidził, sam miał zaczerpnąć ze źródła jej idei.

Rosja miała zbawiać ekspansją, a Polska – zatraceniem. To ostatnie przecież wymyślił Mickiewicz ze swoim mesjanizmem i zmartwychwstaniem Polski w jakiejś niedookreślonej wieczności.

Zdziechowski nie był przeciwny ani powstaniom, ani pracy niepodległościowej, widział on jednak w tej rozpaczliwej walce uzasadnienia ściśle rosyjskie, powiązane z podobną rosyjskiej „prostolinijnością". Polska stawała się ofiarą na własne życzenie w tym sensie, że nawet w oficjalnej ideologii mesjanizmu wpisywała się w rolę ofiary. Można więc powiedzieć, że pewien rodzaj sentymentalizmu, romantyzmu, który nam nakazuje cierpieć, jest w polskiej duszy elementem obcym, rosyjskim właśnie. To to mógł krytykować Słowacki, gdy pisał o Polakach jako „pół-rycerzach żywych", którzy gdzieś w dalekiej przeszłości bujają w fantazjach, zaniechając pracy w teraźniejszości. Polacy patrzyli w oczy rosyjskiego zła, ale rosyjskie zło patrzyło im w oczy także.

Mantra o niewdzięczności

Ze Zdziechowskim nie bardzo kto chciał podejmować polemikę, zwłaszcza że był on umysłem w swoich czasach wielkim i nieprzeniknionym. Po jego śmierci jednak przyszło Polsce kolejne dekady przebywać w rosyjskiej niewoli i być może przejmować kolejne choroby od naszego zaborcy. We wspomnianych wcześniej Mackiewiczach i Tischnerach taką zarazą mógłby być pewien rodzaj upodlenia i wołania o zwierzchnictwo obcych, ale też bezradność wyuczona w socjalistycznych warunkach. Pozostaje jednak otwarte pytanie, czy stara choroba maksymalizmu nie została w nas jeszcze z czasów opisywanych przez Zdziechowskiego? Z narzekań polskich jest bowiem w naszej manierze jakaś – podobna rosyjskiej – mantra o niewdzięczności świata. Rosjanie żalą się w świecie, że nie docenia się ich wspaniałej kultury, a w dawnych prowincjach sowieckich żalą się, że nie docenia się ich wkładu cywilizacyjnego (w rozwój Estonii, Mołdawii czy na przykład Polski). Rosja tam wiecznie jawi się jako szlachetna, a partnerzy – jako niewdzięczni. Przypomina to nieco prostolinijność, która zasadza się na przekonaniu, że istnieją jakieś dobrodziejstwa, które spłaca się dozgonnym uśmiechem i sympatią. Polacy o wdzięczności również mówią często. Czujemy, że jest niedoceniony nasz wkład w upadek komunizmu (kojarzony z upadkiem muru berlińskiego), czujemy, że pominięto nas w dzieleniu się zwycięstwem w II wojnie światowej, wcześniej zaś – przez prawie całe XIX stulecie – wypominano „niewdzięcznej Austrii", że rozbiorami „odwdzięczyła się" za odsiecz wiedeńską (choć ta miała miejsce 100 lat przed upadkiem Rzeczypospolitej!). Jest w tym wszystkim nie tylko owa prostolinijność, ale i mistyczny maksymalizm, który politykę chce oprzeć na porywach serca i bez konkretnych narzędzi politycznych zbudować świat przyszłości oparty na miłych uczuciach i życzliwych spojrzeniach. Może to się faktycznie uda w „„Nowym Jeruzalem" i w „Królestwie Niebieskim", ale nie na Ziemi.

Dziś Zdziechowski pozostaje niezrozumiały, czytany rzadko i płytko, pozostający bez szczególnej analizy. Nie omówiono jeszcze jego tezy sprzed 100 lat o wpływach rosyjskich na duszę polską, a co dopiero mówić o wpływach późniejszych, PRL-owskich i jeszcze obecnych, przejawiających się w dziwnej „wdzięczności" polskiej po 10 kwietnia 2010 roku, gdy rodzime autorytety kazały zapalać świeczki żołnierzom Armii Czerwonej.

Doprawdy walczyć z tą Rosją trzeba głębiej niż tylko militarnie i politycznie, bo zdaje się, że kilka zastrzyków rosyjskiego jadu zatruło nasze pokolenia cechami, które nijak nie przystają do rzeczywistości. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Dawid Wildstein

Fałszywi ambasadorowie Żydów

Izrael, który sam siebie ustanowił ambasadorem interesów całej żydowskiej społeczności, jej obrońcą, działa dziś na jej szkodę. Ponury dowcip polega na tym, że jest to od wręcz dekad „standard" tych, którzy roszczą sobie pretensje do bycia głosem polskich Żydów, strażnikiem ich historii. Idealnym przykładem takiej patologii są działania Muzeum Żydów Polskich, Polin.

eprasa.pl 0e52dac90d

Ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie podgrzały i w Polsce nastroje. Główną przyczyną było zabicie przez izraelskie wojsko naszego rodaka, niosącego pomoc w Strefie Gazy, oraz skandaliczne zachowanie ambasadora Izraela, który w reakcji na tę ewidentną zbrodnię wojenną uznał za stosowne… zaatakować Polaków i oskarżyć ich o antysemityzm.

Francja lepsza niż Polska?

Obserwując tę sytuację, ciężko uznać, że rząd tego państwa wysyłając właśnie takiego człowieka jako swojego przedstawiciela (i – trudno uwierzyć, żeby mogło być inaczej – odpowiednio go briefując, jeśli chodzi o reakcję na śmierć Polaka), zrobił to przez pomyłkę. Jeśli jednak jest to działanie intencjonalne, wszystko wskazuje na to, że jego celem miał być wzrost nastrojów antysemickich w naszym kraju. Trzeba zresztą przyznać, że ambasador Izraela wyświadczył prawdziwą przysługą polskim antysemitom, szczególnie tym działającym w polityce. Na szczęście w porównaniu z tym, co dzieje się na Zachodzie, u nas ta grupa jest wyjątkowo mała, niemniej obecna – i ma ona od jakiegoś czasu swoje pięć minut. Rzecz jasna nie chodzi tu o usprawiedliwienia tego typu postaw, nawet najbardziej skandaliczne wypowiedzi jednej jednostki nie powinny rzutować na ocenę całości grupy, ale wiadomo, jak działa ludzka natura, zaś skrajna buta kogoś, kto, jak sam siebie określa, reprezentuje państwo Żydów, wywołałaby takie właśnie reakcje w każdym społeczeństwie. Tak doświadczony polityk jak ambasador Izraela musiał mieć tego świadomość. Sam fakt, że nie spotkały go też za to żadne konsekwencje ze strony jego własnego państwa, wyraźnie pokazuje, że miał na takie działanie przyzwolenie.

Jest to o tyle wstrząsające, że w ten sposób aktualny rząd Izraela systematycznie zwraca przeciw sobie jeden z ostatnich krajów Europy, gdzie jakaś sympatia do Izraela jest nadal obecna. Więcej, gdzie – w przeciwieństwie do większości Unii Europejskiej – nie istnieje żadna duża zbiorowość orientująca swoją tożsamość wokół nienawiści do Żydów (dlatego też nie płoną u nas synagogi). Trudno nie odnieść wrażenia, że aktualnie rządzący w Izraelu woleliby, żeby było u nas jak w Paryżu. Niestety, pierwszą ofiarą ich działań będą mieszkający tu Żydzi oraz, w wymiarze symbolicznym, pamięć o nich, to, na ile wciąż trwa, jako element naszej kultury. Warto zresztą zauważyć, jak już teraz wykorzystywana jest przez rozmaitych antysemitów wojna w Gazie, żeby właśnie uderzyć w ten ostatni element. W debacie publicznej zaczęły się regularnie pojawiać absurdalne porównania obecnego konfliktu do Zagłady i odezwy, że skoro Izrael i jego ambasador się w ten sposób zachowują, to i my powinniśmy rezygnować z upamiętniania wydarzeń takich jak powstanie w getcie.

Więcej awantur!

Jak się więc okazuje, Izrael, który sam siebie ustanowił ambasadorem interesów całej żydowskiej społeczności, jej obrońcą, działa na jej szkodę. Ponury dowcip polega na tym, że jest to od wręcz dekad „standard" tych, którzy roszczą sobie pretensje do bycia głosem polskich Żydów, strażnikiem ich historii etc. Idealnym przykładem tej patologii są działania Muzeum Żydów Polskich, Polin. Instytucja ta, w teorii, powinna zajmować się działalnością głównie muzealną i edukacyjną. Zamiast tego od wielu lat z ochotą dołącza się do rozmaitych awantur politycznych. Co więcej, wykorzystując obchody tak niesłychanie ważnego dla Polski wydarzenia, jakim było powstanie w getcie, usiłuje realizować własną agendę ideologiczną, która z upamiętnianiem tego zrywu nie ma nic wspólnego.

Co roku Polin organizuje akcję „Żonkile", w teorii mającą uświadamiać Polaków, że powstanie jest częścią naszej wspólnej historii, wydarzeniem, które, jak brzmi hasło tej kampanii, uzmysławia nam, że „łączy nas pamięć". Aby możliwie rozpromować tę inicjatywę, muzeum wybiera tak zwanych ambasadorów. W teorii powinny to być osoby rozpoznawane, takie, które, jak brzmi wspomniane już hasło, łączą. Możliwie niekontrowersyjne, wyrwane z istniejących obecnie w Polsce konfliktów, akceptowane przez całość społeczeństwa. Tymczasem od lat Polin wybiera osoby, które są jednoznacznie kojarzone – nie tylko z jedną opcją ideologiczną, więcej, także z konkretną partią polityczną i jej interesami, z jak najbardziej doraźnymi awanturami, które aktualnie dzielą Polskę. Przybiera to czasem naprawdę groteskowe formy.

Otóż ambasadorem akcji „Żonkile" w tym roku została „Lulla la Polaca", czyli Andrzej Szwan, znana polska drag queen. W materiałach promujących obchody powstania, jakżeby inaczej, występuje przebrany za kobietę. Należy tu wyraźnie zaznaczyć, że problemem nie jest sam Szwan i jego tożsamość (skądinąd został on uratowany z getta). Można spokojnie sobie wyobrazić kampanię, gdzie ta postać pokazywałaby mozaikowatość tej wspólnoty, która niesie dziś pamięć o powstaniu w getcie. To, jak owo wydarzenie łączy dziś osoby z najróżniejszych przestrzeni kulturowych czy politycznych. Niestety, Szwan jest wykorzystywany przez Polin jako swoista „wisienka na torcie", rodzaj deklaracji, której treść brzmi: jesteśmy tylko po jednej stronie, resztę zaś wykluczamy.

FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

eprasa.pl 0e52dac90d

Żyd ma dzielić

To, że, niestety, w ten sposób należy rozumieć udział Andrzeja Szwana w tej kampanii, potwierdzają słowa, które wypowiada on na filmie promującym akcję „Żonkile". Wyraźnie zaznacza, że jego udział nie jest związany tylko z kultywowaniem pamięci o powstaniu w getcie, ma także wymiar współczesny, jest bowiem wyrazem walki z każdą formą „zła, wykluczenia i dyskryminacji". Są to oczywiście słowa, pod którymi każdy może się podpisać, m.in. dlatego, że w dzisiejszych czasach okazały się one skrajnie polisemiczne, do tego wręcz stopnia, że stały się pustymi sloganami, dookreślane są dopiero poprzez świadomość tego, kto i w jakim kontekście je wypowiada. W wypadku Szwana jest to oczywiste, tak samo jak i u reszty ambasadorów – zresztą, warto to raz jeszcze powtórzyć: sam ich dobór już wyznacza taką interpretację. Chodzi po prostu o współczesną agendę tożsamościową lewicowych, zachodnich, antyreligijnych ruchów występujących pod szyldem LGBT i tęczową flagą.

Warto zwrócić uwagę, jak poważne są tego konsekwencje. Fakt, że „Żonkile" okazują się akcją, która wspiera konkretne dziś lobby ideologiczne, powoduje nie tylko, że zostają z niej, poniekąd z „definicji", wykluczeni ci Polacy, którzy mają bardziej konserwatywną wrażliwość, są wierzący bądź mają prawicowe poglądy. Nie tylko nie może się pod tym podpisać znacząca część samych Żydów, chociażby dlatego, że są religijni i tradycjonalistyczni. Okazuje się, że z tak sformułowanej „pamięci" wykluczona jest nawet większość tych, którzy w getcie walczyli oraz zginęli, dla których tego typu światopogląd, jak ten forsowany przez Polin i jego „ambasadorów", byłby w najlepszym razie skrajnie obcy, a w znaczącej części przypadków postrzegany jako coś wręcz niewłaściwego, nieakceptowalnego.

Taka postawa mówi chyba wszystko o upiornej lewicowej hybris, której konsekwencją jest brak szacunku wobec tych, o których, w teorii, się upomina, oraz ich instrumentalizacja. Pamięć nie ma być wspólna, ma być dystynktywna. Zresztą ci, którzy kierują Polin, oraz orbitujące wokół tej instytucji środowisko specjalnie tego nie ukrywają. Dla nich – powstańcy z getta, dla polskiego ciemnogrodu –„bandyci" wyklęci. To ma być, docelowo, tylko pamięć wielkomiejskiej elitki, o bardzo skonkretyzowanych poglądach. Komunikat Polin jest jasny: masz prawo do naszej pamięci, jeśli spełnisz określone warunki współczesności, staniesz po naszej stronie, przeciw tamtym, tym gorszym Polakom. W tym kontekście mamy więc do czynienia z powrotem Żydów jako narzędzia podziału, jako elementu dystynkcji, rozbicia, niszczenia wspólnoty.

To także nasza pamięć

Działania środowisk takich jak to związane z Polin są w ostatecznym rozrachunku dużo gorsze niż działania Izraela. To ostatnie jest jednak warunkowane dynamiką polityczną i, nawet jeśli tylko potencjalnie, może zostać zmienione. Jedno jest bowiem pewne: Izrael – tak w sferze polityki praktycznej, jak i historycznej – traktuje poważnie tylko tych, którzy są mu się w stanie postawić. Patrząc na to, kto dziś nami rządzi, raczej się na to nie zanosi.

Warto jednak zauważyć, że niezależnie od tego, iż nasze relacje z tym państwem mają w ostatnich latach wiele konfliktowych odsłon, szczególnie na polu historii, bywały też swoiste „jaskółki" potencjalnie nowej postawy Izraela wobec nas. Idealnym przykładem były te obchody powstania w getcie, gdy sam Netanjahu mówił o Warszawie Dwóch Powstań. Tymczasem opisywane tu środowiska, które za pomocą odpowiednio instrumentalizowanej pamięci o Żydach, robienia z niej narzędzi społecznej dystynkcji, budują swój status „elity", już się nie zmienią.

Na zakończenie tekstu trzeba dodać, że wiele środowisk żydowskich akceptuje działania takie jak te prowadzone przez Polin, same przytulają się do tego typu inicjatyw. Jest to o tyle absurdalne, że dziś widać, jak wielkim i realnym zagrożeniem dla społeczności żydowskiej jest dominujący na Zachodzie konstrukt ideologiczno-polityczny. Do czego prowadzi ten melanż multi-kulti, a jednocześnie skrajnie inwazyjnej, libertyńskiej, antyreligijnej i wymierzonej w tradycję tożsamości. Okazuje się on zagrożeniem nie tylko dla żydowskiej tradycji, która, z punktu widzenia owej ideologii, jest właściwie faszyzmem, lecz nawet dla fizycznego trwania żydowskich społeczności. Niezależnie jednak od tego, na ile niektóre środowiska żydowskie (na pewno nie ich całość) same przyczyniają się do tego stanu rzeczy, my jako Polacy, nieważne jakiego pochodzenia etnicznego, musimy z czymś takim walczyć. Bo historia polskich Żydów to także nasza pamięć. Ona nas stworzyła. Nie możemy naszej tożsamości z niej wykastrować, chociażby dlatego, że staniemy się przez to ubożsi, zaś nasza historia zostanie skażona fałszem. Jest w tym pewien paradoks, że to ta część prawicy, która dziś rozumie spuściznę I i II RP, musi walczyć o to z tymi, którzy nazywają siebie „przyjaciółmi Żydów", obozem „tolerancji i szacunku dla innych kultur". ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Małgorzata Matuszak

CZYM JEST DZISIAJ KOBIECOŚĆ?

Wszechobecny dziś dyktat wyglądu „wymywa" istotę kobiecości, sprowadzając kobietę do towaru, który dzięki ładnemu opakowaniu łatwiej jest sprzedać, przedstawić jako atrakcyjny. Współczesna socjologia mówi wręcz o zjawisku „wymytej tożsamości", czyli postrzeganiu drugiego człowieka przez pryzmat ciała, nie dostrzegając jego charakteru, talentów, intelektu i wszystkich innych cech, które stanowią o prawdziwej tożsamości. Tymczasem nie tak pragną być postrzegane współczesne kobiety. Nie chcą być urzeczowiane, lecz widziane w całym ich pięknie.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 0e52dac90d

Współcześnie jesteśmy świadkami transformacji życia rodzinnego. Spada liczba ślubów, rośne – rozwodów. Coraz większy odsetek dzieci rodzi się w związkach nieformalnych, wychowywanych jest przez jednego rodzica albo przez więcej niż dwoje rodziców, na przykład w tzw. rodzinach patchworkowych. W wielu krajach zinstytucjonalizowano małżeństwa tej samej płci, a pary jednopłciowe mogą adoptować dzieci. Powszechnie mówi się wręcz o kryzysie, a nawet rozpadzie rodziny, przynajmniej w takiej formie, jaką znamy. Zmienia się tym samym rola kobiety, jaką odgrywa ona w rodzinie. Wzór „kobiety sukcesu" wyparł – rzec można – wzorzec „matki Polki". Kobiety zaczęły realizować się również w sferze publicznej, zaburzyły się tym samym obowiązujące dotąd powszechnie podziały. Zmiany społeczne zmieniły nasz świat. Zmieniły kobiety. Kim są dzisiaj?

Co Polki mówią o sobie?

Zacznijmy może od tego, co kobiety, Polki, mówią same o sobie. Przede wszystkim coraz więcej przeświadczonych jest o tym, że dobrze jest być kobietą. Według raportu „Polki 2021. Nowe wartości na nowe czasy", opublikowanym na podstawie sondażu przeprowadzonego przez Centrum Badawczo-Rozwojowe BioStat, Polki zapytane o to, które wartości są dla nich najważniejsze, wskazały w pierwszej kolejności na zdrowie (87,8 proc.) i rodzinę (83,6 proc.), a na trzecim miejscu wymieniły spokój wewnętrzny. Na dalszych pozycjach uplasowały się kolejno: dzieci i wnuki, partner, relacje międzyludzkie, niezależność, przyjaźń, samorealizacja, wierność, szczerość, zwierzęta domowe, status materialny, uroda, sprawy duchowe i – na ostatnim miejscu – kariera. Zapytane: „Co oznacza dla Pani »kobiecość«?", Polki wskazywały w pierwszej kolejności na urok osobisty (68,8 proc), ciepło (56,9 proc.) i mądrość życiową (53,3 proc), następnie opiekuńczość (52,8 proc) oraz wdzięk (52,1 proc.). Dalej wymieniały siłę charakteru (46,0 proc.), atrakcyjność (44,6 proc.), na końcu zaś urodę (30,8 proc.).

To, że wszystkie Polki nie są takie same, to rzecz oczywista. Z raportu rysuje się nam jednak obraz kobiety serdecznej i wrażliwej, która nie chciałaby żyć samotnie, za najważniejsze w życiu uznającą rodzinę, zdrowie i solidarność. Obraz kobiety, która swój rozwój postrzega nie tylko jako ten, który dokonuje się w sferze zawodowej, lecz także w sferze osobistej, swoich pasji i zainteresowań. Która, choć uznaje swoją karierę za ważną, nie rozwinie jej kosztem najbliższych i nie postawi swego rozwoju ponad rodzinę.

Dorota Minta, psycholog i psychoterapeuta, prezes Zarządu Fundacji STOMAlife, tak komentuje wyniki tych badań: „Kobiety w Polsce ciągle wiążą siebie z rodziną i domem. Dlatego najpierw sprzątają, planują czas dla bliskich, a potem już mają jedynie siłę na fotel i serial. Nawet w myśleniu o relaksie Polki stawiają bliskich przed sobą. Ale jak mają być super partnerkami, matkami, jeżeli same o siebie nie dbają, nie cenią wartości, jaką jest ich dobrostan?". Z kim jednak mają się wiązać, skoro to właśnie rodzina i dom są dla nich najważniejsze? Czy to takie złe? Czy nie zasługuje na wsparcie w tych trudnych czasach kryzysu rodziny? Może naturalnych predyspozycji kobiet nie jest tak łatwo wykorzenić?".

Niepokoić może odpowiedź na pytanie „Czy lubisz siebie?", na które 28 proc. badanych Polek odpowiedziała, że nie. Jednak swoje wnętrze i tak Polki cenią wyżej niż ciało, na pytanie bowiem „Czy lubisz swoje ciało?", w badaniu „Siła kobiet" z 2020 roku, „nie" powiedziało aż 51 proc. ankietowanych. Kobiety gorzej oceniły również stosunek innych Polek do siebie – uznały, że 34 proc. z nich siebie nie lubi. Problemy z polubieniem siebie mają przede wszystkim (45 proc.) kobiety z pokolenia Young Millennials, a więc w wieku 26–31 lat.

Pod dyktatem ideologii konsumpcji

Stare stereotypy zostały jednak zastąpione nowymi. Wraz z przemianami, które rozpoczęły się w XX wieku i pojawieniem się feminizmu, ukształtował się nowy model kobiecości, obowiązujący przede wszystkim w krajach rozwiniętych i uprzemysłowionych – stereotyp „postfeministyczny". Stare „wymagania" względem kobiet zostały stopniowo wyparte przez nowe: współczesna kobieta ma być piękna, młoda, szczupła, mądra, bogata, świadoma siebie i swoich wyborów. Dostrzegamy dzisiaj nader wyraźnie, że kobiety nieustannie oceniane są według wzorca wytworzonego pod wpływem ideologii konsumpcji kultury masowej, opartej na „kulcie ciała". Podkreślając tę estetyczną dyskryminację współczesnych kobiet, których ciała podlegają ciągłej kontroli i ocenianiu, Zbyszko Melosik w swej pracy „Tożsamość, ciało i władza" stwierdza: „Coraz więcej zorientowanych na indywidualizm i konkurencję kobiet wchodzi w sferę publiczną, wyzwala się od domu i rodziny. Jednak wyzwolenie to ma charakter pozorny. Nową wersję podporządkowania stanowi ideologia konsumpcji. Ona z kolei, ze swoim »zmedykalizowanym kultem wydajnego zdrowia« oraz »skalkulowanym hedonizmem« uznaje właśnie ciało kobiece za »główny obiekt kontrolowanej transformacji«".

Wystarczy zajrzeć do kobiecych czasopism, na portale internetowe czy media społecznościowe. Nawet te „szanowane" strony opiniotwórczych portali

eprasa.pl 0e52dac90d

przepełnione są informacjami o tym, jak zmienił się – nieważne, czy na gorsze, czy na lepsze, przynajmniej w ocenie „redaktorów" – wygląd tej czy innej gwiazdy albo gwiazdeczki: czy ma makijaż, czy nie, schudła czy przytyła, że ubrała się w seksowne szorty, eksponujące jej zgrabne nogi i „kształtną pupę" albo obcisłą (oczywiście drogą, choć zdarza się, że i „niedrogą", jeśli podkreślić się chce inne przymioty owej „gwiazdy") sukienkę podkreślającą jej „ponętne kształty" i „niesamowite piersi". Oczywiście większość kobiet chce dobrze wyglądać, zawsze tak było, problemem jest jednak to, że dzisiaj wypaczona została miara, według której ktoś lub coś wygląda dobrze. Wykreowany przez ideologię konsumpcji wzorzec kobiecości jest bardzo ubogi i trudno go zaakceptować. O ciało i swoją powierzchowność należy dbać, to nie ulega wątpliwości, jednak wszechobecny dyktat wyglądu „wymywa" istotę kobiecości, sprowadzając kobietę do towaru, który dzięki ładnemu opakowaniu łatwiej jest sprzedać, przedstawić jako atrakcyjny, przede wszystkim seksualnie. Współczesna socjologia mówi wręcz o zjawisku „wymytej tożsamości". Polega ono na postrzeganiu drugiego człowieka poprzez pryzmat ciała, nie dostrzegając jego charakteru, talentów, intelektu i wszystkich innych cech, które stanowią o prawdziwej tożsamości. Nie tak pragną być postrzegane współczesne kobiety. Nie chcą być urzeczowiane, ale widziane w całym ich pięknie.

Ewolucja feminizmu

Termin „feminizm" pochodzi od łacińskiego słowa „femina", czyli „kobieta", i oznacza – według „Encyklopedii" PWN – „bardzo szeroki ruch o charakterze politycznym, społecznym, kulturowym i intelektualnym, którego różne orientacje, szkoły, teorie i badania łączy wspólne przekonanie, że kobiety były i są przedmiotem dyskryminacji". Jego celem jest więc to, by kobiety były traktowane na równi z mężczyznami. W swym założeniu jest więc ruchem słusznym. Jednak każda ideologia jest zła, kiedy się radykalizuje. Każda też ma swoich ekstremistów i nie inaczej jest z feminizmem.

Feminizm pierwszej fali, z przełomu XIX i XX wieku, był głównie walką o równouprawnienie w sferze głosowania demokratycznego, czynnych i biernych praw wyborczych, czyli dyskryminacją kobiet „de iure", i dostępu do edukacji. Walka ta zakończyła się w większości krajów w latach 30. przyznaniem tych praw obywatelskich i prawem posiadania własności przez kobiety. W drugiej fali feminizmu, obejmującej lata od 60. do 80. XX wieku, zaczęto zajmować się faktycznymi nierównościami w rodzinie i na rynku pracy, zwracano uwagę na szkodliwe stereotypy dotyczące wrodzonej irracjonalności kobiet przeciwstawianej męskiemu rozumowi, a także zajmowano się przemocą domową i gwałtami oraz seksualnością kobiet, przedmiotowym traktowaniem kobiet, dostępnością do antykoncepcji i aborcji. Trzecia fala trwa od lat 80. XX wieku do dziś. W tym czasie na pierwszy plan wysunęła się walka z patriarchatem, postrzeganym jako źródło dyskryminacji kobiet. To nurt bardzo zróżnicowany, feministki zaangażowały się bowiem w walkę o równouprawnienie różnych mniejszości takich jak religijne, seksualne czy rasowe. Wyróżnia się także nieraz czwartą falę feminizmu, w ramach której feministki walczą o przełamywanie stereotypów związanych z płcią i kwestionują tradycyjne role płciowe, zwalczają nierówności oparte na rasie, pochodzeniu etnicznym i identyfikacji kulturowej, a także krytykują zastane systemy społeczno-ekonomiczne.

Wszystko to wygląda dobrze w teorii. Kiedy jednak przyjrzymy się, jak o kobietę walczą współczesne feministki, trudno nie wyciągnąć jednego wniosku: o ile w pierwszej i drugiej fali feminizmu istotnie walczono o coś ważnego dla kobiet, o tyle trzecia i czwarta oddaliły się od feminizmu jako postulatu równouprawnienia płci. Zaczęto w nich traktować kobiety jako ofiary bądź jako potencjalne ofiary, nawet jeśli trudno wskazać obiektywne tego przyczyny, i postrzegać uprzedmiotowienie kobiet jako coś pozytywnego. Jak bowiem ocenić fakt, iż zaczęto pochwalać prostytucję, określając ją jako „sex work"? W obrębie trzeciej i czwartej fali pojawił się także „woke feminizm", który wszędzie widzi „toksyczną męskość", walczy z mężczyznami tylko z tego powodu, że oni nimi są. Poza tym definiuje kobietę jako „każdą osobę identyfikującą się jako kobieta", choć nie pozwala kobiecie nazywać się kobietą, a jedynie „osobą z macicą". Utożsamia się też ze stwierdzeniem pewnej czarnoskórej profesor prawa z Uniwersytetu Berkeley, że „pewne ciskobiety mogą zajść w ciążę, inne nie, są mężczyźni trans oraz osoby niebinarne, które mogą zajść w ciążę".

Siła jest kobietą

Madeleine Albright stwierdziła kiedyś: „W piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet". Solidarność kobiet jest niezwykle ważna, każda z nas jest bowiem silna, razem zaś posiadamy siłę zwielokrotnioną, która pozwala zdziałać dużo dobrego. Kobiety muszą zawalczyć o to, co dla nich istotnie ważne, choćby uznane zostało za niepostępowe. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Piotr Lisiewicz

Najpiękniejszy dywersant świata

Referat Destrukcji – tak się nazywali. „Kandydaci, którzy trafiali do Referatu Destrukcji, musieli odznaczać się umiejętnością podejmowania błyskawicznych i ryzykownych decyzji oraz odpowiednimi, bardzo specyficznymi cechami psychicznymi – zdolnościami aktorskimi, umiejętnością wcielania się w różne role i profesje. Od wszystkich pochodzących spoza Śląska wymagano też znajomości tzw. hochdeutsch, czyli niemieckiego literackiego. Referat potrzebował minimum 100 osób, aby dokonać zniszczeń obiektów rozrzuconych na przeszło 90-kilometrowym odcinku" – pisze Jadwiga Chmielowska. 23-letni Edmund Charaszkiewicz służył w nim w czasie III powstania śląskiego. A potem, dzięki temu doświadczeniu, miał stanąć na czele Ekspozytury 2. Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, która realizowała najpiękniejszy plan na świecie. Prometejski sojusz wolnych narodów przeciwko Moskwie i – po dojściu Hitlera do władzy – Berlinowi.

FOT. WIKIMEDIA (3)

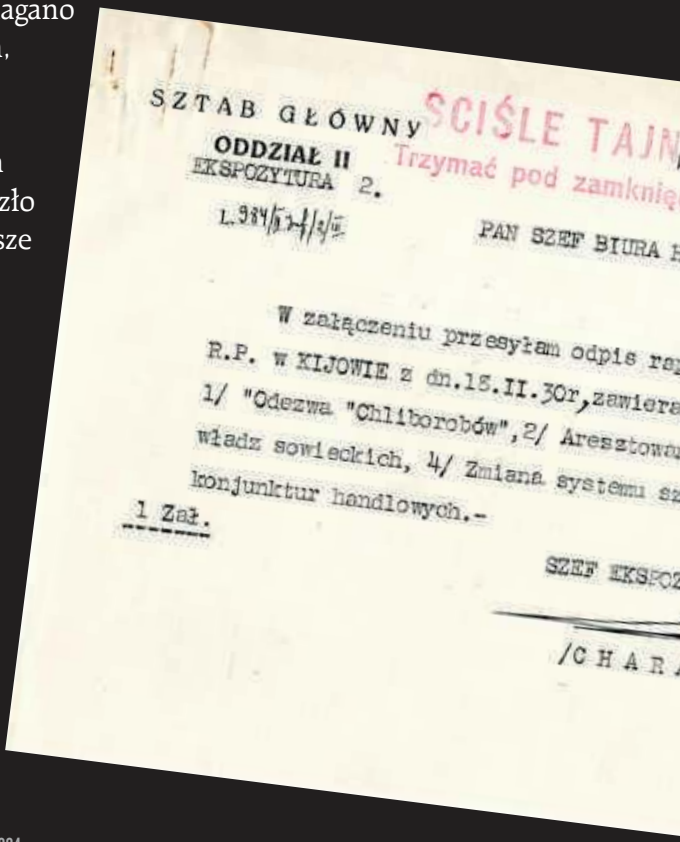
SZTAB GŁÓWNY
ODDZIAŁ II
EKSPOZYTURA 2.
ŚCIŚLE TAJN
Trzymać pod zamknię
PAN SZEF BIURA
W załączeniu przesyłam odpis re
R.P. w KIJOWIE z dn.15.II.30r,zawiera
1/ "Odezwa "Chliborobów",2/ Aresztowa
władz sowieckich, 4/ Zmiana systemu s
konjunktur handlowych.-
1 Zał.
SZEF EKSPO
/C H A R

eprasa.pl 0e52dac90d

SZTAB GŁÓWNY
ODDZIAŁ II

SCIŚLE TAJNE!
Trzymać pod zamknięciem

Warszawa, dnia 1 lipca

L. 1259/II Inf/2/III

SZEF BIURA HISTORYCZNEGO M.S.WOJSK.

w miejscu

/na ręce Pana Generała STACHIEWICZA /

W załączeniu przesyłam krótką informację, otrzymaną od rtm. GLIŃSKIEGO, o ukraińskich instytucjach i organizacjach we FRANCJI, podporządkowanych Rządowi U.R.L.

W najbliższym czasie opracuję całokształt stanu posiadania poszczególnych narodowościowych ośrodków emigracyjnych, który niezwłocznie prześlę do wiadomości.

1 zał.

SZEF EKSPOZYTURY 2.ODDZ.II.S.G.:

/C H A R A S Z K I E W I C Z/
Kapitan.

Warszawa, dnia 26 marca 1930 r.

3

HISTORYCZNEGO M.S.WOJSK.

w miejscu

portu polit.-inform.Nr.5.Konsul...
jący następujące informacje:
nia i teror, 3/ Zmiana ustroj...
kolnego i 5/ Instytut Badań...

ZYTURY 2.ODDZ.II.S.G.:

A S Z K I E W I C Z/
Kapitan

30-75

Tajne

Warszawa, dnia 1 lipca 1930 r.

18

SZTAB GŁÓWNY
ODDZIAŁ II

SZEF BIURA HISTORYCZNEGO M.S.WOJSK.

w miejscu

L. 1299/II Inf/2/III /na ręce Pana Generała STACHIEWICZA/

W załączeniu przesyłam odezwę Głównej Rady Ukraińskiej, protestującą przeciw kolektywizacji i rabunkowej gospodarce ekonomicznej Sowietów na Ukrainie oraz Biuletyn Ukraińskiego Biura Prasowego w Paryżu Nr.86. z dn.15.VI.30r. wraz z tłumaczeniem na język polski.

SZEF EKSPOZYTURY 2.ODDZ.II.S.G.:

/C H A R A S Z K I E W I C Z/
Kapitan.

3 zał.

eprasa.pl 0e52dac90d

Dywersja i sabotaż na wypadek wojny na terenie państw ościennych – tym zajmowała się Ekspozytura 2. Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Polski James Bond, czyli Edmund Kalikst Eugeniusz Charaszkiewicz, stał na jej czele przez 11 lat, a dokładniej w latach 1928–1939.

W Mandżurii z Mongoł-Buriatami. W imię niepodległości Polski

O skali działalności Charaszkiewicza najpiękniej mówią tytuły dokumentów, zgromadzonych w publikacji „II Rzeczpospolita wobec Ruchu Prometejskiego", której jednym z wydawców jest Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Walka o silną Polskę, budująca sojusz wolnych narodów zniewolonych oraz zagrożonych przez Moskwę, była organizowana pod każdą szerokością geograficzną. Na to owe tytuły:

– 20 lipca 1930, Paryż, Francja. Notatka wewnętrzna Ekspozytury 2 z konferencji kpt. Edmunda Charaszkiewicza i por. Stanisława Zaćwilichowskiego z Mustafą Czokajewem w sprawie działalności emigracji turkiestańskiej;

– 15 września 1931, Charbin, Mandżuria. Meldunek por. Zygmunta Krosnowskiego do kpt. Edmunda Charaszkiewicza, w sprawie ruchu Mongoł-Buriatów;

– 5 lipca 1932. Pismo kpt. Edmunda Charaszkiewicza do placówki „Rollin" w Paryżu w sprawie przebiegu rokowania Aleksandra Assatianiego z Centrum Narodowym Gruzińskim;

–23 lipca 1934. Pismo kpt. Edmunda Charaszkiewicza do placówki w Paryżu, w sprawie utworzenia Komitetu Przyjaźni Ludów Kaukazu, Ukrainy i Turkiestanu;

– 25 kwietnia 1935, Warszawa. Konferencja kpt. Edmunda Charaszkiewicza z Góralami Kaukaskimi w sprawie zharmonizowania pracy organizacyjnej w środowiskach terenowych emigracji góralskiej;

– 8 marca 1936, Paryż. Sprawozdanie mjr. Edmunda Charaszkiewicza, szefa Ekspozytury 2. Oddziału II Sztabu Głównego, z konferencji z Eminem bejem Rasul Zade, w sprawie działalności emigracji azerbejdżańskiej.

Polska – pierwsza pośród równych narodów

Tak, istniała kiedyś Polska, która zarażała swoimi ideami świat, a nie była rządzona przez najbardziej destrukcyjne światowe ideologie. „Koncepcję nazwaną prometeizmem tworzyła Polska, która od roku 1920 głosi ideę wspólnego frontu odrodzonych narodów wolnych i o wolność walczących, a które dzieliły kiedyś wspólną dolę narodów podbitych przez Rosję. Ideologia ta jest pojęta ściśle demokratycznie: narody łączące się w myśl jej haseł są równe. Polska zaś, jako jej inicjatorka i głosicielka, zajmuje w tym związku, dzięki swemu znaczeniu państwowemu, stanowisko »pierwszej wśród równych«" – pisał Edmund Charaszkiewicz w liście do majora Włodzimierza Dąbrowskiego.

Jak wyjaśnia Paweł Libera w piśmie IPN „Pamięć i sprawiedliwość", zupełnie na innych zasadach narody zagrożone przez Moskwę wspierane były przez Niemcy, które ustawiały się w roli „protektora nadrzędnego, kierującego akcją z punktu widzenia własnych interesów państwowych", czy Japonia, która prezentowała „prometeizm aposteriorycznyy, tworzący powolne sobie państwa i otwierający ogromne możliwości dla ekspansji".

Charaszkiewicz tak opisywał korzenie prometeizmu w referacie „Zagadnienie prometejskie" z 1940 roku: „Twórcą i duszą koncepcji prometejskiej był Marszałek Piłsudski, który jeszcze w roku 1904, w memoriale wystosowanym do rządu japońskiego zwrócił uwagę na konieczność wykorzystania w walce z Rosją licznych narodów nierosyjskich, zamieszkałych w basenach bałtyckim i czarnomorsko-kaspijskim, podkreślając, że naród polski, z tytułu swej przeszłości historycznej, zamiłowania do wolności i najbardziej zdecydowanej postawy względem zaborców – w walce tej niewątpliwie zajmie czołowe stanowisko, pociągnie za sobą proces emancypacyjny innych narodów uciśnionych przez Rosję".

Charaszkiewicz u Wawelberga

Edmund Charaszkiewicz urodził się 14 października 1895 roku w Poniecu niedaleko Leszna w Wielkopolsce. Był synem Stanisława, właściciela cegielni i składu drewna budowlanego, oraz Bronisławy z Rajewskich. Ukończył szkołę podstawową w Poniecu, a następnie uczęszczał do szkół średnich kolejno w Krotoszynie, Katowicach oraz Krakowie, gdzie ukończył gimnazjum 17 grudnia 1915 roku.

Był już wtedy – od sierpnia 1914 roku – 20-letnim żołnierzem Legionów Polskich. Wcześniej, 1 listopada 1913 roku, wstąpił do Związku Strzeleckiego, a w latach 1913–1914 uczęszczał do szkoły podoficerskiej Związku, używając pseudonimu „Kalikst". Pod koniec 1917 roku został wcielony do Polskiego Korpusu Posiłkowego, a 15 listopada 1918 roku został przyjęty do Wojska Polskiego, już w stopniu podporucznika. Uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej, bijąc się pod Nowymi Święcianami, Podbrodziem, Bezdanami, Wilnem i Ejszyszkami. A potem we wspomnianym III powstaniu śląskim. Jak wynika z dokumentów, od 2 maja do 15 sierpnia 1921 roku był zastępcą dowódcy plutonów rozbiórkowych zwanych Grupą Wawelberga.

Czym była Grupa Wawelberga? Jadwiga Chmielowska, której matka była żoną oficera Oddziału II, czyli najbardziej znienawidzonej przez komunistów przedwojennej „Dwójki", pisze o tym w cytowanym artykule w Śląskim Kurierze Wnet: „Choć przyszło Ślązakom cze-

eprasa.pl 0e52dac90d

kać na decyzję mocarstw przyznania Polsce ich ziem, doświadczeni ciągłymi tylko obietnicami, przestali wierzyć, że w drodze zabiegów dyplomatycznych można cokolwiek osiągnąć. Przygotowywali się więc do powstania. Już od grudnia 1920 r. kpt. Tadeusz Puszczyński zaczął tworzyć Grupę Destrukcyjną. Miała ona odciąć całkowicie teren plebiscytowy, czyli Górny Śląsk, od Rzeszy, by uniemożliwić przerzut wojska niemieckiego w rejony walk. Puszczyński przyjął pseudonim Wawelberg – czyli Wzgórze Wawelskie".

Zyta Zarzycka w książce „Polskie działania specjalne na Górnym Śląsku 1919–1921" tak opisuje rolę młodego dywersanta: „Nad finansami czuwał ppor. Edmund Charaszkiewicz. Wypłacał on kolejne zaliczki dopiero po drobiazgowym rozliczeniu poprzednich kwot. […] Po zakończeniu powstania do kasy zwrócono 4.364,05 z dokładnością do feniga. Resztę rozliczono rachunkami. Oczywiście referat dysponował też markami polskimi i dolarami. Walutę niemiecką kupowano w Gdańsku na czarnym rynku, przez wysyłanych tam specjalnie z Warszawy oficerów Wydziału Plebiscytowego".

Jak zauważa Chmielowska: „Zbieranina w tym referacie była wielka. Od górników po studentów, powstańcy śląscy i wielkopolscy, oficerowie WP i peowiacy z całej Polski". Zarzycka tak opisuje skład tych grup: „Znaleźli się w nich ludzie o rozmaitych poglądach politycznych, od skrajnie konserwatywnych – jak ppor. Edmund Charaszkiewicz, poprzez działaczy PPS, jak kpt. Tadeusz Puszczyński, por. Stanisław Baczyński, Stanisław Dubois, Kazimierz Kuszell, Stanisław Machnicki, Stanisław Saks, Wacław Wardaszako – po komunistów – jak Bohdan de Nissau. Różnice poglądów czy przekonań nie zaważyły jednak absolutnie na spoistości wewnętrznej i sprawności oddziałów dywersyjnych".

Studia z przerwami na wojenne awantury

Z przerwami na wojenne awantury Charaszkiewicz studiował w latach 1918–1923 prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W tym samym czasie jako młody legionista od listopada 1918 roku pracował w Ministerstwie Spraw Wojskowych w Warszawie. 15 listopada 1918 roku został przyjęty do Wojska Polskiego w stopniu podporucznika.

W kontekście prometejskim napisze o tym czasie: „W latach 1917–1921 – w okresie wyzwalania się narodów w basenach bałtyckim i czarnomorsko-kaspijskim spod wpływów Rosji – Polska była jedynym państwem współdziałającym czynnie z tymi narodami, napotykając w swoich wysiłkach na sprzeciw Koalicji, która przez popieranie białych Rosjan – dążyła do odbudowy monolitu rosyjskiego".

Jego umiejętności wywiadowcze Wojsko Polskie postanowiło wykorzystać w roku 1924. W lutym tego roku został przydzielony z 79. pułku piechoty w Słonimiu do Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w Warszawie. Od 1926 roku był oficerem polskiego wywiadu wojskowego. W Oddziale II Sztabu Generalnego pracował na stanowisku referenta spraw ukraińskich. A od 1928 roku kierował Ekspozyturą nr 2 Oddziału II Sztabu Generalnego.

Spory wewnętrzne na drugie miejsce

W referacie „Zagadnienie prometejskie" tak opisze sens działania polskich służb: „Polskie czynniki polityczne kierujące akcją prometejską na przestrzeni lat 1918–1939 przestrzegały przez cały czas czynnej współpracy z wyzwalającymi się narodami prometejskimi a później z emigracją polityczną prometejską następujących tez i zasad:

a) Treścią podstawową koncepcji prometejskiej jest walka z każdym ustrojem Rosji imperialistycznej o zdobycie wolności narodów i utworzenie na terenach etnicznie nierosyjskich, obejmujących baseny bałtycki, czarnomorski i kaspijski szeregu państw niepodległych, stanowiących wspólny front obrony przed agresją rosyjską.

b) We wspólnej walce o te cele, we wzajemnym uszanowaniu suwerenności polityczno-państwowej i konieczności wspólnej obrony przed agresją imperializmu rosyjskiego – mieści się realny interes polityczny państw i narodów wchodzących w skład frontu prometejskiego na czele z Polską.

c) We wspólnym interesie solidarnych wysiłków realizacyjnych wyklucza się eksponowanie na zewnątrz wzajemnych sporów wewnętrznych i pretensji sąsiedzkich, stojąc na stanowisku, że głównym celem koncepcji prometejskiej jest zdobycie niepodległości państwowej, a dopiero na dalszym planie ewentualne rozpatrywanie spornych zagadnień".

Młodzi endecy prometejscy

Jak podkreślał Charaszkiewicz, mimo że duchowym twórcą prometeizmu był Piłsudski, wcale nie była to idea całego jego obozu politycznego ani tylko jego obozu politycznego: „Koncepcja prometejska nie miała poparcia organizacyjnego ani też politycznego w poszczególnych partiach politycznych polskich zarówno na lewicy jak w centrum i na prawicy. Równocześnie należy stwierdzić, że również w obozie piłsudczykowskim ideologia ta miała dużo przeciwników… Natomiast obiektywnie należy stwierdzić, że w młodych kołach ND i w szeregach innych organizacjach młodzieżowych opozycyjnych, problem prometejski podejmowany był samorzutnie – pozytywnie, i zyskiwał zwolenników".

Rimantas Miknys, litewski historyk, dyrektor Instytutu Historii Litwy, tak pisze o prometejskich koncep-

eprasa.pl 0e52dac90d

cjach, że program Piłsudskiego „skierowany był przeciwko »zakodowanym po wsze czasy« rosyjskim zakusom ekspansyjnym, zmierzał do osłabienia wpływu tej ostatniej na wybrzeżach mórz Bałtyckiego i Czarnego". Jak dodaje, „Edmund Charaszkiewicz określił go jako próbę stworzenia wspólnego frontu Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Polski, a w razie przychylnych okoliczności – również Ukrainy z Białorusią przeciwko stałemu zagrożeniu Niemiec i Rosji dla tego regionu".

Mechmet i Sejdamet za Polską

Z jawnych już dokumentów dowiadujemy się, jaka była skala działań Ekspozytury 2. Jan Gawroński w liście ze Stambułu meldował Charaszkiewiczowi: „Dr Mechmet Dżan Yenilijew miał przyjechać stąd na stały pobyt do Warszawy jako przedstawiciel Tatarów krymskich: by mu to umożliwić z zarazem zapoznać go z naszą wojskową organizacją sanitarną miał otrzymać posadę w jednym ze szpitali wojskowych w Warszawie. Siedzi on tu i czeka na obiecane załatwienie sprawy: co z nią słychać?".

I dalej: „Sejdamet kończy obecnie broszurę polityczną o sytuacji w Rosji, do której mu materiałów dostarczyłem: wydanie tej broszury po turecku w obecnym momencie uważam za nader celowe w myśl ogólnych wytycznych naszego postępowania tutaj uzgodnionych podczas mego pobytu w Warszawie: broszura ta będzie miała ok. 120–150 str. Na koszt wydania tego będzie mi potrzeba około 150 dol. O wyasygnowanie mi których bardzo proszę".

Ten kierunek działalności antysowieckiej odgrywa swoją rolę. Charaszkiewicz odnotowuje „Bezpośredni udział w Wszechświatowym Kongresie Muzułmańskim w Jerozolimie (1929 rok), którego aspekt polityczny, dzięki udziałowi prometejskich przedstawicieli (Szamil Said Bey, Ayas Ishaki), zwrócił się przeciw Rosji Sowieckiej. W tym okresie cała prasa muzułmańska, zwłaszcza w Egipcie i w Arabii, prowadziła wytężoną akcję antysowiecką. Szamil Said Bey powołany został do centrum wykonawczego Kongresu w charakterze sekretarza".

Przeciwko Hitlerowi i Moskalom

Ekspozytura nr 2 Oddziału II Sztabu Generalnego, w odróżnieniu od innych ekspozytur, nie funkcjonowała jako organ terenowy polskiego wywiadu, lecz zajmowała się organizacją sabotażu i dywersji na wypadek wojny na terenie państw ościennych. Jak pisał w „Polsce Zbrojnej" Piotr Korczyński: „Od 1933 roku, czyli po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech, Ekspozytura 2 przystąpiła do rozbudowy na pograniczu polsko-niemieckim zakonspirowanych grup dywersyjnych – tak zwanych trójek, które jako zawiązki przyszłych oddziałów specjalnych szkolono w dowodzeniu, planowaniu, sabotażu, dywersji, akcjach bojowych, wywiadzie, kontrwywiadzie, propagandzie i łączności. W 1934 roku Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego rozszerzył działalność »trójek« na tereny III Rzeszy".

W latach 30. Charaszkiewicz był zastępcą kierownika „K 7" (Komitet Siedmiu). W 1932 roku w Warszawie powstał Instytut Europy Wschodniej, kierowany przez Edmunda Charaszkiewicza. Odnotowuje ona następujące ważne inicjatywy instytutu: na odcinku ogólnoprometejskim: „1) Utworzenie Instytutu Wschodniego w Warszawie z programem studiów Bliskiego i Dalekiego Wschodu – z równoczesnym potraktowaniem tej instytucji jako instrumentu politycznego dla spraw ogólnoprometejskich. 2. Powołanie do życia przy Instytucie Wschodnim w Warszawie Orientalistycznego Koła Młodych, jako organizacji młodzieżowej, poświęcającej się sprawom ogólnoprometejskim – z Ekspozyturami w Krakowie, Wilnie i Charbinie. 3. Stworzenie pisma »Wschód« (kwartalnik) poświęconego sprawom prometejskim. 4. Stworzenie stypendiów naukowych dla studentów prometejskich w Warszawie, Wilnie, Poznaniu, Krakowie, Paryżu, Berlinie, Kairze".

Ekspozytura, czyli Hubal i Poczta Gdańska

W 1938 roku Ekspozytura nr 2 uczestniczyła w zorganizowaniu dywersji na Zaolziu, a w 1939 roku w operacji „Łom" na Rusi Zakarpackiej. We wrześniu 1939 roku Charaszkiewicz był szefem Wydziału „F" Sztabu Naczelnego Wodza. Klęska była tragedią dla wszystkich, którzy w niej uczestniczyli. Jak pisze Piotr Korczyński, mimo wszystko „żołnierze Ekspozytury 2 zdołali na niektórych odcinkach frontu opóźnić marsz nieprzyjacielskich armii. W nocy 1 września niemieckie oddziały dywersyjne »Kampf- und Sabotageorganisation« i »Freikorps Ebbinghaus« starały się opanować centrum przemysłowe wokół Katowic. Ich plany pokrzyżowały jednostki złożone z byłych powstańców śląskich, między którymi znajdowali się ludzie szkoleni przez Ekspozyturę".

Członkowie Ekspozytury odegrali ważną rolę w obronie Poczty Gdańskiej. „Największą zasługą ludzi z grup dywersji pozafrontowej było rozpoczęcie pracy konspiracyjnej na zachodnich i północnych obszarach kraju. Często zapomina się, że przeszkolenie w dywersji pozafrontowej przeszedł także mjr Henryk Dobrzański »Hubal«. Po konsolidacji polskiego podziemia żołnierze Ekspozytury 2 stali się najbardziej wartościowym elementem pionu sabotażowo-dywersyjnego Związku Walki Zbrojnej oraz Armii Krajowej" – pisze Korczyński.

Na pierwszym planie zagadnienie ukraińskie

Po klęsce kampanii wrześniowej Charaszkiewicz trafił do Rumunii, a od listopada 1939 roku we Francji

eprasa.pl 0e52dac90d

był bez przydziału. Paweł Libera tak omawia „Pierwszą notatkę mjr. Edmunda Charaszkiewicza o »zagadnieniu prometejskim« (15.XI.1939)", czyli po wrześniowej klęsce: „Z jednej strony, tak jak większość wojskowych, którzy pełnili odpowiedzialne funkcje w czasie wojny obronnej 1939 roku Charaszkiewicz musiał złożyć relację z działalności w tym okresie przed komisją do spraw badania »przyczyn klęski w 1939 roku«. Z drugiej strony mając świadomość, że współpraca niemiecko-sowiecka stworzyła dogodną sytuację dla wykorzystania potencjału, jaki niósł ze sobą ruch prometejski, starał się przedstawić nowym władzom, zaciekle zwalczającym wszelkie pozostałości po poprzednich rządach, korzyści jakie przedstawiał kapitał w postaci wieloletniej współpracy polsko-prometejskiej".

Charaszkiewicz pisał w owej notatce: „Mamy za sobą 20-letnią ciągłą współpracę z czynnikami politycznymi, reprezentującymi koncepcję prometejską. Związani jesteśmy w tej dziedzinie z najbardziej wartościowymi przedstawicielami idei niepodległościowej – w znacznej mierze nowatorami tego ruchu oraz przedstawicielami rządów niepodległościowych z okresu 1917–1921 […] Na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie ukraińskie, które w ostatnich czasach we wszystkich ośrodkach politycznych ukraińskich przeszło znaczną ewolucję poglądów zarówno wskutek znegliżowania właściwych celów polityki niemieckiej, jak w wyniku stałej eksterminacyjnej działalności sowieckiej […]. W zakresie wyboru odpowiednich ludzi dla pracy powyższej winna być przestrzegana zasada jak największej fachowości w zakresie znajomości problemu i wiary w jego polityczną potrzebę i realność wykonania".

Niestety, postulowana przez Charaszkiewicza aktywizacja współpracy polsko-prometejskiej z wykorzystaniem brytyjskich środków finansowych nie doszła do skutku. Brytyjczycy, mający konszachty ze Związkiem Sowieckim, inne mieli priorytety…

W maju 1940 roku Charaszkiewicz wstąpił do Legii Oficerskiej w Niort. W Wielkiej Brytanii dowodził pociągami pancernymi „C" i „D" z 1. dywizjonu pociągów pancernych. W sierpniu 1943 roku został przeniesiony do Centrum Wyszkolenia Piechoty, następnie do Oddziału Administracyjnego MSWojsk. Po wojnie, do lutego 1946 roku, był zastępcą, a później szefem Oddziału Informacyjnego Inspektoratu Zarządu Wojskowego. 11 września 1948 roku został zdemobilizowany.

UB nadal boi się Charaszkiewicza

Tymczasem w PRL UB bardzo niepokoiła się stworzoną przez niego szpiegowską siatką. W wydanej przez ABW w 2019 roku publikacji „Kontrwywiad II RP (1914) 1918–1945 (1948)" czytamy, iż „w gronie byłych pracowników i współpracowników służb II RP, jacy po zakończeniu II wojny światowej znaleźli się na terenie województwa olsztyńskiego (wcześniej Okręgu Mazurskiego), wyróżnia się liczna grupa osób – współpracowników polskiego wywiadu Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego działających na terenie Prus Wschodnich. Byli to Polacy, często Mazurzy i Warmiacy, którzy przed 1939 r. byli obywatelami Niemiec lub Polski zaangażowanymi w prace wywiadowcze i dywersyjne, mające na celu penetrację wywiadowczą obszaru Prus Wschodnich".

Jak czytamy: „Osobą, która wysuwa się w tym środowisku na pierwszy plan, jest Paweł Sowa […], były działacz plebiscytowy zwerbowany latem 1924 r. przez Ekspozyturę nr 2 wywiadu Oddziału II w Gdańsku jako pracownik etatowy. Dokonał tego ppłk (wówczas por.) Edmund Charaszkiewicz". Sowie powierzono stworzenie sieci informacyjnej w Prusach Wschodnich opartej na działaczach Związku Polaków w Niemczech. Z nadania UB, Sowę rozpracowywał jego… zięć, agent o pseudonimie „Herykles". UB Charaszkiewicza bała się jeszcze w 1954 roku, gdyż opisywała, że z Sową nawiązał kontakt przez pośredników dawny przełożony z Oddziału II. „Wytypowano ppłk. Charaszkiewicza i mjr. Ankersteina jako prawdopodobnych zleceniodawców napisania listu" – czytamy.

Niepodległa zaczęła się upominać

Na emigracji w Wielkiej Brytanii Charaszkiewicz kontynuował działalność w ruchu prometejskim, działając w Lidze Niepodległości Polski, wydającej czasopismo „Niepodległość". Było to stronnictwo związane z obozem piłsudczyków, którego głównym celem było podjęcie walki o przywrócenie Polsce wolności i niepodległości. Liga Niepodległości Polski nie zaakceptowała porządku jałtańskiego i nie uznawała jakichkolwiek kompromisów wobec władz komunistycznych. Była krytyczna wobec iluzji środowiska paryskiej „Kultury" Jerzego Giedroycia. Krytykowała powrót do kraju działaczy emigracyjnych po 1956 roku.

Edmund Charaszkiewicz zmarł w Londynie 22 grudnia 1975 roku. Pochowany został na cmentarzu South Ealing. W 2017 roku niepodległa wówczas Polska upomniała się od Edmunda Charaszkiewicza. Staraniem Studium Europy Wschodniej UW, Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie oraz Fundacji Róbmy swoje dla kultury został odrestaurowany grób Charaszkiewicza. Prace renowacyjne wykonane zostały dzięki dofinansowaniu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Ochrona dziedzictwa kulturowego za granicą 2017". W 2018 roku w ramach konferencji prometejskiej grobowiec został odrestaurowany. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Dariusz Jarosiński

„Ta wojna zakończyła się dokładnie tam, gdzie się zaczęła. Na podwórku Hunów. [...] Ale na tym nie koniec. [...] To, co zrobili dzisiaj politycy w Waszyngtonie i Paryżu, podobni do ołowianych żołnierzyków, to historia, o której będziecie pisać przez jakiś czas. [...] Pozwolili nam wykopać w cholerę jednego gnoja, a jednocześnie zmusili, żebyśmy pomogli usadowić się następnemu, równie złemu albo jeszcze gorszemu niż tamten. [...] Wygraliśmy tylko szereg bitew, nie wojnę o pokój. [...] Będziemy potrzebowali nieustającej pomocy Wszechmogącego, jeśli mamy żyć na jednym świecie ze Stalinem i jego morderczymi zbirami" – mówił 8 maja 1945 roku, w dniu zakończenia wojny w Europie, podczas konferencji prasowej amerykański generał George Patton.

Kto wpuścił Czyngis-chana do Europy?

FOT. WIKIPEDIA/ DOMENA PUBLICZNA

Dla państw Europy Środkowo-Wschodniej, w tym dla Polski, akt kapitulacji nazistowskich Niemiec 8 maja 1945 roku nie był dniem zwycięstwa, nie oznaczał odzyskania wolności – był początkiem bolszewickiego zniewolenia, nową okupacją. Oznaczał dalszą walkę o utraconą niepodległość.

Polska osamotniona

W Polsce wiosną i latem 1945 roku w oddziałach partyzanckich walczyło około 20 tys. żołnierzy, a około 200 tys. osób brało czynny udział w konspiracji przeciwko Sowietom i instalowanej przez Stalina komunistycznej władzy. Gdyby nie oddziały NKWD, frontowe formacje Armii Czerwonej, nasi partyzanci w ciągu kilku dni rozprawiliby się z rodzimymi komunistami. Polacy mieli nadzieję, że sowiecka okupacja będzie trwała krótko, że dojdzie do konfliktu zbrojnego między zachodnimi aliantami a Sowietami.

Kiedy na ulicach Paryża, Brukseli, Rotterdamu, Londynu świętowano zwycięstwo, strzelały korki szampana, lało się wino, wiwatowali moskwianie na placu Czerwonym, w Polsce trwały aresztowania bohaterskich żołnierzy podziemia niepodległościowego, wywózki na Sybir. Likwidowano Polaków, którzy w jakikolwiek sposób mogliby zagrozić nowej bolszewickiej władzy.

W obliczu zbliżającego się zwycięstwa nad III Rzeszą przywódcy trzech światowych mocarstw alianckich, Związku Sowieckiego, USA i Wielkiej Brytanii, Józef Stalin, Franklin D. Roosevelt oraz Winston Churchill, uzgodnili w lutym 1945 roku na konferencji w Jałcie podział terytorialny Europy. Polska utraciła połowę swego terytorium – Kresy Wschodnie na rzecz Sowietów – i dostała się w obszar dominacji sowieckiej. Porozumienie jałtańskie było pogwałceniem Karty atlantyckiej z sierpnia 1941 roku, podpisanej przez Roosevelta i Churchilla. W ośmiopunktowej deklaracji za najważniejszy cel uznano „prawo wszystkich narodów do posiadania własnych rządów i własnego niepodległego państwa, do rozwoju gospodarczego i życia w pokoju po pokonaniu niemieckiej tyranii nazistowskiej".

Brytyjski historyk wojskowości Jonathan Walker, w książce pt. „Polska osamotniona. Dlaczego Wielka Brytania zdradziła swojego największego sojusznika?" pisał m.in., że „Polacy mieli się bić za Zjednoczone Królestwo, w zamian zaś obiecano im brytyjskie wsparcie w walce o wyswobodzenie ich kraju spod okupacji niemieckiej i sowieckiej. Ufali sojusznikom, jednak nie brali pod uwagę brutalnych zasad polityki mocarstwowej ani też zwykłej logistyki". Za ironię losu uznał autor fakt, że Anglia w 1939 roku „włączyła się w wojnę za sprawą Polski, a po alianckim zwycięstwie głównym poszkodowanym stała się właśnie Rzeczpospolita". Polska była czwartą siłą aliancką w czasie II wojny światowej. Anglicy i Amerykanie nie mieli wierniejszego sojusznika niż Polacy.

epra 52dac90d

„Wygraliśmy tylko szereg bitew, nie wojnę o pokój"

Wielki szacunek dla wysiłku zbrojnego polskich żołnierzy w czasie II wojny światowej wyrażał amerykański generał George Patton, najwybitniejszy dowódca wojsk alianckich – jego siódma, a później trzecia Armia, odegrały niebagatelną rolę w pokonaniu III Rzeszy. O żołnierzach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie mówił z dużym uznaniem: „[…] prezentują się najlepiej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem, łącznie z brytyjskimi i amerykańskimi". W maju 1945 roku uratował żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych od wydania ich w ręce Sowietów, czego domagał się od aliantów Stalin. „Na Boga! Bijmy tych Sowietów!" – miał krzyknąć na widok żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, dla których był pełen uznania.

Generał Patton doskonale rozumiał, że śmiertelnym zagrożeniem dla cywilizowanego świata są bolszewicy, o których pisał w dzienniku: „Rosjanie to rasa zasługująca na pogardę. Zwykłe dzikusy. Moglibyśmy ich rozpirzyć w cholerę". Gotów był po pokonaniu Niemców zaatakować Związek Sowiecki i pomóc Polsce i narodom Europy Środkowo-Wschodniej wywalczyć wolność. Charyzmatyczny generał wyzwolił ze swoim wojskiem dużą część Czechosłowacji, a na kilka dni przed zakończeniem wojny był bliski zajęcia Pragi, która – zgodnie z postanowieniami wielkiej trójki – miała stanowić jeden z powojennych łupów Związku Sowieckiego. Jednak otrzymał rozkaz od Dwighta Eisenhowera, naczelnego dowódcy Alianckich Sił Zbrojnych, aby natychmiast zaprzestać pościgu wojsk niemieckich i się wycofać.

8 maja 1945 roku, w dniu zakończenia wojny w Europie, podczas konferencji prasowej gen. Patton przemówił dosadnym językiem żołnierskim, niczego nie owijając w bawełnę:

„Problem w zrozumieniu Rosjanina jest taki, że nie bierzemy pod uwagę faktu, że on nie jest Europejczykiem, ale Azjatą i dlatego myśli pokrętnie. My nie możemy zrozumieć Rosjanina bardziej niż Chińczyka czy Japończyka i od kiedy mam z nimi do czynienia, nie miałem żadnego szczególnego pożądania zrozumienia ich poza obliczeniami jak dużo ołowiu lub stali trzeba zużyć, aby ich zabić. W dodatku, poza innymi cechami charakterystycznymi dla Azjatów, Rosjanie nie mają szacunku dla ludzkiego życia i są sukinsynami, barbarzyńcami i pijakami". „Ta wojna zakończyła się dokładnie tam, gdzie się zaczęła. Na podwórku Hunów. […] Ale na tym nie koniec. […] To, co zrobili dzisiaj politycy w Waszyngtonie i Paryżu, podobni do ołowianych żołnierzyków, to historia, o której będziecie pisać przez jakiś czas. […] Pozwolili nam wykopać w cholerę jednego gnoja, a jednocześnie zmusili, żebyśmy pomogli usadowić się następnemu, równie złemu albo jeszcze gorszemu niż tamten. […] Wygraliśmy tylko szereg bitew, nie wojnę o pokój. […] Będziemy potrzebowali nieustającej pomocy Wszechmogącego, jeśli mamy żyć na jednym świecie ze Stalinem i jego morderczymi zbirami". „Zastanawiam się, co powiedzą dzisiaj, wiedząc, że po raz pierwszy od stuleci pozwoliliśmy siłom Czyngis-chana wejść do Europy Środkowej i Zachodniej. Zastanawiam się, jak się czują, wiedząc, że w naszych czasach nie będzie pokoju, a Amerykanie, także ci, którzy się dopiero urodzą, będą musieli walczyć z Rosjanami jutro albo za piętnaście czy dwadzieścia lat". „Dzisiaj powinniśmy powiedzieć Rosjanom, że mają iść w cholerę, zamiast ich słuchać, kiedy nam mówią, że mamy się cofnąć. To my powinniśmy im mówić, że jeśli im się nie podoba, niech idą w piz..u, i wydać im wojnę. Pokonaliśmy jednego wroga ludzkości, ale umocniliśmy drugiego, znaczenie gorszego, w którym jest więcej zła i zajadłości niż w pierwszym".

W nosie miał Patton nie tylko poprawność polityczną, lecz także tzw. konwenanse: „Niestety, niektórzy z naszych przywódców są po prostu cholernymi durniami i nie mają pojęcia o historii Rosji. Cholera, mam wątpliwości, czy wiedzieli chociaż tyle, że Rosja jeszcze niecałe sto lat temu zajmowała Finlandię, wyssała krew z Polski i zrobiła z Syberii więzienie dla własnego narodu. Wyobrażam sobie, jak szydził Stalin, kiedy uzyskał od nich wszystko podczas tych niby konferencji".

Wielu politykom, dowódcom zalazł za skórę

11 maja w Paryżu Patton ponownie skrytykował politykę USA i Wielkiej Brytanii wobec Związku Sowieckiego i narodów Europy Środkowo-Wschodniej: „Na Boga, powinniśmy podrzeć te cholerne, podłe porozumienia z Sowietami i ruszyć prosto na wschodnie granice". Jakże gorzko brzmią słowa Pattona, szczególnie dzisiaj i szczególnie dlatego, że ciągle są aktualne. Amerykański generał był nie tylko wybitnym, nieustraszonym dowódcą, żołnierzem, którego żywiołem była wojna, lecz takze erudytą, znawcą historii wojen, doskonale rozumiał reguły rządzące rosyjską polityką imperialną.

Generał Patton uważał, że wyzwolenie Polski przez aliantów zachodnich było możliwe i zmieniłoby losy Europy. Fakt, że do tego nie doszło, składał na karb potajemnych działań podejmowanych przez sowieckich agentów uplasowanych w amerykańskich sferach rządowych. Po latach okazało się, że Patton miał rację – administracja Roosevelta była głęboko spenetrowana przez niewyobrażalnie dużą liczbę sowieckich agentów. Roosevelt bezgranicznie ufał Stalinowi.

W drugiej połowie 1945 roku odsunięto Pattona na boczny tor. Odebrano mu dowództwo nad 3. Armią i funkcję wojskowego gubernatora Bawarii. Został przesunięty na stanowisko dowódcy 15. Armii, która armią była tylko na papierze – w rzeczywistości była to kilkusetosobowa grupa oficerów zajmujących się głównie katalogowaniem skarbów skradzionych przez III Rzeszę. W październiku podjął decyzję o powrocie do USA i zapowiedział, iż publicznie ujawni wiele skrywanych tajemnic. 9 grudnia na jego sa-

eprasa.pl 0e52dac90d

mochód, generalski cadillac, najechała wojskowa dwuipółtonowa ciężarówka. Ranny trafił do szpitala, gdzie 21 grudnia 1945 roku zmarł. W oficjalnym raporcie podano, że przyczyną śmierci był zator płucny powstały w wyniku długiego leżenia bez ruchu. Zgodnie z ostatnią wolą, pochowano Pattona wśród jego podkomendnych na cmentarzu w Luksemburgu.

Kulisy śmierci Pattona nie zostały do dzisiaj wyjaśnione. Istnieje wiele dowodów świadczących o tym, że mógł to być zamach. Generał Patton był niewygodny zarówno dla Moskwy, jak i dla Waszyngtonu. Wielu politykom, dowódcom zalazł za skórę.

Czy historia mogła potoczyć się inaczej?

W marcu 2014 roku ukazała się w Polsce książka wspomnianego już brytyjskiego historyka, Jonathana Walkera, o zagadkowym tytule „Trzecia wojna światowa. Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina" (książka rok wcześniej pojawiła się w Wielkiej Brytanii). Okazało się, że tuż przed zakończeniem wojny premier Winston Churchill zlecił grupie zaufanych oficerów przygotowanie planu ataku na Związek Sowiecki, który był określany jako wyprzedzający atak sowiecki. Operacja została nazwana „Unthinkable", czyli „Nie do pomyślenia". Walker jako pierwszy badacz dotarł do brytyjskich archiwów, w których pod koniec lat 90. zostały zdeponowane ściśle tajne plany ataku na Sowietów i opisał założenia operacji. Już wcześniej pojawiały się pogłoski, że takie plany powstały, ale brytyjskie władze zaprzeczały tym rewelacjom. Trzeba dodać, że nie wszystkie szczegóły planów zostały ujawnione.

Najwyraźniej widać, że Churchill przejrzał na oczy, zrozumiał, że przegrał Europę Środkowo-Wschodnią, że fatalnym błędem było porozumienie zawarte ze Stalinem w Jałcie. Zdaniem Walkera, wiele do myślenia dało politykowi siłowe przejęcie władzy przez komunistów w Rumunii w marcu 1945 roku. Jednym z głównych celów operacji „Unthinkable" miało być „narzucenie Rosji woli Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego w sprawie zapewnienia uczciwych warunków dla Polski". Trudno uwierzyć, by premierowi Wielkiej Brytanii chodziło jedynie o ratowanie Polski, zapewne uświadomił sobie, że Związek Sowiecki, wzmocniony o kraje Europy Środkowej, może z czasem zagrozić państwom zachodniej Europy, również Wielkiej Brytanii. Churchill w przeciwieństwie do Roosevelta nigdy nie ufał Stalinowi, sojusz z nim traktował jako zło konieczne niezbędne do wygrania wojny. Roosevelt nie zdawał sobie sprawy z bolszewickiego zagrożenia, nie rozumiał Rosji, rosyjskiej, sowieckiej mentalności. „Wujaszka Joe" uważał za partnera, sojusznika. Realizację pomysłu o ataku na Sowietów zaczął premier Wielkiej Brytanii po śmierci prezydenta Roosevelta 12 kwietnia 1945 roku. Churchill był politykiem twardo stąpającym po ziemi, myślał o brytyjskim interesie narodowym oraz o zwiększeniu bezpieczeństwa całej Europy Zachodniej. Potrafił myśleć strategicznie, długoplanowo, miał realny lęk przed Stalinem, niestety nie miał sojuszników w swoim myśleniu nie tylko w Ameryce, lecz także w rządzie brytyjskim.

Plan zaopiniowany negatywnie

Brytyjscy planiści, a byli nimi trzej doświadczeni oficerowie z Połączonego Sztabu Planowania wraz z trzema asystentami do pomocy, przygotowali dwie wersje operacji „Unthinkable", której podstawowym celem było „wyrwanie Polski z rąk Stalina" – mianowicie „szybki sukces" i „wojnę totalną". Obie są zaskakujące, by nie powiedzieć szokujące. Obie zakładały, że w ataku na Sowietów wezmą udział Brytyjczycy, Amerykanie, Polacy i ...Niemcy, byli żołnierze Wehrmachtu. W pierwszej wersji wojska koalicji antysowieckiej miałyby zająć do zimy 1945 roku teren do linii Gdańsk–Wrocław, druga wersja, jak sama nazwa mówi, miała doprowadzić do wojny totalnej i zajęcia całej Polski. Zdaniem Walkera, ale nie tylko jego, również autora tekstu, wojna totalna zakończyłaby się katastrofą. Wojna miała się zacząć 1 lipca 1945 roku.

W pierwszym wariancie planiści zakładali m.in., że na wybrzeżu bałtyckim miały być zrzucone wojska desantowe, w okolicach Piły miało dojść do dużej bitwy pancernej, alianci mieli wystawić 20 dywizji pancernych przeciwko 36 dywizjom sowieckim. Oczywiście operacja miała się zakończyć sukcesem koalicji antysowieckiej. Wojna totalna z Sowietami przedstawiała się dużo mniej optymistycznie. Armia Czerwona była potęgą w Europie, przeważała nad armią aliantów w piechocie w stosunku 4:1, a w wojskach pancernych 2:1. Alianci mieli przewagę nad Sowietami, jeżeli chodzi o lotnictwo i flotę morską.

Problematyczne byłoby przekonanie rządu amerykańskiego do wojny z bolszewikami, choć nie żył już Roosevelt, a w Białym Domu zasiadał prezydent Truman, to jednak nadal bardzo aktywna i wpływowa była w Departamencie Stanu agentura sowiecka. Ponadto niewykonalnym zadaniem byłoby przekonanie do wojny z Sowietami amerykańskiej opinii publicznej. Społeczeństwo amerykańskie, a także brytyjskie, było okłamywane przez propagandę, że Stalin jest równorzędnym partnerem, wspaniałym sojusznikiem. Hollywood kręcił bardziej sowieckie filmy niż sami Rosjanie. Polak w tych filmach to był prostaczek, antysemita, skłonny do agresji i na dodatek jeszcze proniemiecki. Nastroje w społeczeństwie demokratycznym nie zmieniają się o 180 stopni w ciągu kilku dni czy nawet tygodni. To tylko niektóre z przeszkód w realizacji planu Operacji „Unthinkable". Na pewno chętnie wzięliby udział w wojnie z Sowietami żołnierze 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa, którzy stacjonowali we Włoszech, a także żołnierze w kraju Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych. Wojna ta mogłaby jednak zakończyć się tragicznie, ponieważ toczyłaby się na ziemiach polskich i Sowieci

eprasa.pl 0e52dac90d

z wielu polskich miast mogliby, w swoim zwyczaju, uczynić twierdze obronne.

Ostatecznie szefowie sztabu armii brytyjskiej zaopiniowali 8 czerwca 1945 roku plan Operacji „Unthinkable" negatywnie. Czyli uznali, że rzeczywiście jest nie do wykonania.

Jonathan Walker zakończył swoją książkę następującą konstatacją: „Udana próba nuklearna przeprowadzona w lipcu 1945 roku na krótko rozbudziła w Churchillu nadzieję na siłowe zwycięstwo nad sowieckim komunizmem. Jednak zaraz potem wyborcy pozbawili go władzy [w lipcu 1945 roku konserwatyści przegrali wybory – przyp. D.J.] i musiał pożegnać się z myślą, że pokieruje kiedyś operacją »Unthinkable«. Tę konkretną pałeczkę przejęli od niego Amerykanie i biegną z nią do dziś".

Polski maj 1945 roku

Z punktu widzenia polskiego podziemia niepodległościowego rozpoczęcie działań wojennych aliantów przeciwko Sowietom w lipcu 1945 roku, tak jak to planowali brytyjscy oficerowie w Operacji „Unthinkable", byłoby dobrym momentem. Już nigdy później nasze podziemie nie było tak silne jak wiosną i latem 1945 roku – był to okres nasilenia największych akcji zbrojnych skierowanych przeciwko bolszewii. Działania te ze względu na skalę zaangażowania zbrojnego przybrały charakter powstania narodowego, powstania antykomunistycznego. Według ustaleń dr. Tomasza Łabuszewskiego, latem 1945 roku w oddziałach partyzanckich walczyło około 20 tys. żołnierzy, a około 200 tys. osób czynnie brało udział w konspiracji. Wiele osób dezerterowało z jednostek „ludowego" Wojska Polskiego i Milicji Obywatelskiej i przechodziło do służby w oddziałach partyzanckich. Wśród żołnierzy podziemia, działaczy opozycji panowało powszechne przekonanie, że wkrótce alianci zaatakują bolszewików, wybuchnie nowy konflikt zbrojny, że istniejąca sytuacja nie potrwa długo.

Pomimo że 19 stycznia 1945 roku gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek" wydał rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej, wkrótce powstały nowe struktury podziemnego wojska. Wyłoniły się trzy główne nurty podziemia niepodległościowego: poakowski (początkowo była to formacja wojskowa Delegatura Sił Zbrojnych, a od 2 września Wolność i Niezawisłość WiN), narodowy (Narodowe Siły Zbrojne, Narodowe Zjednoczenie Wojskowe) oraz lokalne (na przykład Konspiracyjne Wojsko Polskie, Armia Krajowa Obywatelska). Jedynie w większych miastach komuniści mogli czuć się bezpiecznie, miasteczka i wsie były opanowane przez podziemie.

Polscy partyzanci pokazali w maju 1945 roku, jak się zwycięża, jak się bije bolszewików. Dla nich prawowity rząd RP znajdował się na uchodźstwie w Londynie, a nie był to przywieziony ze Związku Sowieckiego na ruskich tankach. Myślę, że warto przytoczyć choćby kilka przykładów zwycięskich bitew polskich partyzantów. Dowodzą one m.in. tego, jak bardzo Polacy pragnęli wolności. Wielu z nich miało nadzieję, że „Zachód się ruszy i pogoni bolszewika", że będzie III wojna światowa. Ci żołnierze zaprowadzali porządek w terenie, zwalczali pospolitych bandziorów, chronili polskie społeczeństwo przed bolszewią. Gdyby nie stacjonujące w Polsce frontowe wojska Armii Czerwonej, NKWD, polscy partyzanci roznieśliby w pył tzw. rodzimych komunistów, a Polski nie udałoby się skomunizować.

Dni chwały

W nocy z 1 na 2 maja 1945 roku w Krasnosielcu koło Makowa Mazowieckiego przeprowadzono udaną akcję odbicia 42 żołnierzy Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych z więzienia Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Akcję przeprowadzili żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych z oddziału Romana Dziemieszkiewicza „Pogody", brata Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja". Akcja zakończyła się sukcesem, udało się odbić więźniów przeznaczonych do wywózki do Związku Sowieckiego. Jeden z partyzantów, Czesław Czaplicki „Ryś", tak wspominał po latach: „»Pogoda« [...] wygłosił płomienne przemówienie na temat obowiązku samoobrony przed niszczycielskimi represjami drugiego okupanta, działającego poprzez swoją agenturę ubecko-pepeerowską, oraz niesienia pomocy torturowanym i rodzinom mordowanych patriotów. Po wspólnym odmówieniu modlitwy i odśpiewaniu hymnów: »Boże coś Polskę« i »Jeszcze Polska nie zginęła« oddział wyruszył na akcję". Podczas akcji zginął jeden spośród 60 żołnierzy biorących udział w ataku na więzienie, był nim komendant Okręgu II – Mazowsze-Północne NSZ Julian Pszczółkowski „Myśliwiec". Funkcję tę przejął w roku 1943, jako 18-letni żołnierz po swoim poległym bracie, obaj zginęli w wieku 21 lat. Zginęło dziewięciu funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, wielu zostało rannych. Kilkunastu funkcjonariuszy milicji i UB, którzy pośpieszyli z pomocą załodze aresztu, zostało wziętych do niewoli. Z tego grona sąd wojenny partyzantów skazał komendanta posterunku Milicji Obywatelskiej w Krasnosielcu Ignacego Boczara i zastępcę komendanta ds. politycznych Czesława Kuczyńskiego na śmierć za znęcanie się nad więźniami aresztu. Większość uwolnionych więźniów dołączyła do oddziału Romana Dziemieszkiewicza „Pogody".

W kwietniu 1945 mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" wznowił działalność i wyszedł w pole z wileńskimi i podlaskimi żołnierzami. Odtworzona przez mjr. „Łupaszkę" 5. Brygada Wileńska AK liczyła latem 1945 roku 250 żołnierzy. Wykonała kilkadziesiąt akcji przeciw formacjom sowieckim NKWD, oddziałom Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Milicji Obywatelskiej oraz Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. 5. Brygada Wileńska AK była uznawana za najgroźniejszy i najskuteczniejszy oddział podziemia antykomunistycznego na terenie Białostocczyzny. W tym okresie wchodziła w skład Armii Krajowej Obywatelskiej.

eprasa.pl 0e52dac90d

Głośną akcją przeprowadzoną przez połączone oddziały Armii Krajowej Obywatelskiej z obwodów Grajewo i Łomża na terenie Obwodu grajewskiego było opanowanie w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku miasta Grajewo, czyli dokładnie wtedy, kiedy na zachodzie Europy świętowano zwycięstwo aliantów nad III Rzeszą i koniec wojny. Pierwotnie akcję opanowania miasta planowała Komenda Powiatowa NSZ, kiedy jednak odstąpiła od zamierzeń z powodu zbyt skromnych sił, rękawicę podjął mjr Jan Tabortowski „Bruzda", wybitny dowódca, kawaler Virtuti Militari, trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, pochodzący z Nowogródka, do którego nie mógł wrócić, bo tam urządzili się już bolszewicy. Po uzyskaniu niezbędnych informacji wywiadowczych, opracowaniu planu działania, została zarządzona mobilizacja pododdziałów AKO z obwodów Łomża i Grajewo. Wydzielono trzy grupy uderzeniowe: grupa ppor. Stanisława Marchewki ,,Ryby'' miała zdobyć budynek Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, grupa por. Franciszka Warzyńskiego ,,Wawra'' miała opanować budynek Komendy Powiatowej MO i trzecia – ppor. Antoniego Kurowskiego ,,Olszyny'' – miała zablokować sowiecką komendanturę wojenną bronioną przez kilkudziesięcioosobowy oddział żołnierzy sowieckich. Zadaniem pododdziału Władysława Rzeniewicza ,,Dęba'' było zablokowanie i ubezpieczenie ulic wylotowych z miasta. 8 maja około godziny 23 oddział partyzancki liczący 200 partyzantów pod dowództwem majora „Bruzdy" wkroczył do Grajewa od strony stacji kolejowej. Krótko przed akcją został zarządzony apel, w czasie którego przemówił mjr „Bruzda", powiedział m.in., że wojna cały czas trwa, Sowieci chcą zrobić z Polski siedemnastą republikę, a oni, żołnierze AK, muszą pokazać światu, że się z tym nie zgadzają. Po wejściu do miasta żołnierze rozdzielili się na grupy. Akcja przebiegła zgodnie z planem, sprawnie. Siły komunistów, w tym Sowietów, liczyły w mieście 250 ludzi. Zostały zdobyte budynki PUBP i KPMO. Całe miasto znalazło się we władaniu partyzantów. Uwolniono z aresztu około 120 więźniów, z izby skarbowej i starostwa zabrano maszyny do pisania, sprzęt biurowy, dokumenty, pieniądze. O świcie mjr „Bruzda" dał sygnał rakietą do odwrotu.

W czasie akcji w Grajewie z oddziału mjr. „Bruzdy" zginął jeden partyzant, natomiast straty po stronie bolszewii wyniosły kilkunastu ludzi (dokładna liczba nie została ustalona). W drodze powrotnej partyzanci rozbili posterunek MO w Szczuczynie. W kilka dni później, 11 maja, kilkuosobowy patrol partyzancki pod dowództwem mjr. „Bruzdy" zaatakował na drodze koło miejscowości Wyrzyki na trasie Łomża–Wizna samochód wiozący grupę operacyjną Komendy Głównej MO z Warszawy. W zasadzce zginęło 16 z 20 funkcjonariuszy, czterech rozebrano i puszczono wolno. Partyzanci zdobyli dużo broni. W ciągu trzech tygodni mjr „Bruzda" przeprowadził trzy zbrojne akcje zakończone sukcesem, zyskał wśród miejscowej ludności sławę „Zagończyka". Major Tabortowski zginął z bronią w ręku w 1954 roku.

Akcja w obozie NKWD w Rembertowie

Bolszewicy zaczęli wprowadzanie systemu komunistycznego w Polsce od organizowania aparatu represji, tworzenia aresztów, więzień, obozów. Częstokroć wykorzystywane były w tym celu gotowe już poniemieckie obiekty. W Rembertowie obóz NKWD został utworzony na przełomie 1944 i 1945 roku na terenie byłej fabryki amunicji. Przebywali w nim żołnierze AK, NSZ, Szarych Szeregów, a także działacze Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Narodowego, Polskiego Czerwonego Krzyża. Wśród więźniów byli m.in.: pierwszy szef Kedywu KG AK płk August Emil Fieldorf „Nil" (ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem Walenty Gdanicki), wiceprezes Stronnictwa Pracy Jan Hoppe, p.o. komendanta Obszaru Warszawskiego AK ppłk Zygmunt Marszewski „Kazimierz" i wielu innych konspiratorów podziemia. W sumie w obozie przebywało około 1950 osób. Obóz pełnił funkcję miejsca zbornego przed deportacją do łagrów sowieckich. Inicjatorem uwolnienia więźniów, którzy mieli być wywiezieni do Sowietów 25 maja, był dowódca Obwodu Mińsk Mazowiecki AK kpt. Walenty Suda „Młot". Wykonanie zadania powierzono ppor. Edwardowi Wasilewskiemu „Wichurze". Grupa partyzantów, z którą wyruszył 21 maja w nocy na akcję, liczyła 44 partyzantów. Akcja zaczęła się w momencie zmiany warty. Niestety nie udało się uruchomić zdobytych w obozie samochodów ciężarowych, którymi miano ewakuować uwalnianych, nie udało się też otworzyć wszystkich baraków. Po 20 minutach akcji „Wichura" wydał rozkaz do odwrotu. Według szacunków w czasie akcji zginęło od 20 do 68 funkcjonariuszy NKWD, trzech partyzantów zostało rannych. Rozbicie obozu NKWD w Rembertowie było jedną z najbardziej brawurowych akcji bojowych polskiego podziemia antykomunistycznego – udało się dzięki niej uwolnić około 500 osób. W maju 1945 roku działo się rzeczywiście dużo. 24 maja doszło we wsi Las Stocki w pobliżu Kazimierza Dolnego do jednej z największych bitew w historii walk partyzanckich. Połączone siły zgrupowania mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika" zostały zaatakowane w czasie odpoczynku przez liczącą 200 ludzi formację złożoną z żołnierzy NKWD oraz funkcjonariuszy UB i MO dysponującą trzema samochodami pancernymi, dwoma transporterami oraz tankietką. Dowodzili oficerowie sowieccy. Połączone oddziały partyzanckie liczyły 170 osób. Początkowo siły komunistyczne uzyskały lekką przewagę w boju, bo udało im się zaskoczyć odpoczywających partyzantów. Zlikwidowanie przez mjr. „Orlika" i Wacława Kuchnio „Spokojnego" sześcioosobowego dowództwa NKWD spowodowało, że bolszewicy wpadli w panikę i dali się zepchnąć do wąwozu, których w okolicy nie brakowało. Bitwa trwała do zmierzchu. W walce zginęło 40 bolszewików, mjr „Orlik" stracił 11 partyzantów. Warto dodać, że w bitwie tej brał udział kpr. Jerzy Ślaski ps. „Nieczuja", autor książki „Żołnierze Wyklęci". ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Agnieszka Kowalczyk

Jak Polacy zdobyli Monte Cassino. W 80. rocznicę bitwy. Część II

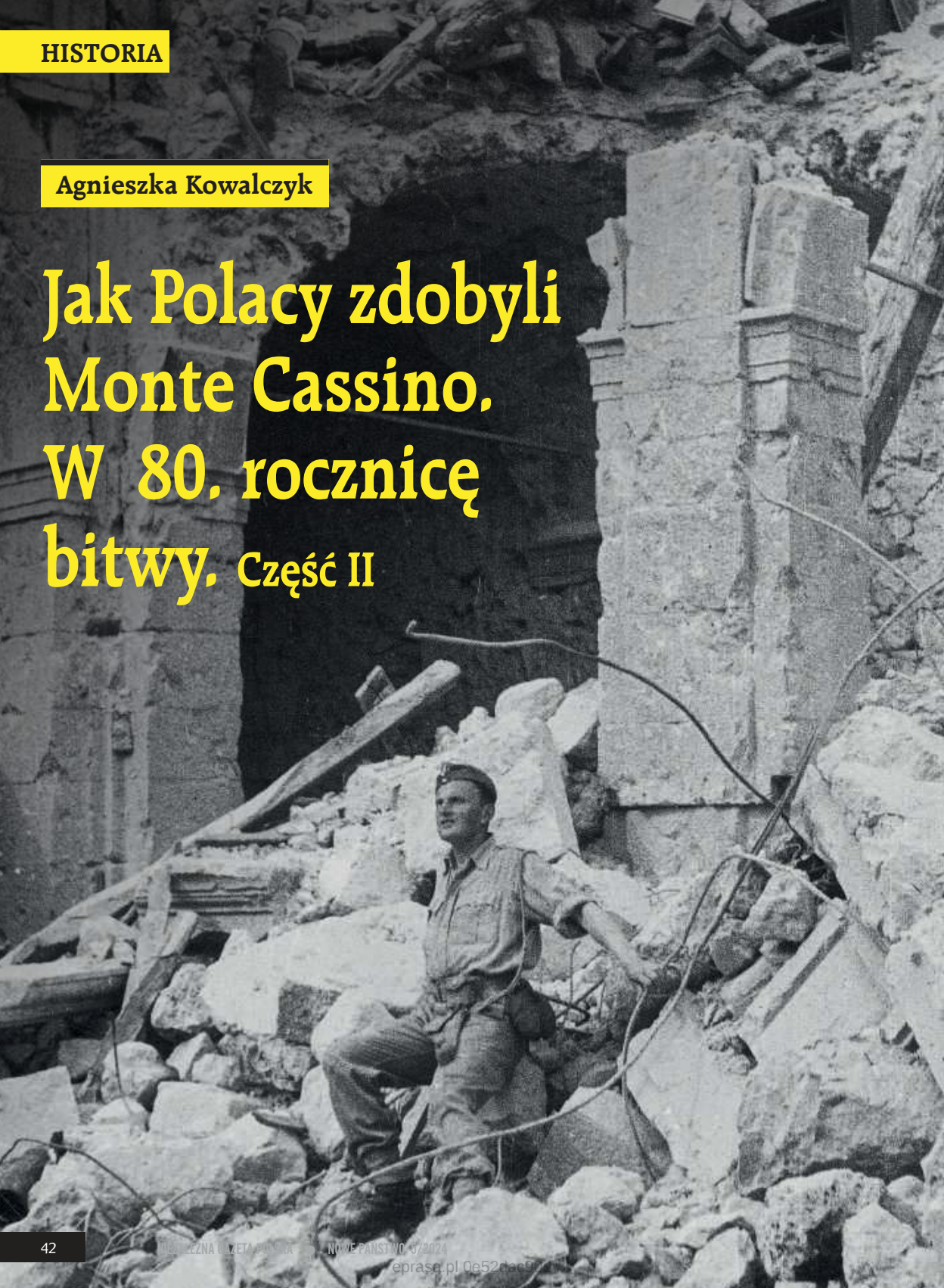

eprasa.pl 0e52dac90d

„Wielki zaszczyt spotkał ppor. Kazimierza Gurbiela i jego trzynastu ułanów z dywizyjnego pułku rozpoznawczego. Weszli jako pierwsi na Górę klasztorną. [...] Dla nas ta góra była najbardziej niedostępnym szczytem świata, trudniejszym do zdobycia, niż Mount Everest, niż Nanga Parbat... Lecz tędy prowadziła droga do Polski" – tak o słynnej wiktorii polskiego oręża mówił ppor. Witold Domański.

Za naszą i waszą wolność
my żołnierze polscy
oddaliśmy Bogu ducha,
ciało ziemi włoskiej,
a serca Polsce

Sentencja wyryta na kamieniu znajdującym się na Cmentarzu żołnierzy II Korpusu na Monte Cassino

FOT. NAC

Bitwa o Monte Cassino była dla Polaków mordercza i krwawa, ale wygrana. Okupowany przez Niemców klasztor benedyktynów, a właściwie już jego ruiny, zostały zdobyte 18 maja 1944 roku przez żołnierzy II Korpusu gen. Władysława Andersa. Na znak tego historycznego zwycięstwa pośród osnutych dymami gruzów rozległ się Hejnał Mariacki odegrany przez plutonowego Emila Czecha. Obwieszczał wszem wobec, że Polacy przełamali linię Gustawa i otwarli aliantom drogę na Rzym. Zza kamieni wyjrzały żołnierskie twarze – „śmiertelnie zmęczone, zarośnięte, brudne, lecz oczy strzelców karpackich pełne były blasku i łez. Ci zahartowani w wielu ciężkich bojach żołnierze, otrzaskani na stokach Monte Cassino z widokiem tak potwornej ilości śmierci, rozmazali się jak dzieci, kiedy po tylu latach tułaczki, nie z radia, ale z niezdobytej dotąd niemieckiej twierdzy, wśród padających gęsto pocisków usłyszeli sygnał hejnału – głos Polski" – wspominał plutonowy Władysław Choma. Po wielomiesięcznych bezskutecznych próbach przełamania niemieckich pozycji przez aliantów to właśnie Polacy dokazali niemożliwego w boju o Monte Cassino, okupionym krwawą hekatombą.

Kresowa rusza na Widmo!

Pierwszy szturm polskich sił pod Monte Cassino (11–12 maja 1944) zakończył się wprawdzie niepowodzeniem, ale żołnierze gen. Andersa nie poddali się i już 17 maja uderzyli na Niemców po raz drugi. Zgodnie z przyjętym planem 5. Dywizja Kresowa miała zdobyć osnute mgłami wzgórze Widmo, potem kolejne – San Angelo i wzniesienia 575, a 3. Dywizja Karpacka – wyniosłości 593 i 569, Massę Albanetę i krawędź nad stokiem doliny Liri.

Do ataku na Widmo ruszyło z impetem pięć batalionów piechoty pod rozkazami płk. Klemensa Rudnickiego, oddział komandosów mjr. Smrokowskiego, szwadron czołgów 4. Pułku Pancernego i pluton saperów. Przed nimi droga najeżona minami i czający się w skalnych bunkrach niemieccy strzelcy wyborowi. Polacy, wspomagani siłą artylerii i czołgów, „wyłuskują bunkier po bunkrze z piata na odległość 15–20 kroków – opowiada Melchior Wańkowicz. – Cała drużyna Lewandowskiego ginie w walce na granaty. Lewandowski siedzi na głazie i płacze. Nadbiega drużyna Gasińskiego. Płaczący Lewandowski skoczył, wyprzedził nadbiegającą drużynę, rozwalił bunkier, który wybił jego ludzi". Z kolei kapitan Łempicki, który stracił sześciu żołnierzy, oczekiwał przeciwnatarcia, uzbroiwszy się w rury Bangalora, grożące nieprzyjacielowi eksplozją. Tymczasem na Widmo rzuciła się kompania por. Perkowskiego i od razu dostało się jej od niemieckiej artylerii – „jęczą ranni, sześciu zabi-

eprasa.pl 0652dac90d

tych. Rwą dalej, eksplodują miny". Sam Perkowski atakuje niemiecki schron. Mimo iż pocisk gruchocze mu lewą rękę, chwyta za pistolet i celuje wprost w otwór wrogiego bunkra. W chwili wystrzału ścina go z nóg niemiecka seria.

W ten sposób zatraceni w walce kresowiacy eliminowali bunkier po bunkrze. Powoli Widmo przechodziło w polskie ręce. Niemcy jednak nie dawali za wygraną. Przeszli do kontrataku. „Podchorąży Gasiński nie wytrzymał – pisał Wańkowicz – wyskoczył z bunkra z tomiganem [pistoletem maszynowym Tommy Gun]. »Pędzić ich!…« – woła półdziecinnym głosem (przed kilku miesiącami otrzymał wojenną maturę). Wskoczył na sąsiedni bunkier, który mu przysłaniał atakujących Niemców. Dostał serię. I, cały roznamiętniony, grający najszczytniejszą rolę wobec kompanii w najdramatyczniejszym teatrze świata, krzyknął: »Gasiński nie żyje!…« i stoczył się z tym ostatnim meldunkiem z bunkra". Tymczasem rozgorzała walka na granaty. Żołnierze gen. Andersa nie ustępowali Niemcom ani o krok, aż do opanowania Widma. Był to jednak dopiero początek wszystkiego, bo przed 5. Dywizją Kresową rozpostarły się zionące ogniem góry – Małe i Duże San Angelo.

Na Górze Anioła Śmierci

Ku tym właśnie wzniesieniom wyruszył 17. Batalion mjr. Baczkowskiego. Jego żołnierze zdobyli najpierw Małe San Angelo, biorąc do niewoli jedenastu wywleczonych z bunkrów Niemców. Mimo iż ogień przybierał na sile, kto żyw gnał dalej, ku leżącej za doliną Górze Anioła Śmierci. Tam „bunkry są obsadzone – gryzą". To prawdziwe fortece, z których grzmi z karabinów maszynowych po trzydziestu Niemców. Kresowiacy, odcięci od dostaw amunicji, zalegli tuż przed rażącymi ogniem bunkrami wroga, nie mogąc się ruszyć nawet o centymetr. „Idą kwadranse za kwadransami, jest coraz więcej rannych, nerwy ludzkie nie wytrzymują tego napięcia. Rozpoczyna się zbiorowa histeria. Tu i tam rozlega się spazmatyczny szloch. Jeden z żołnierzy, obojętny na wszystko, podnosi się i siada na wystającej skale, jakby to była ławeczka w parku. Jedno pyknięcie – zabija go strzelec wyborowy. Inni – w bezsilnej rozpaczy – kamieniami rzucają na stanowiska niemieckie". I wtedy to sierżant Czapiński intonuje pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła". Wnet podchwycili ją współtowarzysze i śpiew rozszedł się wśród śmiercionośnych pocisków na skałach Dużego San Angelo.

Niemcy widzą wszystko, więc wykonanie jakiegokolwiek ruchu grozi śmiercią. Kapitan Niedzielski padł za głazem. Nie może nawet drgnąć, bo wróg ma go na celowniku. Zauważono jego mapnik i lornetę. Niemcy wiedzą, że to oficer i nie spuszczają go z oka. Pociski karabinowe hulają zaledwie parę cali nad jego ciałem. Gdy na próbę uniósł nieco w górę małe blaszane pudełko, natychmiast przeszywa je kula, która, odbiwszy się od hełmu, rani go w kolano. „Dowódca 3 kompanii, kpt. Królak, zostaje po raz drugi ranny w tę samą rękę. Potem – po raz trzeci. Targnął się – raził go pocisk moździerzowy, padł z pękniętymi dwoma kiszkami, przestrzeloną przeponą brzuszną i płucami. Widzi, a tu mu kiszki pełzną spod pasa głównego. Skoczył ku niemu sanitariusz i padł zabity. Królak stara się władować wywalone wnętrzności, widzą to, nikt nie może dojść".

Jedyna nadzieja w 13. Batalionie „Rysiów", który zaległ na skłonie Widma, zdziesiątkowany, wyrżnięty po pierwszym majowym szturmie. Jego żołnierze trwali przez pięć dni w stromym wąwozie, wisząc na skałach, bez koców, jedzenia, wody. Ich dowódca ppłk Władysław Kamiński, wezwany na pomoc ginącym pod San Angelo, z okrzykiem: „Dojdę albo ziemię będę gryzł", poderwał się pierwszy i dostał serię w pierś. Dopadł do niego adiutant Haraburda, uniósł mu głowę i usłyszał ostatni szept: „To za Polskę". Jako następny padł ciężko ranny mjr Jan Żychoń. Doniesiono go na punkt opatrunkowy, gdzie skonał.

Przedostawszy się na San Angelo, oddział „Rysiów" trwał tam długo w bezpośredniej odległości od umocnień nieprzyjaciela. Gdy po śmierci dowódców osiemnastoletni radiotelegrafista Beck dobiegł pod niemieckie bunkry i schroniwszy się między skałami, wysłał komunikat o braku amunicji, otrzymał odpowiedź: „Pamiętajcie, żeście Polakami". Tak jest – odparł po żołniersku i natychmiast przekazał te słowa współtowarzyszom.

Gdy płk Klemens Rudnicki, pięć minut przed godziną 20, nawiązał telefoniczny kontakt z gen. Andersem, meldował mu o poważnym kryzysie, jaki nastąpił na czubku San Angelo. Mówił, że tragedia może nastąpić nazajutrz, że nie ma już czym zdobywać góry. Na ten rozpaczliwy raport dowódca II Korpusu miał odpowiedzieć: „Klimek, nie przejmuj się, bitwa właściwie już wygrana… to tylko lokalny kryzys… wiem, że dacie sobie radę…". Te słowa podziałały na Rudnickiego na tyle pokrzepiająco, że uporządkowawszy swe oddziały na San Angelo, nakazał ustawić broń maszynową na pozycjach i trwać w najwyższej gotowości do przeciwuderzenia.

Hekatomba na Górze Ofiarnej

Gdy żołnierze Kresowej walczyli o Widmo i San Angelo, strzelcy karpaccy z 3. Dywizji szli do ataku na wzgórze 593, nazwane później przez Polaków Górą Ofiarną. Najpierw w ciemności nocy ppłk Fanslau wysłał trzydziestoosobowy patrol rozpoznawczy złożony z ochotników zaopatrzonych w worki granatów. W Domku Doktora, siedemdziesiąt metrów od złowieszczej bramki, która

eprasa.pl 0e52dac90d

otwierała się ku krwawym polom zmagań, nastąpiła odprawa i pożegnanie. „Wychodzą bezszelestnie jak duchy – mają nogi owinięte szmatami. Przy wyjściu stoi Fanslau – tego po ramieniu poklepie, innego pogładzi po twarzy. […] Rozwinęli się trzema grupami. […] Ich stopy zbliżają się do ziemi z powolnością zwolnionego filmu. Czasem trafiają na coś miękkiego – wówczas z dołu tryska, rośnie jakiś makabryczny kwiat, bijący w nozdrza aż zmaterializowanym kielichem fetoru. Do stóp przyłącza się tchawica; serce tłucze się, nie staje tchu; ciężki oddech, którym rzeżą, nie może być niesłyszany przez Niemców". Spadochroniarze próbują wytropić Polaków. Ci zaś, przeskoczywszy druty kolczaste, wpadli do dołów po nasłuchu niemieckim i przylgnęli do ziemi w gotowości do natarcia. Wysoko nad nimi przenikliwym, białym światłem rozbłyskują rakiety. Niemcy są coraz bliżej, ale to Polacy jako pierwsi rzucają granaty w ich stronę. Wywiązuje się bitwa. Po polskiej stronie jest trzech zabitych i tuzin rannych, a wśród nich i waleczny plutonowy Wejman, który „kładł Niemców pokotem". Po serii otrzymanej z karabinu maszynowego stoczył się w dół, uderzając głową o skały. „Czaszka otwarta, widać mózg". Przypada do niego kapitan Żarlikowski, bandażuje mu głowę, wciąga go sobie na plecy i czołga się wraz z nim w stronę polskich pozycji. Ciało spada jednak bezwładnie na boki. Wejman cały czas charczy, uchodzi z niego życie. Żelichowski nie chce go zostawić. Przesuwa się z nim centymetr po centymetrze, odpychając się nogami. Gdy dzieli go dziesięć metrów od polskiego schronu, tuż przy jego ciele bije niemiecki Spandau. Niewiele widzi, bo krew buchająca z głowy Wejmana, pokryła mu całą twarz… W końcu „rannemu spadają bandaże – oczy i usta Żarlikowskiego zalewa biała masa. To mózg!". Wlecze się z nim jednak dalej. Znów tuż obok niego uderzył Spandau. Ranny stoczył się za głaz. Dowódca krzyknął, by zostawił Wejmana, bo już nie żyje. Żarlikowski usłuchał, ale dopiero wtedy, gdy poczuł, że ręka kolegi była trupio zimna…

Po rozpoznaniu nastąpił szturm. 17 maja, o godzinie 8.30, 4. Batalion wyruszył ku swemu przeznaczeniu, nie zważając na gwałtowny ostrzał artylerii i moździerzy. „Na górę wdarliśmy się bez tchu w płucach. Zwalił się na nas ogień ze wszystkich prawie stron… z Cassino, Albaneta, Angelo, M. Cairo" – opowiadał kronikarz 1 kompanii 4. Batalionu kpr. pchor. Feliks Redlarski. Do walki rzuciły się dwie grupy szturmowe – Wilkosza i Ulaneckiego, osłaniane przez dwa plutony rkm-ów. Niszczyły bunkier po bunkrze. W chwili gdy Wilkosz dopadł piątego, jego brzuch i pierś przebiły cztery pociski. Tymczasem Ulanecki, rozbijając trzeci schron, dostał sześć kul. Za nimi szły kolejne grupy wsparcia – Sowy, Czopika i Barana – trójki dowódców, których nie oszczędziły karabiny wroga. Kapral Redlarski widział, jak celowniczy Mieczysław Gut, „dopadłszy zwału kamieni, prał z rkm-u do wychylających się z bunkrów Niemców. Na gwałt trzeba było zdusić ogień ich broni maszynowej… dostał pociskiem z granatnika… zerwany hełm potoczył się w dół… […] znieruchomiał… niżej lewej skroni dziura w czaszce i wyciekające strzępy mózgu". Ułomek granatu dosięgnął też amunicyjnego. Z rany pod lewą łopatką obficie tryskała krew. Kula wroga przedziurawiła twarz strzelca wyborowego Waleriana Pokory…

Wokół wrzało. Polacy nacierali mimo ponoszonych ofiar. „Dopadłszy 593, ppłk Fanslau niezwłocznie pcha natarcie. Bunkry niemieckie o 50 metrów. Gdy dobiegają, Niemcy wysadzają pole minowe, ginie 10 ludzi. Rozpala się walka na całej szerokości, pełna samodzielnych inicjatyw. Śmierć kosi. […]. Cztery natarcia niemieckie odparte. […] Krwawa Góra paruje jak stos ofiarny. Żołnierze rozbitych, pokrwawionych oddziałów leżą pod jej czubkiem, a na szczycie trzy silne niemieckie bunkry, otoczone drutami, obłożone polami minowymi z wykopanymi pozycyjnymi miotaczami ognia, z jarem wstrzelanych moździerzy na dolinie S. Lucia, z całym zapleczem ognia wszystkich galerii, z rezerwuarami w pieczarach na przeciwstokach".

Polacy nie tracą bojowego ducha. Prą naprzód, choć z niemieckich bunkrów „lecą granaty, sieką Spandauy, tryskają smugi z miotaczy płomieni". Ginie ppłk Karol Fanslau trafiony kulą w serce. Major Stojewski dostaje w tył głowy w chwili, gdy nawołuje swoich żołnierzy do natarcia. Płonie jak pochodnia strzelec Jan Boboń. Kompania por. Barana odpiera niemieckie przeciwnatarcie, likwiduje 15 spadochroniarzy, ale porucznik ginie, idąc z garstką swoich ludzi pod same bunkry nieprzyjaciela. Przez całą noc z 17 na 18 maja trwa zażarty bój z niemieckimi spadochroniarzami, którzy bez wytchnienia atakują 4. Batalion. Ostatecznie, 18 maja o godzinie siódmej rano, dwie polskie grupy szturmowe po niezwykle zaciętej półgodzinnej walce niszczą trzy ostatnie niemieckie bunkry i opanowują wzgórze 593. Góra Ofiarna spłynęła krwią – zginęło 60 żołnierzy 4. Batalionu (w tym 10 oficerów), 127 zostało rannych.

▶ „Skorpiony" na „Gardzieli"

W ostatniej fazie bitwy o Monte Cassino na pomoc karpatczykom, zalegającym na kawałku rozminowanej Gardzieli, nadciągały czołgi 4. Pułku „Skorpion", które zajęły stanowiska ogniowe swych poprzedników, przywitane prawie natychmiast nawałą z moździerzy. Słychać: „Olga 3 naprzód! Nacierać! Olga 6 – maksimum ognia". Na ten sygnał zalewają nim Albanetę „ze wszystkich rur", po czym pędzą wąską ścieżką. Na ich drodze wyrasta jednak czarny, śmiercionośny pas min. Do akcji wkraczają saperzy. Całą noc rozminowują Gardziel, a pancerne machiny, stojąc w miejscu, prażą aż do wyczerpania amunicji wzgórze 593 i ruiny Albanety.

eprasa.pl 0e52dac90d

W tym czasie inny szwadron pancernych kieruje swój atak na niezdobyty dotąd północno-wschodni czubek Widma, pozwalający przedrzeć się na Albanetę, by unieszkodliwić niemieckie bunkry dziesiątkujące Polaków. Misji tej podjął się pluton ppor. Kochanowskiego, zmuszony piąć się ciężkimi maszynami po niewyobrażalnie stromych zboczach, pokrytych trzymetrowymi tarasami i porośniętych grubymi drzewami. Pierwszą próbę podjął czołg pchor. Kornreicha wspierany przez ośmiu saperów. „Czołgi na jedynce, na pełnym gazie starają się forsować wzniesienie 40 stopni. Głazy ruchome o średnicy około dwu metrów, drzewa – wszystko to nic – czołg zatacza się jak pijany, wyje na wysokich obrotach, miele wściekle kamienie rolkami, ale idzie". Okazuje się, że ze względu na stromizny Niemcy nie podłożyli tu min. Na Widmo ruszają więc kolejne czołgi, choć posuwają się z trudem, trą gąsienicami po pochyłym i naszpikowanym głazami terenie. Rozkaz: wejść za wszelką cenę, zostaje spełniony. „Z trzaskiem kładzie się las pod gąsienicami, ogień niemiecki szaleje, moździerze przypadają coraz zajadlej, porywają gąsienice, Dzięciołowski radzi z dołu, żeby wracać, pchor. Starostecki wyskakuje w tę kipiel ognia, gorączkowo szuka 'brodu', zwalili grube drzewo, muszą się cofać, odwlec pień, zlani śmiertelnym potem znów wskakują do zbawczego pudła, czołg buksuje, rzęzi i nagle… I nagle poczciwe zwierzę stalowe wdrapało się na taras". Niemcy spodziewali się polskiej piechoty, ale nigdy nie czołgu. Stanęli więc oko w oko z najniebezpieczniejszym przeciwnikiem, dla którego ich wypełnione bronią bunkry były niczym domki z kart. „Plunął czołg – poleciały głazy i fragmenty bunkrów. Pluje raz po raz: w powietrze wylatują jakieś belki, kamienie, siatka stalowa, raz widać wyraźnie wyrzucone ciało ludzkie. I nagle zabielało po bunkrach, jak długo i szeroko wszędzie wykwitły na kijach – białe płachty…"

Zwycięstwo

Po nocy pełnej niepewności, 18 maja, przychodzą radosne wieści: „Patrol szturmowy wyszedł w kierunku na klasztor". „Gardziel rozminowana. Czołgi wjeżdżają na Albanetę". Niemcy nie wytrzymując polskiej ofensywy, wydali rozkaz odwrotu i opuścili swoje stanowiska na Monte Cassino. Karpatczycy tryumfowali, tryumfowała też 5 Kresowa Dywizja Piechoty, która po stoczeniu ciężkich bojów zameldowała, że linia Gustawa została przełamana, że Niemcy na grzbiecie Monte Cassino odcięci, że grzbiet Castellone utrzymany. Najdłuższe walki toczyły się o górę San Angelo, na czubku której wróg trzymał się mocno jeszcze 18 maja. Ale wreszcie i ona dostała się w ręce Polaków. Według płk. Heckla „zawziętość […] polskich ataków wykazała, że wbrew oczekiwaniom siła ich natarcia nie tylko nie popuściła, lecz przeciwnie, zdawała się przybierać na mocy".

Oto nadszedł czas, gdy oczy wszystkich mogły skierować się ku górze dźwigającej ruiny klasztoru benedyktynów. Było to przecież prastare centrum chrześcijaństwa i kultury europejskiej, odwieczny bastion wiary i cywilizacji, dający poczucie duchowej tożsamości Europie, który wojna obróciła w jedno wielkie gruzowisko. „Świat, po wędrówkach ludów spragnionych pokoju, z tego ośrodka bijącego światłem duchowym brał tam doczesną formę życia – pisał o dziejowej roli Monte Cassino Wańkowicz – Dante opiewał klasztor, wieki składały się na jego dostojność, klasztor dał Rzymowi 25 papieży, z jego zacisza, poza księgozbiorami przechowującymi 12 000 manuskryptów i 40 000 kronik, szły tysiące biskupów w świat. To stąd wysłani benedyktyni byli pierwszymi apostołami Anglii, Niemiec, Danii, Skandynawii i Polski. Nasz św. Wojciech, to benedyktyn. Mnisi z Monte Cassino założyli w Roku Pańskim Tysięcznym klasztor w Górach Świętokrzyskich, mnisi z Monte Cassino założyli w r. 1041 Opactwo Tynieckie". W XX wieku zaś to Polakom przypadła rola oswobodzicieli tej słynnej góry. I to żołnierze 12. Pułku Ułanów Podolskich, 18 maja 1944 roku o godzinie 9.50, mieli zaszczyt zatknięcia na ruinach zdobytego klasztoru własnego proporczyka ułańskiego, na którego miejscu wkrótce załopotała biało-czerwona flaga.

Ostatnim natomiast Polakiem, który poległ pod Monte Cassino, był kpt. Władysław Iwanowski, zastępca dowódcy 4. Pułku Pancernego „Skorpion". Niemiecki pocisk dopadł go tuż po tym, jak Polacy opanowali górę klasztorną, a on szykował się do odprawy z dowódcami kompanii czołgów. Po śmierci „oczy miał otwarte i pełne grozy. Usta były lekko odchylone. Na ramieniu nowego munduru […] czerniała zakrzepła krew. Leżał więc odświeżony w zaprasowanym mundurze jakby specjalnie na śmierć się ubrał".

W bitwie o Monte Cassino poległo 923 polskich żołnierzy, 2931 zostało rannych, z 345 zaginionych 251 powróciło do oddziałów po skończonym boju.

„Czerwone maki na Monte Cassino"

„Za Gardzielą teren się rozszerzał. Cały pokryty był czerwonymi makami, których wszędzie było pełno. Gęsto skupione leje po wybuchach pocisków armatnich i moździerzowych i porzucone wraki czołgów amerykańskich, przy których jeszcze leżały czarne trupy ich spalonych załóg, świadczyły, że po tej pięknej łączce płonącej w tej chwili czerwienią maków, przechadzała się śmierć i po swojemu niszczyła życie" – wspominał o. Studziński. Kwiaty koloru krwi, w któ-

eprasa.pl 0e52dac90d

rych tonęły zbocza Monte Cassino, stały się symbolem zwycięstwa Polaków nad potężnym przeciwnikiem spod znaku swastyki, a przede wszystkim symbolem niewyobrażalnego męstwa żołnierzy II Korpusu Polskiego gen. Andersa, których bohaterską legendę utrwalił w swej najsłynniejszej pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino" Feliks Konarski, poeta, aktor, pieśniarz rewii, teatru i kabaretu, wirtuoz słowa, do którego przylgnął artystyczny pseudonim Ref-Ren. W czasie II wojny światowej dołączył do Armii Andersa. Na szlaku bojowym wiodącym z Rosji przez Persję, Irak, Palestynę aż do Włoch spełniał się jako współtwórca Teatru Żołnierza Polskiego i kierownik artystyczny Czołówki Teatralnej Polish Parade, który poprzez sztukę wskrzeszał wśród Polaków ducha walki.

W maju 1944 roku wraz z wojskowym zespołem artystycznym znalazł się w rejonie najgorętszych walk o Monte Cassino. Pamiętnego wieczoru, przed ostatecznym rozstrzygnięciem wielkiej bitwy, koncertował on dla żołnierzy w pobliżu wioski Cassino, a wracając po występie na tyły frontu nie mógł oderwać wzroku od klasztornej góry, która dosłownie zionęła ogniem. Tej nocy nie zmrużył oka, przeczuwając, że nadchodzi chwila decydującego starcia. „Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy – opowiadał – zapadłem w półsen. I właśnie wówczas, nagle zaczęły mi się układać pierwsze linijki tekstu «Czy widzisz te gruzy na szczycie / Tam wróg twój się ukrył jak szczur / Musicie, musicie, musicie / Za kark wziąć i strącić go z chmur». […] Zanotowałem dwie zwrotki i zaraz potem, w środku nocy obudziłem Fredka (Alfreda Schütza). Byłem jak w gorączce. Pokazałem mu tekst i kazałem pisać muzykę. On patrzył się na mnie jak na wariata, ale usiadł przy pianinie i… zaczęła układać się melodia – powstawała bardzo szybko i jakby bardzo naturalnie. […] Można by zatem powiedzieć, że »Czerwone maki« zakwitły w nocy".

Nazajutrz, 18 maja, artyści wyjechali znów w stronę Cassino… Tym razem wzrok Feliksa przykuł widok mijanej żołnierskiej mogiły z krzyżem, pod którym czyjaś ręka złożyła wiązankę czerwonych maków w łusce od pocisku. Myśl o tym, ile to nowych krzyży przybyło w ciągu tej jednej nocy, natchnęła go do napisania ostatniej zwrotki pieśni, którą stworzył w jadącej ciężarówce. Dotarłszy na miejsce, zobaczył jej bohaterów – kilkudziesięciu żołnierzy wyczerpanych, zakurzonych, poranionych, ale zwycięskich! Wciąż przybywali nowi. Gdy pojawił się sam gen. Anders z grupą oficerów, rozpoczął się polowy koncert na cześć zdobywców Monte Cassino. Na kawałku kartonu zapisano dużymi literami refren „Czerwonych maków" i wzniesiono do góry jak sztandar, tak by wszyscy razem mogli zaśpiewać pieśń, która rodziła się razem ze zwycięstwem:

Czerwone maki na Monte Cassino
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz od śmierci silniejszy był gniew.
Przejdą lata i wieki przeminą.
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi.

▶ „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie"

Taka oto inskrypcja patronuje polskiej nekropolii na Monte Cassino, usytuowanej w tak zwanej Dolinie Śmierci, gdzie toczyły się najcięższe walki 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Polski Cmentarz Wojskowy na Monte Cassino, zaprojektowany przez Wacława Hryniewicza i Jerzego Skolimowskiego, stanowi niezwykły, wtopiony w arenę krwawych bojów pomnik heroizmu Polaków.

Wejścia do nekropolii strzegą dwa monumentalne orły o potężnych szponach i husarskich skrzydłach, wyrzeźbione w trawertynie i osadzone na trzymetrowych pilastrach. Centrum żołnierskiej sakrosfery wyznacza wpisany w wielkie koło szesnastometrowy krzyż Virtuti Militari z wiecznie płonącym zniczem. Wokół niego rozpościera się amfiteatr dziewięciu tarasów ułożonych na głazach wapiennych. „Na każdym tarasie w dwuszeregu groby – na każdym krzyż z szarokremowego trawertynu i płyta z głęboko wkutym napisem… Idzie się ku nim z dołu, od tego wielkiego krzyża Virtuti Militari monumentalnymi białymi schodami czterdziestosiedmiometrowej szerokości. Na najwyższym tarasie bryła głazu – ołtarz – i po murze oporowym kute godła oddziałów. A wyżej, na zboczu wznoszącym się ku 593 – krzyż z żywopłotu; ramię jego – pięćdziesiąt metrów; środek jego – orzeł, płaskorzeźba w kamieniu montecassińskim o wymiarach sześć na siedem metrów". Na cmentarzu spoczywa ponad tysiąc poległych żołnierzy Rzeczypospolitej, w większości wyprowadzonych z „nieludzkiej ziemi", z sowieckich łagrów. Wśród walecznych zdobywców Monte Cassino pochowany został zgodnie ze swoją ostatnią wolą ich dowódca – gen. Władysław Anders, zmarły na emigracji w 1970 roku. „Za naszą i waszą wolność my żołnierze polscy oddaliśmy Bogu ducha, ciało ziemi włoskiej, a serca Polsce" – mówi cmentarna inskrypcja, oddająca głos poległym. ■

Źródła: M. Wańkowicz, „Szkice spod Monte Cassino", Warszawa 1999; J. Wieliczka-Szarkowa, „Monte Cassino'44", Kraków 2019; Z. Wawer, „Monte Cassino 1944", Warszawa 2009.

eprasa.pl 0e52dac90d

Ewa Polak-Pałkiewicz

„Wariat zawsze musi mieć dzieci”

Jak zaczynali w latach 80. obrońcy nienarodzonych z ruchu Gaudium Vitae

Był koniec lat 70., coraz więcej ludzi w Polsce zdawało sobie sprawę, że nie można siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż „coś się zdarzy". Ksiądz miał okazję wysłuchać niezliczonej liczby spowiadających się kobiet, które dławił ciężar czynu, jaki miały za sobą. Wtedy zrozumiał, że musi wreszcie zacząć pomagać dzieciom, nie tylko kobietom. Pojął, że nikt go w tym nie wyręczy, sam musi iść do ludzi. I rozgłaszać wszędzie, gdzie tylko będzie mógł, że „zabieg" to jest zabójstwo niewinnego człowieka – zło społeczne, nie tylko ból psychiczny matki, tak wielki czasem, że nie chce się jej już żyć.

FOT: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO

Każdy przyszedł tu inną drogą, z innym, bezlitośnie ciążącym bagażem. Marii ciążyło poczucie bezradności. Znała terminy skrobanek swoich znajomych i nie śmiała się do nich zbliżyć. I jaka byłaby komiczna, gdyby przewalczyła ten strach! Monika, chucherko, z dużymi świetlistymi oczami, przed których wyrazem trudno jest uciec tym, którzy mają decydować, czy dziecko będzie żyło, czy nie, przyszła tu z zachłanności, jak mówi. Z zachłanności dla życia. Starsi podziwiają jej impet i siłę. Danusia, matka czworga dzieci, skupiona i milcząca, trafiła do nich po przyjrzeniu się kilkudziesięciu spustoszonym, szarym twarzom kobiet, które opuszczały poradnię „K" ze skierowaniem na „zabieg", a ona – całkiem przypadkowo – zastępowała matkę w szatni. Lekarz ginekolog przyszedł z rozsądku, jak mówi, z poczuciem, że jeśli wystarczy wszystkim samozaparcia, uda się im przełamać rosnącą w Polsce grozę. Mimo kilku lat praktyki szpitalnej nie przestał reagować drżeniem rąk na „zabiegi" dokonywane na jego oczach. To on wymyślił nazwę Gaudium Vitae. Pewnego dnia przyniósł na wykład Studium Rodzinnego trzy ludzkie płody w różnym wieku. Te płody w szklanych fiolkach zobaczyła Krystyna, filolog – jeszcze nie tak dawno wojująca ateistka. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na „to" (co niektórzy nazywają „ciążą", którą się przerywa, inni, naprawdę liczna grupa, wyobrażają sobie „to" pod postacią skrzepu, zbitki tkanek, którą się usuwa jako zanieczyszczenie zdrowego ciała), żeby znalazła drogę do ruchu. Była tam już ta druga Krystyna, kurator sądowy, którą pewnej niedzieli wypatrzył w tłumie przed swoim kościołem Ksiądz.

Nikt ich nie wyręczy

Ksiądz jako seminarzysta miał swoje młodzieńcze, romantyczne marzenia powołania stowarzyszenia na modłę XVII-wiecznego zakonu założonego dla wykupu niewolników z rąk niewiernych. Przemyśliwał, że zebrane pieniądze będzie wręczać rodzicom albo lekarzom w zamian za ocalenie życia dziecka. Potem otrzymał święcenia i miał okazję wysłuchać niezliczonej liczby spowiadających się kobiet, które dławił ciężar czynu, jaki miały za sobą. Czuł się staro i podle, nie mogąc już nic zrobić dla ich dzieci. Dlaczego jego penitentki przychodziły zawsze po, nigdy przed? Dlaczego nigdy nie spowiadali się mężczyźni – czy to zawsze musi dziać się poza nimi? Ani ci, którzy dokonywali tego czynu lub doprowadzali do niego. Ksiądz zrozumiał, że musi wreszcie zacząć pomagać dzieciom, nie tylko kobietom. Pojął, że nikt go w tym nie wyręczy, sam musi iść do ludzi. I rozgłaszać wszędzie, gdzie tylko będzie mógł, że to jest zabójstwo niewinnego człowieka – zło społeczne, nie tylko ból psychiczny matki, tak wielki czasem, że nie chce się jej już żyć.

epr62a.pl 0e52dac90d

Był koniec lat 70., coraz więcej ludzi w Polsce zdawało sobie sprawę, że nie można siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż „coś się zdarzy". Zbierać się zaczęli przy Beatce, szesnastolatce, którą Danka zgarnęła z poradni „K", a której przybrani rodzice oświadczyli, że albo wróci z mężem – wtedy „może być i dziecko", albo po skrobance, w przeciwnym razie niech się wynosi z domu. Byłaby to jedna z typowych, wręcz banalnych w swej powtarzalności sytuacji, gdyby nie fakt, że Beatka okazała się najbardziej postrzeloną ze wszystkich zwariowanych nastolatek. Działał już telefon u ojca Salija, jednego z inspiratorów i przyjaciół ruchu. Zmobilizowali wszystkich znajomych, załatwili Beatce pokój, pracę, perspektywę samodzielności. Wszystko brało w łeb, Beatka uciekała i znajdowano ją po paru dniach z nowym skierowaniem. Nowe adresy, nowa praca – kołomyjka trwała siedem miesięcy… Opiekują się nią i jej synkiem do dziś i ona także – po wzajemnych awanturach, wyznaniach, łzach i przeprosinach – bardzo się do nich przywiązała. Zawdzięczają Beatce smak pierwszego sukcesu. Poczucie, że można coś zrobić, gdy jest się razem. W swoim manifeście i informatorze zarazem, który wydali w kilkuset egzemplarzach, napisali: „Ruch nasz powstał z przerażenia…".

„Nie rób mi świństwa"

Kobiety, które do nich trafiają – oni szukają tych kobiet, ale i one, jakoś intuicyjnie, może w ostatnim odruchu ich wypatrują – to najczęściej żony i matki, na ogół z rodzin średnio sytuowanych, życiowo ustabilizowanych. W ich standardowych M-3, M-4 ze ściany czy regału spogląda często twarz Jana Pawła. Druga co do wielkości grupa to bardzo młode dziewczyny, często uczennice, które albo nie chcą „zrobić świństwa" swojemu chłopakowi, albo zupełnie nie mają się gdzie podziać i nie wiedzą, jak żyć w samotności. Chciałby nawet mieć dziecko, ale tu wszyscy się zmówili: chłopak mówi, że ją rzuci, rodzice, żeby się nie śmiała pokazać w domu, koleżanki z pracy, że pójdą do kierownika, bo nie będą „robić za nią, jak sobie bachora zafundowała". Doradzą jeszcze życzliwi sąsiedzi, lekarz z rejonu wpisze szybko w odpowiedniej rubryce „przyczyny społeczne – brak warunków" i już po krzyku. Tak łatwo można pozbyć się problemu, który mógłby skomplikować całe życie! Ulga natychmiastowa. Prawie nigdy nie przychodzi do głowy tej dziewczynie, chłopakowi, rodzicom, sąsiadom, że ten cudowny sposób to – zabicie kogoś.

„Skoro robi to tylu ludzi naokoło, to widocznie jest to normalne. Dobre i słuszne. Tak myśli większość ludzi. Kryterium moralnym stała się statystyka" – mówi Ksiądz. Według jego oceny skrobanki popiera czynnie połowa społeczeństwa, biernie dwie trzecie.

Ludzie z piwnic

Wreszcie trzecia grupa trafiających do nich to żony alkoholików, przeważnie gnieżdżące się z gromadą dzieci w nieprawdopodobnych warunkach, bite, szantażowane, żyjące w ciągłym strachu o życie dzieci i swoje. W tej sytuacji namawianie do powiększania rodziny wydaje się okrutnym żartem. I ludzie z ruchu widzą wokół siebie tych, którzy z politowaniem pukają się w czoło na ich usilne starania, żeby ocalić jeszcze jedno życie w takiej rodzinie. Wielu się gorszy. Słyszą cierpkie uwagi: „Lepiej troszczcie się o życie narodzonych, nie bądźcie obłudni". Albo: „Co to zmieni? Musicie iść do szkół, na lekcje religii, pracujcie z dziećmi, walczcie z alkoholizmem". Najżyczliwsi spośród znajomych patrzą na nich jak na stado nieszkodliwych wariatów, maniaków utopijnej idei, kiedy widzą szamotaninę Danusi, Krystyny czy Moniki pomiędzy kilkoma rodzinami alkoholików, gdzieś na Targówku, Bródnie, w Miłosnej czy Babicach.

Monika mieszkała w takim domu przez pół roku. Były to ostatnie miesiące jej studiów, przed obroną pracy magisterskiej z filozofii. Zamieszkała tam, by nie dojeżdżać codziennie czterdziestu kilometrów. Prała, sprzątała, gotowała i razem z Janką, przyszłą matką nienarodzonego, zajmowała się piątką jej dzieci. Sześć nocy spędziła pod domem towarowym, resztę w „domu". Wtedy jeszcze była to piwnica, dopiero krótko przed narodzeniem szóstego dziecka przeprowadzili się na górę. Mąż Janki miał właśnie krótką chwilę przytomności i nie groził, że zarąbie ją siekierą, jeśli wystąpi o rozwód. Któregoś dnia Monika poszła do proboszcza, mówiąc, że ciągle mieszkają w piwnicy, że fruwa w powietrzu siekiera, że będzie szóste dziecko. Pogładził ją po głowie i dał 500 złotych. „Co ja mogę?...".

W Babicach, w lepkim zaduchu na wpół zrujnowanego mieszkania, czekała na czwarte dziecko Zosia. Mąż siedział w więzieniu za kradzież pierzyny. Najmłodsze dziecko Zosi przez trzy pierwsze lata życia nie schodziło z oślizgłego tapczanu, bo nie miało butów. Najbliższa sąsiadka, z całą życzliwością, na jaką było ją stać, doradzała „usunięcie". „W tej sytuacji nie masz wyboru…". Nie wiadomo, z przyjaźni czy z obowiązku, była bowiem opiekunem społecznym.

I wreszcie Bródno, gdzie Monika jest jedyną osobą, która może przekroczyć próg tego domu bez obawy, że będzie pobita. Matka sześciorga dzieci szczelnie zasłania szalikami i długimi rękawami skatowane ciało. Problemem są nie tylko pieniądze na zakupy, lecz samo wyjście z domu. Jak wyjść, zostawiając dzieci same albo co gorsza na pastwę ojca? Odkąd jest Monika, ten problem zniknął. Za miesiąc będzie siódme dziecko.

Rodziny takie jak te to 40 procent przypadków, którymi zajmuje się ruch.

eprasa.pl 0e52dac90d

Zawsze najbardziej kochane

Co mogą zrobić? Bardzo dużo i bardzo niewiele zarazem. Materialnie pomogą przez rok, czasem dwa lub trzy lata, dając jedzenie, wyprawkę, odzież dla domowników, w razie potrzeby comiesięczne stypendium. Znajdą pracę, często chałupniczą. Krąg przyjaciół ruchu wciąż się poszerza. Wynajmą pokój i będą opłacać czynsz przez dłuższy czas. Albo nawet znajdą dla rodziny jakiś azyl na wsi, choć z tym jest niełatwo. I wtedy będą mogli patrzeć, jak ta rodzina odżywa, jak dzieci robią się weselsze i przestaje drżeć głos matki. Mogą też zainicjować pomoc specjalistów – lekarzy, prawników. „Ale co ja mogę zrobić – mówi Maria – kiedy przychodzi do mnie skatowana kobieta w ciąży, cała w sińcach, i opowiada, jak mąż chciał piąte dziecko wyrzucić przez okno". Doradza separację. Ale ta kobieta cała sztywnieje i pąsowieje: „To jest mój mąż! Nigdy!". „Gdybym mogła jej powiedzieć: jest takie miejsce w Warszawie, niech mąż tam pójdzie, tam leczą…".

Pieniądze nie są wcale najważniejsze. To potwierdzi każda osoba z ruchu. Ksiądz przyznaje, że jako realista nastawiał się na początku na większą liczbę oszustw, wymuszeń dóbr materialnych. Jest inaczej, biorą potrzebujący. Może dlatego, że ludzie z ruchu rozwożą sami tę pomoc po domach, nie wydają w jakimś biurze. Mentalność roszczeniowa łagodzi się zresztą niezwykle po urodzeniu dziecka. Ale Księdza najbardziej zastanawia fakt, że dziecko niegdyś niechciane okazuje się dzieckiem najbardziej kochanym. Przekonał się o tym niejeden raz. Tu zawodzi go jego socjologiczna wiedza – jest po studiach z tej dziedziny. Nie pojmuje, jak to się dzieje.

Zwyczajne cuda

Każdy z nich ma za sobą jedno lub kilka takich zdarzeń, kiedy okazało się, że czasem wystarczy jedna krótka rozmowa, parę zdań, by uratować dziecko. Wystarczy jakiejś skołatanej głowie, że spotka kogoś, kogo choć trochę obchodzi jej los, kto ją cierpliwie wysłucha, okaże zrozumienie. Wtedy widać najlepiej, jakiego spustoszenia dokonuje w człowieku obojętność najbliższych, wyobcowanie z kręgu rodzinnego i społecznego. Taka rozmowa to jest to leciutkie popchnięcie na ten dobry tor. Ludzie z ruchu czują się wtedy niczym lekarze dusz; ta świadomość może peszyć, ale i wzmacnia.

Ale na dobrą sprawę muszą być także sędziami i oskarżycielami, gdy zajdzie potrzeba. Maria nie zapomni telefonicznej rozmowy któregoś letniego dnia nad ranem, kiedy zawiodły ją nerwy. Na czyjś płaczliwy głos: „Ja muszę to usunąć" warknęła ze złością: „Usunąć to pani może ząb!", po czym rozległ się trzask rzuconej słuchawki.

Muszą być także nieznośnymi natrętami wtykającymi nos w nieswoje sprawy. Szczególnie wtedy, gdy pertraktują z rodzicami młodych dziewczyn, którzy mają w garści los dwojga – dziewczyny i dziecka. A także wtedy, gdy w szpitalu „bezczelnie" zaczepiają kobiety ze skierowaniami w ręku. Zaczęli zaczepiać w 1980 roku. Wtedy była dobra atmosfera i ludzie ze szpitala dawali się obłaskawiać. Teraz administracja ledwo ich toleruje w hallu przed gabinetami i czasem ktoś, kto rozmawia z taką kobietą, słyszy nad uchem docinki personelu: „Ależ oni męczą te biedactwa!". Sami się dziwią, skąd im starcza odwagi. „Co to panią obchodzi?" – to najczęstsza reakcja po pierwszym zdaniu. Rzeczywiście – cudzy brzuch, cudze zmartwienie, cudze prawo…

„Ja – mówi Krystyna, filolog, ta nieśmiała, oczytana pani w okularach – ciągle sobie powtarzam, że będąc nachalna, nietaktowna, nawet grubiańska i okrutna, robię coś dobrego i to dla dwóch osób, dla matki i dla dziecka. Więc nie mam wyboru! Muszę działać totalnie, wstrząsnąć sumieniem i wyobraźnią, nawet wywołać szok. Jest tak mało czasu".

I Krystyna w jakimś zaułku szpitalnego korytarza podsuwa pod nos struchlałej kobiecie plik zdjęć z fazami rozwoju płodu: „Proszę, jakie to piękne, to jest już człowiek".

„Bombarduję ją ze wszystkich stron, ale tym, co najbardziej mi ciąży, jest świadomość, że ja żądam od niej heroizmu". I słyszy często: „Łatwo jest pani mówić…".

„I ona ma rację, bo ja mam duże mieszkanie i tylko troje dzieci".

Obrazki są ważne. Czasem ważniejsze niż wszystkie wywody, argumenty i oferty pomocy. Bo często kobiety usiłują w ogóle nie myśleć. Pomaga w tym zafałszowany język. Bo przecież ów niewinny „zabieg" to nic innego jak żywcem kawałkowanie dziecka. Wyobraźnia kobiety jest tu całkowicie wyłączona, tak obronnie. I Krystyna z premedytacją niszczy tę obronność.

Czasem znowu podsunięcie myśli o adopcji wyprostowuje myślenie i zmienia wszystko. „Nigdy nie oddam dziecka, które już urodzę!" – wykrzykuje kobieta i Krystyna oddycha z ulgą. Nie odda, a chce zabić? „Bo człowiek ma często niepoprzebijane te ścianki w mózgu" – wzdycha Krystyna.

A gdyby tak przytulne biuro?

Czy tego wszystkiego, tej bieganiny i zarwanych nocy, nie da się ogarnąć, uporządkować w jakiś system? Czy nie lepiej stworzyć porządną instytucję zatrudniającą fachowców, gwarantującą usługi prorodzinne na najwyższym poziomie? Marię taka wizja przeraża. Ona, była kierowniczka Domu Matki i Dziecka (potem już tylko dziecka, żeby było prościej), niczego tak się nie

eprasa.pl 0e52dac90d

obawia, jak sieci biurek, telefonów służbowych, kont i urzędników pokrywającej cały kraj. Ktoś proponował im willę – wyłącznie na użytek ruchu. Przeciwstawiła się tej propozycji gwałtownie. Ktoś inny oferował udział w dochodach spółki polonijnej, żeby tylko szyld dali. Zareagowała tak samo ostro, wszyscy zagryzali wargi z irytacji. Przecież pieniądze i dary mogą się wreszcie skończyć! Ale mądrość Marii – to nie dać się przekupić.

„Kto nam będzie ufał, jak będziemy jeździli polonezami? Kto do nas przyjdzie, jak będziemy siedzieć na etatach?". Nie chcą etatów i boją się ludzi, którzy mają dużo czasu. Najbardziej cenią tych, którzy z ciężkim jękiem przyjmują kolejny adres, bo wszystko się wali, a tu jeszcze i to. „Wtedy wiem, że pójdzie dobrze" – mówi Maria.

Filozofia: choćby jedno dziecko uratować, jednego człowieka nakarmić, może oburzać tych, którzy widzą skalę problemu. Ksiądz cytuje Amerykanina Willina Bremmana, który w książce „Zagłada nienarodzonych – dzisiejsze rozwiązanie ostateczne" porównuje zakres tej zbrodni, często nieuświadamianej sobie przez sprawców, do hitlerowskich mordów z premedytacją. Pisze także o rozwijającym się przemyśle produkcji kosmetyków z ciał nienarodzonych.

Swoisty minimalizm Marii wydaje się więc małodusznością. Ale Maria wie, że w tym miejscu i w tym czasie wszystkie rozwiązania instytucjonalne zawiodą – załóżmy nawet, że w końcu pojawiłyby się uczciwe propozycje – że najważniejsze jest, by poruszyć serce człowieka. Więc tak jak potrafią i czują, „robią w mentalności", biegając po domach z odżywkami i butami pod pachą. A potem w środku nocy wyrywa ich ze snu telefon z pogróżkami albo chichoczący głos zadaje pytanie: „Czy można się u pani wyskrobać?".

Monika, krzepiący przykład siły, także miewa chwile załamań. Wstyd przyznać, często wtedy, gdy „boi się pocałować tamtą dziewczynę, która jest brudna i śmierdzi". Czy było łatwiej kiedyś? „Kupowało się bukiecik i szło się", mówi Monika wspominając czasy, kiedy wędrowała po domach, wiedząc, że pod zdobytym pokątnie adresem nikt jej nie oczekuje, że będzie potraktowana jak intruz, ktoś w rodzaju świadka Jehowy.

„Takie jak ty przychodziły potem z kwiatami"

Czy mogli się kiedykolwiek spodziewać, że maszyna do szycia uratuje życie dziecka? Maszyna, której nie będzie najpierw gdzie wstawić, bo w pokoju z kuchnią na najwyższym piętrze mieszkają trzy rodziny. I kiedy już uda się ją kupić (splot pięknych przypadków, które nigdy nie są przypadkami), trzeba będzie jeszcze znaleźć dla niej i dla kobiety w stanie błogosławionym jakiś kąt. Ta kobieta bardzo chciała urodzić dziecko, ale nie widziała dla niego ani dla siebie żadnych szans. Była krawcową bez maszyny do szycia. I teraz wygospodarowano jeszcze trochę miejsca na łóżeczko dla dziecka.

Albo czy wyobrażali sobie na przykład, że piętnastoletnia matka, którą odkryła Krysia kurator, dziewczyna, której chłopak siedział w więzieniu, a ojciec dziecka pił na umór, będzie po trzech latach naprawdę szczęśliwą żoną byłego pijaka i matką dwojga udanych dzieci? Że po roku życia pod jednym dachem z rodzicami, pięciorgiem rodzeństwa i dwójką dzieci siostry, gdzie spała na jednym łóżku z synkiem i bratem, który wrócił z wojska, będzie mogła przenieść się do teściów i razem z mężem zbudują tu sobie prawdziwą własną kuchnię? Ona lepiła cegły, on je suszył i ustawiał z nich ściany. Kuchnia jest dziś ich wytchnieniem, salonem i sypialnią, własna, bez teściów. Pani milicjantka z Izby Dziecka, do której trafiła jako czternastolatka w ciąży – chodziło o spisanie danych ojca dziecka oskarżonego o deprawację nieletnich – radziła jej „po matczynemu", żeby jak najszybciej „usunęła to". „Zobaczysz, będziesz mi dziękowała. Dużo takich jak ty było już u mnie z kwiatami". Ale ona powiedziała: „Nigdy". W rocznicę ich ślubu Krysia kurator kupiła im serwis obiadowy. I oto stoi w ich pięknej kuchni, z kwiatami i sreberkiem na okazałych półmiskach.

Składka na Kielich Życia

Jest w Polsce trochę domów, zakonnych i kościelnych [tekst powstał w oparciu o notatki z 1984 roku – przyp. E. P.-P.], gdzie samotne matki mogą urodzić dziecko, gdzie mają opiekę, jedzenie i poczucie choćby tymczasowego bezpieczeństwa. Niestety, te domy, choćby były prowadzone przez anioły, nie rozwiążą problemu. Bywa zresztą i tak, że aby być tu przyjętą, trzeba spełnić kilka warunków: nie mieć innych dzieci, nie pracować, nie uczyć się i jeszcze mieć kogoś, kto by płacił za pobyt. „Wypoczynkowy turnusik przed porodem", uśmiecha się Maria. W rezultacie dom pod Warszawą, o którym mowa, świeci pustkami. Natomiast nie ma nigdzie miejsca, gdzie by mogły rodzić kobiety chore psychicznie, narkomanki, prostytutki czy alkoholiczki. Tych najświętsza instytucja opiekuńcza nie przyjmie. Nie będzie wiedziała, co z nimi zrobić. W szpitalu czy w Pogotowiu Opiekuńczym, bez sekundy zastanowienia kieruje się je na „zabieg". Nikomu nie powstanie w głowie, że może istnieć rozwiązanie „jeszcze bardziej humanitarne". Ruch, jak dotąd, miał dziesięć przypadków z tej kategorii. Ale wszyscy wiedzą, że byłoby ich tysiąc, gdyby nawiązali kontakt z pielęgniarkami z Pogotowia. Co robić dalej? Wystąpili na konsultę zakonów żeńskich z tą sprawą. Musi znaleźć się w Polsce dom, który nie będzie selekcjonował ko-

eprasa.pl 0e52dac90d

biet i dzieci na te, które warto i których nie warto ratować.

Mają dotkliwą świadomość własnych ograniczeń. Wierzą, że ich działalność przejmą kiedyś parafie. Zabiegają o to, organizując w parafiach kwesty połączone z rozlepianiem plakatów, wyświetlaniem filmów. Pomaga im coraz liczniejsza grupa licealistów, niespodziewanie bardzo skora do mocy. Po jednej z takich kwest podeszła do Marii kobieta, doktor fizyki: „Po diabła mi ten doktorat, miałabym trzecie dziecko! Po diabła mi te studia, jak człowiek jest ciemny i tępy jak młot! Dlaczego nie było was wcześniej?". Ale proboszczowie często bronią się przed wzięciem sobie na barki jeszcze i tego. Mają zresztą argument: płacą comiesięczne składki na Kielich Życia, który jak mówią, został odlany ze szczerego złota. Poza tym potrzebują „fachowców i małego choćby biura". „Trudno", mówi Krystyna, „nie każdy jest Karolem Wojtyłą".

Tajemnica tego lęku

Krystyna upatruje w tych wszystkich gestach i pozach arcyszatański wynalazek naszej cywilizacji, którym jest rozbudzenie lęku przed życiem. Panicznego lęku. Dlaczego na przykład niedołężni staruszkowie ogłaszający, że przyjmą z otwartymi ramionami „opiekę za mieszkanie", od razu wykluczają małżeństwa z dziećmi? Chcą tylko bezdzietnych. Czy te potrzeby nie mogłyby się wreszcie ze sobą spotkać?

Według rozeznania Księdza najlepiej stoi kościelne poradnictwo rodzinne w diecezji poznańskiej i krakowskiej. W większości diecezji cała akcja sprowadza się do nauki „naturalnej metody regulacji poczęć". Żadne formy opieki nie istnieją albo obwarowane są tyloma warunkami, że „niesparowana kobieta" woli się zaszyć w jakimś kącie i czekać: „A nuż poronię? Może nie przeżyję?".

Wszyscy jednak w ruchu przestrzegają przed widzeniem sprawy, które sprowadza ją do problemu samotnych albo wyobcowanych ze środowiska matek. „To jest szablon", mówią. „Chodzimy po zamożnych albo średniozamożnych domach, gdzie nad łóżkiem wisi krzyż, gdzie w pokoju dziennym bawi się jedno lub dwoje wesołych, zadbanych dzieci – i nic nie możemy zrobić".

„Są ludzie – mówi Ksiądz – którzy z chrześcijaństwa biorą to, co jest im akurat wygodnie. Faryzeusze mogą być naprawdę gorliwymi patriotami. Ich problemem nie jest: wierzyć albo nie wierzyć, ale to, czy przyjąć, czy odrzucić Chrystusa".

– Proszę Księdza – mówi taka osoba – trudno coś kupić. Nie mamy warunków.

– Dobrze – mówi Ksiądz – przyjmijcie więc naszą pomoc.

– Tak – odpowiada kobieta, młoda i ładna – ale widzi Ksiądz, ja nie mam zdrowia. Lekarz radził, że tak będzie lepiej.

– Skontaktuję panią z innym, dobrym lekarzem, który pomoże pani.

– Ale mój mąż… Obiecałam mu – zaczyna szlochać kobieta. – My naprawdę nie mamy warunków.

Każdy z nich to przeżył dziesiątki razy: próby racjonalizacji, wygodnictwo, zimny rachunek ekonomiczny, kiedy argumentem przeciw drugiemu czy trzeciemu dziecku jest liczba bananów przypadających na głowę dziecka, zasłanianie się dyplomem, obowiązkami zawodowymi, stypendium, studiami, karierą, wyjazdem za granicę. W tych domach często są stylowe tapety i piękne dywany, łazienki lśnią najmodniejszym kolorem kafelków. Ale oni mówią, że ich nie stać. Ludzie z ruchu tracą wtedy czasem panowanie nad sobą: „Więc niech pani zabije tego synka, skąd pani wie, może tamto, które się narodzi, będzie ładniejsze? Gdyby on zachorował, nie ratowalibyście go?". Proszą, żeby matka zdecydowała się tylko urodzić, tyle bezdzietnych małżeństw latami czeka na dziecko… Nie mogą zrozumieć, jak to się dzieje, że po dwugodzinnej rozmowie ci ludzie o inteligentnych, sympatycznych twarzach, zatrzymują ich jeszcze w drzwiach i pytają z nadzieją w głosie: „Może zna pani jednak jakiś adres? Koszty nie są ważne, tylko prosimy o dyskrecję…".

„My nie mamy styczności z tymi, którzy robią to często, na luzie, śpiewająco, za wielkie pieniądze, w eleganckich gabinetach", mówi Krystyna. „Mentalność tych ludzi nie jest nam znana. Mamy dostęp do tej lepszej, łatwiejszej cząstki. Dla »wierzących katolików« to jest »poważna decyzja«; oni są rozsądni, życiowi, normalni. Tylko wariat zawsze musi mieć dzieci".

Mają dziwne wrażenie, że tę decyzję ktoś za nich podejmuje. To już wcześniej postanowione. Dlatego mają takie miny, jakby chcieli przepraszać. Rozmawiają uprzejmie, częstują herbatą, pod nogami kręci się piesek. „Oczywiście, że jestem wierząca", mówi kobieta patrząc w bok. „W zeszłym roku mieliśmy Pierwszą Komunię syna", chwali się mężczyzna, zapalając papierosa.

Krysia czuje, że obojętnieją w miarę, jak ona gorączkuje się coraz bardziej. Pod koniec rozmowy patrzą na nią z pobłażliwością jak na jakiegoś dziwnego, egzotycznego owada.

Po schodach schodzi wolno i ciężko, jakby przybyło jej dziesięć lat i na plecy ktoś zarzucił jej wór żelastwa.

1984 ■

Imiona bohaterów niezmienione. Ksiądz to ks. Stanisław Małkowski. Jeden z trojga założycieli Ruchu Obrony Dzieci Poczętych Gaudium Vitae.

eprasa.pl 0e52dac90d

Piotr Lisiewicz

Po tym, jak 24 lutego 2022 roku Rosja dokonała inwazji na Ukrainę, racje polskiego obozu niepodległościowego stały się popularne na świecie. Powszechnie kajano się za to, że nie słuchano polskich ostrzeżeń. Ścisła współpraca narodów zagrożonych przez Rosję, położonych pomiędzy tym zbrodniczym państwem a kolaborującymi z nim Niemcami, współwinnymi wybuchu pełnoskalowej wojny, stała się powszechnie akceptowaną ideą. Międzymorze zacieśniało współpracę w kolejnych obszarach. Wkrótce dowartościowywać zaczął je prezydent Joe Biden, a odwiedzany przez niego Rzeszów stał się centrum Europy. Niektórzy publicyści pisali nawet o możliwości odtworzenia dawnej, wielonarodowej Rzeczypospolitej…

W maju 2024 roku jesteśmy bardzo daleko od tamtych nastrojów. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski wybrał sojusz z Niemcami. Przyczynił się w ten sposób do zmiany władzy w Polsce, która ma dziś rząd podporządkowany Berlinowi. Z oczywistych powodów w Polsce Ukraina nie budzi już tak entuzjastycznych uczuć, jak dwa lata temu. Stawiając na Berlin, osłabiła nie tylko samą siebie, co dopiero zaczyna rozumieć, lecz także osłabiła Polskę.

To nic nowego pod naszą szerokością geograficzną. Edmund Charaszkiewicz, przedwojenny oficer Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, odpowiedzialnego za wywiad, kontrwywiad i dywersję pozafrontową, opisał w referacie z 1940 roku toczącą się przez dziesięciolecia rywalizację pomiędzy ideą prometejską Józefa Piłsudskiego, opartą na współpracy narodów zniewolonych lub zagrożonych przez Moskwę, a jej berlińską karykaturą, podporządkowaną niemieckim interesom imperialnym. Czytając fragmenty tej pracy, będą Państwo zdziwieni, jak bardzo aktualna to lektura.

Edmund Charaszkiewicz

Prometeizm i jego niemiecka konkurencja

Dojście Hitlera do władzy w Niemczech, stworzenie bloku antykomunistycznego na osi Berlin–Rzym–Tokio, wyraźne podjęcie współdziałania ze wszystkimi opozycjami prometejskimi, stworzyło niezmiernie ciężką i skomplikowaną sytuację dla organizacji prometejskich, pozostających w naszej orbicie politycznej. Jakkolwiek bez przesady i tendencji można podkreślić, że siły polityczne prometejskie, z którymi myśmy się związali, były gatunkowo i potencjalnie wyższe, to jednak Niemcy, przez uzewnętrznienie doskonałej, otwartej i zdecydowanej propagandy, jak również przez stosowanie specyficznych metod politycznych, wytworzyły dla nas na odcinku prometejskim groźną konkurencję.

Przystępując do naświetlenia genezy i rozwoju koncepcji prometejskiej oraz przodującej roli polskiej w tej akcji – należy przede wszystkim poczynić następujące skonstatowania.

Polska liderem dla narodów uciśnionych przez Rosję

1. Twórcą i duszą koncepcji prometejskiej był Marszałek Piłsudski, który jeszcze w roku 1904, w memoriale wystosowanym do rządu japońskiego, zwrócił uwagę na konieczność wykorzystania w walce z Rosją licznych narodów nierosyjskich, zamieszkałych w basenach bałtyckim i czarnomorsko-kaspijskim, podkreślając, że naród polski, z tytułu swej przeszłości historycznej, zamiłowania do wolności i najbardziej zdecydowanej postawy względem zaborców – w walce tej niewątpliwie zajmie czołowe stanowisko, pociągnie za sobą proces emancypacyjny innych narodów uciśnionych przez Rosję. Na specjalną uwagę zasługuje następujący wyjątek z jego memoriału:

eprasa.pl 0e52dac90d

„Ta siła Polski i jej znaczenie wśród części składowych państwa rosyjskiego daje nam śmiałość stawiania sobie jako celu politycznego – rozbicie państwa rosyjskiego na główne części składowe i usamodzielnienie przemocą wcielonych w skład imperium krajów. Uważamy to nie tylko jako spełnienie kulturalnych dążeń naszej Ojczyzny do samodzielnego bytu, lecz i jako gwarancję tego bytu, gdyż Rosja pozbawiona swych podbojów, będzie o tyle osłabiona, że przestanie być groźnym i niebezpiecznym sąsiadem".

2. Genezą ruchu prometejskiego jest odrodzenie narodowe, zapoczątkowane w końcu XIX stulecia wśród licznych narodów zamieszkałych imperium rosyjskie na gruncie procesu socjalnego, powodującego w Rosji procesy rewolucyjne. Nieomal wszystkie partie socjalistyczne, tworzone w środowiskach etnicznie nierosyjskich, przyjęły charakter narodowy i do programu swojego na naczelnym miejscu wprowadziły hasło niepodległości. Do tych partii należy zaliczyć partie socjalistyczne: polską, ukraińską, fińską, łotewską, litewską, gruzińską, azerbejdżańską, które w dalszym rozwoju wypadków objęły prymat w ruchu niepodległościowym swoich narodów. Jakkolwiek we wszystkich tych krajach istniały organizacje o czysto narodowym charakterze, wyznające również niepodległość, to jednak partie socjalistyczne tych krajów właśnie dlatego, że wiązały spełnienie swych postulatów niepodległościowych z ruchem socjalnym w Rosji, z konieczności nabierały w swoich zewnętrznych programach więcej bezpośredniości i dynamizmu. W ostatecznym wyniku walki narody basenu bałtyckiego: Polska, Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa zdobyły i utrzymały swą niepodległość – narody basenu czarnomorsko-kaspijskiego: Ukraina, Don, Kubań, Krym, Gruzja, Azerbejdżan, Armenia, Północny Kaukaz, wyemancypowały się politycznie w okresie 1919–1921, utraciły jednak niepodległość wskutek dokonanego zaboru sowieckiego. [...]

Wszelkie spory na bok

4. Bezpośrednio po utracie niepodległości narodów basenu czarnomorsko-kaspijskiego i definitywnie dokonanego w 1921 roku zaboru przez Sowiety tych terenów, Polska była jedynym państwem w Europie, popierającym materialnie i moralnie tendencje polityczne emigracji prometejskiej. Dopiero po dojściu Hitlera do władzy (1934 rok), zaznaczyło się silnie zainteresowanie tym problemem Rzeszy Niemieckiej – częściowe również Japonii oraz Włoch. Zaznaczyć jednak należy, że mimo wyraźnego uzewnętrznienia propagandowego tych zainteresowań ze strony niemieckiej i wytworzenia na tym odcinku niepożądanej dla nas konkurencji politycznej, reprezentowanej przez Niemcy, zasadniczo odbiegał od podstawowych założeń ideologicznych koncepcji prometejskich – w istocie swej stanowił elastyczną, koniunkturalną platformę dywersji, z możliwościami wykorzystania jej dla bieżących celów polityki niemieckiej w każdym kierunku. Kategorycznie muszę podkreślić, że na tym odcinku politycznym żadnych powiązań ani organizacyjnych, ani ideologicznych pomiędzy nami a Niemcami nie było, i że nasi przyjaciele polityczni w tym okresie współpracy otrzymali od nas wyraźnie sprecyzowane instrukcje – niewiązania się organizacyjnego z Niemcami, lecz wyłącznie wykorzystywania pośrednich możliwości propagandowych na tym terenie. Decyzja polityczna w tej sprawie opracowana była szczegółowo na piśmie w akcie służbowym E [kspozytury] 2 Oddz[iału] II Szt[abu] Gł[ównego] z 1935 r. Wypada mi zaznaczyć, że w tej tak bardzo naówczas skomplikowanej sytuacji politycznej, w której stanowisko Niemiec niewątpliwie silnie zaważyło na umysłach emigracji prometejskiej z nami związanej, kontrahenci prometejscy, reprezentujący autorytatywne przedstawicielstwa nacjonalne, wykazali dostateczną lojalność polityczną [...]

c) We wspólnym interesie solidarnych wysiłków realizacyjnych wyklucza się eksponowanie na zewnątrz wzajemnych sporów wewnętrznych i pretensji sąsiedzkich, stojąc na stanowisku, że głównym celem koncepcji prometejskiej jest zdobycie niepodległości państwowej, a dopiero na dalszym planie ewentualne rozpatrywanie spornych zagadnień. Zgodnie z tym stanowiskiem należy podkreślić, że w ramach polsko-ukraińskiego zagadnienia prometejskiego wyeliminowany był odcinek związany z postulatami politycznymi Ukraińców w Polsce. Stwierdzić mogę ponad wszelką wątpliwość, że politycy ukraińscy (petlurowcy), występujący dość często z propozycjami organizacyjnego powiązania z akcją prometejską wewnętrznych organizacji politycznych ukraińskich, spotykali się z naszej strony z kategorycznym sprzeciwem [...]

Niepowetowana ofiara na rzecz nowej idei

6. Koncepcja prometejska nie miała poparcia organizacyjnego ani też politycznego w poszczególnych partiach politycznych polskich zarówno na lewicy, jak w centrum i na prawicy. Równocze-

eprasa.pl 0e52dac90d

śnie należy stwierdzić, że również w obozie piłsudczykowskim ideologia ta miała dużo przeciwników, co zwłaszcza w ostatnich latach przed wojną wyraźnie się uzewnętrzniło w licznych polemikach publicystycznych. Natomiast obiektywnie należy stwierdzić, że w młodych kołach ND i w szeregach innych organizacjach młodzieżowych opozycyjnych, problem prometejski podejmowany był samorzutnie – pozytywnie, i zyskiwał zwolenników. Wystarczy przestudiować artykuły drukowane w ostatnich latach przed wojną, w takich pismach, jak „Prosto z mostu", „Kamena", „Zet", „Przegląd Katolicki", „Kultura Poznańska" i „Przełom", aby się przekonać jak głęboko utrwalać się zaczęły poglądy prometejskie w szerokich kołach Młodej Polski. [...]

Lata 1926–1932 – od powrotu Marszałka Piłsudskiego do władzy do zawarcia paktu nieagresji z bolszewikami – to okres najbardziej zdecydowanej, organizacyjnej i aktywnej współpracy z organizacjami prometejskimi. [...]

Bez porównania większym wstrząsem dla sfer prometejskich, zjawiskiem o wyjątkowo głębokim znaczeniu politycznym, była tragiczna śmierć Tadeusza Hołówki, zamordowanego w Truskawcu przez członków oddziałów bojowych OUN we wrześniu 1931 roku. Bez jakichkolwiek tendencji należy stwierdzić, że śmierć Tadeusza Hołówki wyjątkowo głęboko była odczuta w sferach prometejskich ukraińskich jako niepowetowana i bezprzykładna ofiara na rzecz nowej idei.

Przy okazji należy ogólnie stwierdzić, że w ustosunkowaniu się rządu polskiego do mniejszości narodowych w Polsce w ogóle, a w szczególności do zagadnienia ukraińskiego, nie było w Polsce żadnej planowej, zdecydowanej i konstruktywnej polityki wewnętrznej. Skoro takiej polityki nie było, nie należało oczekiwać pozytywnych rezultatów. Ponieważ w orbicie Rzeczpospolitej posiadaliśmy około 6.000.000 Ukraińców, nie należy się dziwić, że przy braku konstruktywnej polityki wewnętrznej tzw. niebezpieczeństwo ukraińskie nie przyczyniło się do zrozumienia koncepcji prometejskiej, lecz przeciwnie, ułatwiało jej zwalczanie.

Zagadnienie ukraińskie było zresztą nie tylko zewnętrzną inspiracją dywersyjną niemiecką, ale w takim samym stopniu – w okresie zaś 1921–1931 w znacznie wyższym stopniu – przez politykę Sowietów, która z jednej strony komunizowała konsekwentnie nasze Kresy Wschodnie, z drugiej zaś przez „unaradawianie" życia w Ukrainie Sowieckiej, stwarzała wśród Ukraińców, obywateli polskich, silne nastroje prosowieckie, z których Ukraińcy wyleczyli się dopiero po znanych i dokuczliwych aktach eksterminacyjnych sowieckich, jakie nastąpiły w latach 1933–1938 (masowe przesiedlenia ludności, organizowany głód na Ukrainie, który wyniszczył około 5.000.000 ludzi, masowe areszty i egzekucje) [...]

Piąty okres – lata 1933–1939 – scharakteryzować można ogólnie siedmiu latami chudymi dla pracy polsko-prometejskiej [...]

▶ Co oznaczała śmierć Marszałka dla terenów prometejskich

4. Śmierć Marszałka Piłsudskiego (12 maja 1935 r.), twórcy i bezkonkurencyjnie przyjmującego odpowiedzialność za całość prac prometejskich – wytworzyła zasadniczą lukę w całokształcie tego zagadnienia. Nie widać było równego autorytetu, który by ochronił w dostatecznym stopniu ideę polityczną o rzadkiej mocy wizjonerskiej, koncepcję, w której wczoraj realności nie spostrzegano, która wymagała proroczych przewidywań politycznych. Toteż śmierć Marszałka odczuto na terenach prometejskich jako tragedię osobistą tych ludów. Należy stwierdzić, że odtąd kontynuowanie tych prac szło raczej siłą dotychczasowego rozpędu, stale pozostawano w oczekiwaniu zweryfikowania jej treści i powzięcia decyzji przez nowe siły dyspozycyjne w Polsce. Decyzji tej, mimo częstych zapowiedzi, nie doczekano się.

5. Dojście Hitlera do władzy w Niemczech, stworzenie bloku antykomunistycznego na osi Berlin–Rzym–Tokio, wyraźne podjęcie współdziałania ze wszystkimi opozycjami prometejskimi, stworzyło niezmiernie ciężką i skomplikowaną sytuację dla organizacji prometejskich, pozostających w naszej orbicie politycznej. Jakkolwiek bez przesady i tendencji można podkreślić, że siły polityczne prometejskie, z którymi myśmy się związali, były gatunkowo i potencjalnie wyższe, to jednak Niemcy, przez uzewnętrznienie doskonałej, otwartej i zdecydowanej propagandy, jak również przez stosowanie specyficznych metod politycznych, wytworzyły dla nas na odcinku prometejskim groźną konkurencję, zwłaszcza że w tym samym czasie nasza działalność polityczno-prometejska pozbawiona była zupełnie aktywności, charakteru i planu. ■

Edmund Charaszkiewicz, „Zagadnienie prometejskie (referat uzupełniający)", przedruk za: Edmund Charaszkiewicz, „Zbiór dokumentów ppłk. Edmunda Charaszkiewicza", oprac., wstęp i przypisy Andrzej Grzywacz, Marcin Kwiecień, Grzegorz Mazur, Biblioteka Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Kraków 2000, s. 57–80.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 0e52dac90d

Marcin Wolski

Luksus posiadania przedmurza

Nie trzeba szczególnej wyobraźni, aby wyobrazić sobie najnowszą historię alternatywną. Luty 2022 roku – agresja Rosji na Ukrainę. Mimo błędów logistycznych i wadliwych informacji, rosyjska „operacja specjalna" odnosi sukces (w końcu niewiele brakowało, by naprawdę się powiodła). Wystarczy, że lotnisko w Hostomelu pada. Siły desantowe wkraczają do Kijowa. Członkowie przywództwa ukraińskiego giną, próbują uciec lub decydują się wejść do nowego marionetkowego rządu.

Putin natychmiast go uznaje i proponuje „honorowy" rozejm. A opanowane przez Rosjan „siły pokojowe" zostają rozmieszczone na całym terytorium neo-republiki. Zostaje ogłoszona amnestia (z wyłączeniem osób uznanych za nazistów), zapowiedziane są wybory… Nie dochodzi do zbrodni w Buczy ani w Irpieniu, straty ludzkie pozostają niewielkie, toteż Europa oddycha, Biden robi dobrą minę do złej gry i gratuluje nowym władzom. Koniec dramatu. A może początek.

Na całej północno-wschodniej granicy Polski stają armie odradzającego się imperium rosyjskiego. Mit niezwyciężonej Armii Czerwonej zostaje niewzruszony, strach przed nią również! Świat w najlepsze handluje z Moskwą, pomnażając jej militarną potęgę. Osamotniony rząd PiS-u nie ma niczyjego wsparcia w swych zamierzeniach zbrojeniowych. Piąta kolumna działa, użyteczni idioci pracują. Amerykanie nie przysyłają swego kontyngentu, a zwycięski Putin ponawia żądanie wycofania NATO z Europy Wschodniej. I tym razem zostaje wysłuchany.

Kolejny rząd Polski, podobnie jak pozostałe „sieroty po Międzymorzu", przystaje (co prawda bez entuzjazmu) na ten dyktat nazywany „nową Jałtą" – od miejsca wspólnej konferencji Bidena, Putina, Scholtza i Macrona…

Stop. Tak się nie stało i mam nadzieję, nigdy się nie stanie. Wolny świat jest zdecydowany walczyć do ostatniego Ukraińca! A Ukraina jeszcze nie przegrała i mam nadzieję, że nie przegra. Historia ta dawna i niedawna uczy, jak ważną rolę odgrywają państwa-bufory stojące na drodze agresywnych imperiów. Taką rolę przez wieki odgrywały Węgry i Polska, opierając się Turkom i Moskalom. Zapewne niedoceniona pozostaje rola Słowian połabskich, którzy nim ulegli naporowi niemczyzny, przez parę wieków stanowili osłonę powstającego państwa polskiego.

Od XVII wieku pozostawaliśmy osamotnieni na południowo-wschodniej flance, chroniąc Europę przed islamem i moskiewskim samodzierżawiem. Może właśnie znajomość historii pozwala dziś docenić wagę istnienia samodzielnej Ukrainy. To, w jakim stopniu pozostaje ona demokratyczna, skorumpowana czy przyjazna wobec nas, jest kwestią wtórną wobec samego faktu istnienia. Podczas burzy kolor parasola jest naprawdę nieistotny. Można konfabulować, co by było, gdyby w XVII wieku wygrała wersja hetmana Wyhowskiego i Ukraina stała się częścią Rzeczypospolitej Trojga Narodów (bo na samodzielną suwerenność szans wtedy nie miała) albo żeby powiódł się plan Piłsudskiego i Petlury w 1920 roku i Ukraina nie stała się sowiecka.

Historia ta dawna i niedawna uczy, jak ważną rolę odgrywają państwa-bufory stojące na drodze agresywnych imperiów. Taką rolę przez wieki odgrywały Węgry i Polska, opierając się Turkom i Moskalom.

Toteż dziś, gdy coraz więcej sił usiłuje grać kartą antyukraińską i co gorsza znajduje posłuch wśród rozmaitych grup interesów, należy zapytać, jaką cenę może zapłacić Rzeczpospolita, by bronić naszych pobratymców? Odpowiedź jest krótka – każdą.

Alternatywą jest odrodzone Imperium Zła, w którym znowu pozostaną nam tylko marzenia i powstania. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

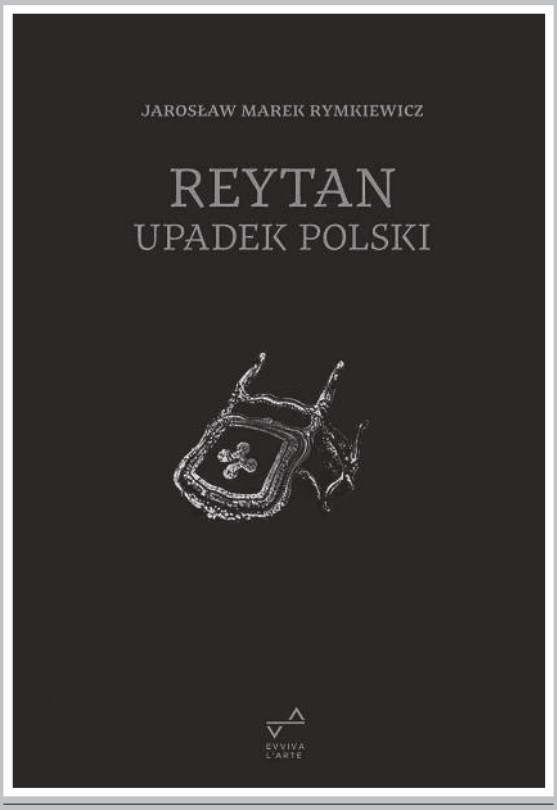

Jarosław Marek Rymkiewicz, „Reytan. Upadek Polski”, Evviva L’arte, wydanie III, Warszawa 2023

Krzysztof Wołodźko

Rzecz o człowieku szalonym

Esej historyczny „Reytan. Upadek Polski” Jarosława Marka Rymkiewicza ukazał się w 2013 roku. Dekadę później został wznowiony nakładem Evviva L’arte. Ponura książka, pisana w posmoleńskich latach, opowiada o tragicznej postaci posła województwa nowogródzkiego na Sejm Rozbiorowy w Warszawie. Jak zwykle u myśliciela historia zazębia się z mitem, a żądanie krwi wrogów i zdrajców przenika głęboko do rozważań o narodzie, państwie i polityce.

eprasa.pl 0e52dac90d

We współczesnym polskim myśleniu instytucja eksperta jest świadectwem cywilizacyjnej modernizacji na zachodnią modłę. Eksperci od ekonomii, gospodarki, socjologii, politologii, kultury i popkultury, technologii objaśniają nam świat. Zostawmy na boku rozważania, czy bliżej im do fałszywych proroków, kupców w świątyniach czy rajfurek wystawiających na sprzedaż łatwe idee. Byłoby nieuczciwością stawiać w jednym szeregu ludzi rzetelnych, choć o zdecydowanych branżowych horyzontach, z sofistami naszych czasów. Istotniejsze jest coś innego – stopniowe obumieranie tradycji bardów, myślicieli, wieszczów, wajdelotów. Kojarzona z wydrwioną humanistyką, produkującą rzekomo masę bezrobotnych absolwentów, jedna z najważniejszych intelektualnie polskich tradycji romantycznych niknie na naszych oczach.

Starzy myśliciele nie mają charyzmatycznych następców – nie ma po temu warunków i możliwości. Postinteligencja woli ekspercki żargon, ekonomiczny przekaz dnia i guru social mediów. Akademia hoduje ostrożnych w sądach grantobiorców. Papierowe media stać na coraz mniej – dosłownie i w przenośni. Ludzie mali i podli powiadają, że kto łączy politykę z wizją Polski, ten powinien udać się do lekarza od głowy. Ale nie ma polskości bez jej wizji, splendoru, tragizmu i manowców; bez zrozumienia jej przeznaczeń, podziemnych i nadziemnych nurtów myśli i czynów. Sięgajmy zatem pamięcią do tego, co zostało w archiwach, na mniej lub bardziej zakurzonych półkach. Choćby do Jarosława Marka Rymkiewicza.

▶ „Bronić całości Polski z narażeniem życia i mienia”

Wznowiony rok temu przez Evviva L'arte „Reytan. Upadek Polski” Jarosława Marka Rymkiewicza to ponura opowieść o jednej z najbardziej tragicznych w naszych dziejach postaci. „Reytan. Upadek Polski” to ostatni tom tetralogii, czteroksięgu, na który składają się również „Wieszanie”, „Kinderszenen” i „Samuel Zborowski”. Tadeusza Reytana uwiecznił Jan Matejko, przypomniał Jacek Kaczmarski, w XIX wieku nie dali jego mitowi zgasnąć Józef Ignacy Kraszewski, Józef Szujski, Henryk Schmitt. Myśliciel przypomina, że wybitny malarz swojemu płótnu nadał tytuł „Upadek Polski”. W katalogach sztuki uładzono tytuł, uspokojono myśl koneserów i tłumu widzów: „Reytan na sejmie warszawskim 1773 roku”.

Rymkiewicz protestuje: „To jest tytuł nonsensowny, bo to nie jest Reytan na sejmie, lecz Reytan wśród zdrajców. Reytan – ten jeden, który nie zdradził – w samym środku tamtej strasznej epoki”. Nowogródzki poseł rozumiał, że jego protest, opór wobec zdrajców, pragmatyków i rozbiorców, może prowadzić do ostateczności, której na imię śmierć. I raz jeszcze Rymkiewicz: „Ojczyzna może zażądać od niego w każdej chwili, żeby dla niej umarł. To była najważniejsza nauka, jaką polscy republikanci zaczerpnęli z »Żywotów« Plutarcha. Ojczyzna może cię wezwać, kiedy zechce, a ty musisz być na to przygotowany”. I z tym zgadzał się gest Reytana na sejmowej sali, gdy szykowano się do zatwierdzenia pierwszego rozbioru. Instrukcja, jaką otrzymał przy wyborze na posła na swoim sejmiku w Nowogródku, brzmiała prosto: „Bronić całości Polski z narażeniem życia i mienia”.

Rymkiewicz lubi skrupulatne historyczne śledztwa. Nazwy miejsc, wygląd jezior, podróż obłoków nad Rzecząpospolitą wieszczów, straceńców, łajdaków, odtrąconych miłośników ojczyzny. Przygląda się rodowi Reytana. Przodkowie republikanina między XIV a XVII wiekiem żyli na ziemiach Zakonu Krzyżackiego i Prus Książęcych. A później los na dobre związał ich z Hruszówką. Obecnie to wieś w rejonie lachowickim obwodu brzeskiego Białorusi. Niegdyś – miasto I Rzeczypospolitej, a do 1945 roku miejscowość w II Rzeczypospolitej. Od połowy XVII wieku do września 1939 roku Hruszówka należała do Reytanów. Ród zwano różnie: Reutanami, Rejtejnami, Reytenami. Zmieniała się Hruszówka i jej okolice: kiedy w latach siedemdziesiątych XIX wieku władze carskie skonfiskowały kościół i przerobiły go na cerkiew, miejscowa ludność wzniosła nową katolicką świątynię, „staraniem i przeważnie kosztem” kolejnego z Reytanów.

Reytanowie mieli w Hruszówce stadninę koni, browar. Postawili też własnym sumptem stację na trasie Wilno–Lwów, przydatną dla handlu drewnem. Ufundowali także przytułek dla inwalidów wojennych i dawali pieniądze na kształcenie miejscowych utalentowanych dzieci. Prawnuk Tadeusza Reytana, Henryk Grabowski, zginął 17 września 1939 roku. Rymkiewicz podaje dwie wersje jego śmierci. Pierwsza: zginął od sowieckiego tanku w dzień IV rozbioru. Druga mówi, że „został zamordowany przez chłopów z okolicznych wiosek. Czy chłopi przyszli, żeby obrabować dwór i hrabia chciał im w tym przeszkodzić, czy przyszli w zamiarze zamordowania hrabiego – nie wiadomo”. Tak stał się cieniem ród Reytanów z Hruszówki. Nie byłbym zdziwiony, gdyby współcześnie decydujący Rosją lepiej znali ten fakt niż my.

▶ „Dwie są Polski”

W kwietniu 1773 roku Tadeusz Reytan nie zna przyszłej historii, tragicznych metamorfoz rodzin-

eprasa.pl 0e52dac90d

nych i ojczystych dziejów. Znać ich nie może, choć jego późniejsze szaleństwo mogło mu podsuwać najdziwaczniejsze przeczucia. Być może w tamte dni sprawa była dla niego prosta, polityczna. Po jednej stronie był on i jego nieliczni zwolennicy, gotowi protestować w obronie integralności polskich granic, zwani wówczas zelantami, czyli gorliwcami. A po drugiej stronie – partyzanci od Adama Ponińskiego, księcia herbu Łodzia, marszałka sejmu rozbiorowego w latach 1773–1775. Dla Rymkiewicza ważne są dwa tropy. Reytan mityczny jest człowiekiem samotnym i osamotnionym. I jest człowiekiem, na którego liczony w doby protest i utrwalony na obrazie Matejki gest rozpaczy, sprowadzi obłęd i samobójstwo.

Rzeczpospolitej wraz z Reytanem bronili drugi poseł nowogrodzki Samuel Korsak i Stanisław Bohuszewicz Minkowski, poseł miński. Ale pamięć narodowa – powiada myśliciel – wolała zapamiętać Reytana samotnego i osamotnionego. Tak to zapamiętali i przekazali ludzie najtrzeźwiejsi na umyśle, których możemy widzieć raczej jako zapowiedź przyszłych pozytywistów polskich niźli romantyków – na czele ze Stanisławem Staszicem. W „Przestrogach dla Polski" słynny oświeceniowy kapłan i polityk zapisał, kierowany być może nakazem silniejszej od niego mocy: „Jeden poczciwy Reytan znowu woła, zaklina i krzyczy na wszystkich, aby pamiętali, aby nie opuszczali nieszczęśliwej Polski. […] Rzuca się w progu pod nogi nieczułych braci. Tam jęcząc krzyczy: »zdepczcie mnie, kaliczcie mnie, kiedy Ojczyznę gnębicie!«" (pisownia oryginalna).

Zdaniem Rymkiewicza Staszic musiał znać fakty, znać imiona tych, którzy byli z Reytanem. Ale wyrażał coś więcej – tragiczny mit, który budował heroiczny obraz polskości wiernej, lecz osamotnionej i polskości zdrajców i konformistów, tłumnej przez łatwość konformizmu i zdrady. Myśliciel jest bezkompromisowy: „[Staszic – przyp. K.W.] chciał, aby pojawiła się wyraźna granica – między odchodzącą w przeszłość Polską cnotliwych Polaków […] a nadchodzącą Polską zdrajców. […] Dwie Polski, przeszłość Polaków i przyszłość Polaków, dwa narody – na zawsze od siebie oddzielone". Myśliciel przypomina i napomina: nie śmiejcie traktować Staszica jak nudnego starca, bo to on wprost napisał, że Ponińskiego, zdrajcę polskości i Polski, należało zamordować na długo przed pierwszym rozbiorem – „utopić miecz w tak czarnym sercu".

Nie można wykluczyć, że Jarosław Marek Rymkiewicz, podobnie jak wielu przed nim, choćby Marian Zdziechowski, z cudzych doktryn, myśli i opowieści tworzył własną filozofię dziejów i historię polskich idei. Rymkiewiczowska interpretacja jest radykalna i jak najbardziej współczesna. „Upadek Polski" to w dużej mierze słynny posmoleński wiersz o dwóch ojczyznach, którego główne myśli znalazły formę reytanowskiego eseju. Jego najistotniejszą treścią jest wierność i zdrada polskości. Scena to dziwna, straszna scena – lecz dobrze znamy jej głównych historycznych bohaterów. Myśliciel jest bezkompromisowy i nie do strawienia dla tych, którzy w ostatnich miesiącach próbowali z nim wprost-nie-wprost polemizować, przywołując ze studia przejętej TVP jego frazy. I obłudnie zapewniając, że wierzą w pojednanie, w ran zabliźnienie – choć każdym słowem i gestem wciąż w najlepsze wiercą w tych ranach.

Dość jednak bieżącej publicystyki, Reytan woła.

▶ „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych"

Drugim ważnym romantycznym tropem jest szaleństwo Reytana. Rymkiewicz przywołuje Adama Mickiewicza. I jego artykuł z 1833 roku „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych", opublikowany na łamach „Pielgrzyma Polskiego". Poeta dopiero skończył swoje europejskie peregrynacje, minęło kilka lat od rosyjskiego zesłania. „Pan Tadeusz" właśnie powstaje. Mickiewicz przekonuje, że na oczach jego współczesnych zakorzenia się nowy gatunek Polaków: „ludzi rozsądnych". Pojawili się oni w Rzeczypospolitej w czas pierwszego rozbioru: „kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego radzono podpisać akt samobójstwa [I rozbioru – K.W.], nie śmiano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga, w imię powinności, trzeba było stworzyć język nowy". Nakłaniano ich zatem do pragmatyzmu, zrozumienia nowych okoliczności, trudności i nadziei. Tak pisał Mickiewicz: „»Gdzież rozsądek – wołano – chcieć opierać się woli trzech dworów? Gdzie są środki oparcia się? Czy jest czas po temu? Czy nie lepiej część poświęcić, aby resztę zachować, ze skołatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić, dla ulżenia mu, kilka województw, od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć cząstkę, której nie podobna uzdrowić?« […]. Tak sprawa ojczysta wpadła od tej chwili na języki sofistów!".

Ludzie szaleni, przeciwnie, nie szukali pretekstu do zaniechania czy zdrady. Szalony był też Reytan: „Po raz ostatni przemówił starym językiem, zaklinając na rany boskie, aby takiej zbrodni nie popełniać; ludzie rozsądni okrzyknęli Rejtana głupcem i szalonym. Naród nazwał go wielkim, potomność sąd narodu zatwierdziła". Mickiewicz idzie dalej – przeciwstawia szalonego Tadeusza Kościuszkę rozsądnemu kochankowi carycy, królowi

eprasa.pl 0e52dac90d

Stasiowi. I pisze: „Kiedy w czasie tworzenia się legionów młodzież polska, opuszczając krewnych, wyrzekając się dóbr, przekradała się pod chorągwie Dąbrowskiego i Kniaziewicza, krzyczano na tych zbiegów, obwoływano ich za szaleńców. Dąbrowski i Kniaziewicz w ówczesnych pismach niemieckich wystawieni byli jako szaleni awanturnicy". Nie byłby sobą pan Adam, gdyby przy okazji nie wbił szpili ojcu trzeciego wieszcza: „Znajdował się między awanturnikami zbiegły od rodziny Wincenty Krasiński, który później stał się rozsądniejszy".

My możemy iść dalej, naprawdę daleko, myśląc o dwóch Polskach: szalonej Reytana i rozsądnej Ponińskiego. Trafimy aż pieśni Legionów Józefa Piłsudskiego: „Mówili, żeśmy stumanieni, nie wierząc nam, że chcieć to móc". A Rymkiewicz dodaje: „Trzeba więc wybierać – albo będziemy ludźmi rozsądnymi i stracimy Polskę; albo będziemy ludźmi szalonymi i przyczynimy się do jej ocalenia". Ale ocalenie Rzeczypospolitej to dziejowe agony. A nagrodą bywa szaleństwo. I szyderstwo, wycedzone nad trumną przez ludzi rozsądnych.

Reytan, kruki i wrony

Tadeusz Reytan, w tamtym tragicznym momencie ścigany przez wolne sądy swojej epoki jako „wzburzyciel pokoju powszechnego i buntownik przeciw ojczyźnie", miał naprawdę oszaleć. Tak sprawy przedstawił Julian Ursyn Niemcewicz, autor „Śpiewów historycznych", które pomogły przenieść polskość przez XIX wiek. Po sejmie rozbiorowym Reytan błąkał się jeszcze po Warszawie. I stało się najgorsze: „Okropne pomieszanie zmysłów ogarnęło tę duszę, tak dotąd jaśniejącą dzielnie. Na wieść tak smutną przybyli z Litwy bracia jego, nie poznał ich Rejtan, i owszem tak wściekle rzucał się na przystępujących, iż go w okowy ująć musiano. Odwieziono go do Litwy i w osobnym na to lokalu osadzono. Rejtan niepoznawał nikogo, niecierpiał żadnego odzienia, nie przyjmował pokarmu, jak oknem" (pisownia za wydaniem Edwarda Raczyńskiego z 1842 roku).

To pomieszanie zmysłów i niepewność, jakie właściwie słowa wypowiedział Reytan kilka lat wcześniej na sali sejmowej w obronie ojczyzny, dobrze oddają zamęt tamtych czasów. W szaleństwie jedynego sprawiedliwego jest niemoc, słabość, tragedia upadającej Rzeczypospolitej. Tak jakby najbrutalniejsza rzeczywistość sama czyniła się własną metaforą. Metaforą wstydliwą, przypomina Rymkiewicz, bo o szaleństwie Reytana Polacy i Polki chętnie zapomnieli. Także ci, którzy szli w bój bez broni, jak godni dziedzice jego szaleństwa. Inaczej też podali jego słowa rzucone w Warszawie w twarz rozbiorcom i zdrajcom Staszic, Niemcewicz, Mickiewicz, Józef Wybicki, Ludwik Cieszkowski. Rymkiewicz zauważa, że tylko ten ostatni miał szanse rzeczywiście słyszeć Reytana, leżącego w progu sejmowych drzwi. A wedle jego relacji, najmniej patetycznej ze wszystkich nam znanych, republikanin miał rzucić w twarz Jackowi Jezierskiemu słowa: „Ty pierwszy – szelma!". Dlaczego? Poseł ziemi nurskiej spiesznie postawił krok nad rozpaczającym Reytanem, wołając: „Ja pierwszy!". Samotny patriota i zdrajca butnie ciągnący za sobą innych, człowiek szalony i człowiek rozsądny, złamany klęską poseł leżący na ziemi i triumfujący szelma, najpierw jedną, później drugą nogą nad ciałem przegranego – dwie są Polski.

8 sierpnia 1780 roku Tadeusz Reytan popełnił samobójstwo. Być może rozpruł sobie brzuch szkłem; może połknął fragmenty rozbitej szyby; może gniewał się na pierwszy rozbiór i rosyjskiego generała, który przekroczył próg jego domu; może oszalałego, skłonnego do autoagresji szlachcica nie upilnowała służba. Apokryficzna opowieść podaje, że przed śmiercią miał jeszcze rzucić do nas wszystkich: „Tak jak te jelita moje wleką się po ziemi, tak teraz będzie się wlókł los naszego kraju".

Krukom i wronom bardzo by się podobała taka wersja zdarzeń. Ale to musi być kłamstwo, w które rozsądni ludzie nigdy nie uwierzą. ■

8 SIERPNIA 1780 R. REYTAN POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO. APOKRYFICZNA OPOWIEŚĆ PODAJE, ŻE PRZED ŚMIERCIĄ MIAŁ JESZCZE RZUCIĆ DO NAS WSZYSTKICH: „TAK JAK TE JELITA MOJE WLEKĄ SIĘ PO ZIEMI, TAK TERAZ BĘDZIE SIĘ WLÓKŁ LOS NASZEGO KRAJU".

eprasa.pl 0e52dac90d

Sto twarzy DRACULI

Łukasz Czarnecki

eprasa.pl 0e52dac90d

W 1897 roku na brytyjskim rynku wydawniczym ukazała się powieść, na której na żółtej okładce wielkimi, czerwonymi literami wytłoczone było stanowiące jej tytuł egzotycznie brzmiące imię „Dracula". Nikt jeszcze nie podejrzewał, że popkultura od tego momentu już nigdy nie będzie taka sama.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 0e52dac90d

W 127 lat po premierze książki, która przyniosła jej autorowi, irlandzkiemu pisarzowi i menedżerowi teatralnemu związanemu z Lyceum Theatr, Bramowi Stokerowi nieśmiertelność, stworzony przez niego bohater – demoniczny hrabia wampir z Transylwanii – jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych ikon kultury popularnej.

Transylwański arystokrata w pelerynie

Trudno znaleźć w obszarze cywilizacji zachodniej człowieka, któremu imię Draculi nic by nie mówiło. Jego postać była wielokrotnie wykorzystywana i przetwarzana na niezliczone sposoby, hrabia pojawiał się na scenie, ekranie, w książkach kolejnych pokoleń autorów, grach komputerowych, planszowych i RPG, zdarzało mu się tańczyć i śpiewać (istnieją musicale o nim), a nawet zmieniać kolor skóry (w latach 70. w USA powstał film „Blackula", w którym zarówno tytułowy bohater, jak i jego antagonista – profesor Abraham Van Helsing – byli Afroamerykanami)! W międzyczasie utrwalił się ikoniczny (choć niemający nic wspólnego z powieścią) wizerunek Draculi jako dystyngowanego mężczyzny w średnim wieku, odzianego w strój wieczorowy i długi płaszcz. Największą zasługę w powstaniu tego popkulturowego obrazu miał aktor węgierskiego pochodzenia Bela Lugosi, który jako pierwszy przywdział pelerynę w klasycznym filmie Toda Browninga z 1931 roku, tworząc kreację tak przekonującą, że już na zawsze wyznaczyła ona ramy, w których poruszali się kolejni odtwórcy postaci transylwańskiego arystokraty (zaś sam jej odtwórca, wskutek zbytniego wczucia się w rolę, uwierzył, że naprawdę jest wampirem). Atrybuty krwiopijcy, które jako pierwszy wprowadził na ekran Lugosi, utrwalił w zbiorowej wyobraźni Brytyjczyk Christopher Lee, naśladujący kreację Węgra w cyklu horrorów wyprodukowanych w połowie XX wieku przez wytwórnię Hammer. Filmy te, choć artystycznie były niskich lotów (formułę produkcji Hammera jeden z krytyków określił jako „krew i cycki", bo oprócz lejącej się strumieniami posoki pełno w nich było roznegliżowanych młodych kobiet), podbiły publikę i na dobre utrwaliły pozycję Draculi w popkulturze.

Paradoksalnie w XXI wieku, choć imię hrabiego z Transylwanii kojarzy się, jak już rzekliśmy, prawie każdemu obywatelowi krajów Zachodu i części Azji, pamięć o jego książkowych korzeniach zatarła się w zbiorowej świadomości. Wielu widzów doskonale bawiących się w czasie oglądania filmów i seriali wykorzystujących wątek najsłynniejszego z wampirów (na samym tylko Netfliksie obejrzeć można klasycznego „Draculę" Coppoli, campowego „Van Helsinga", serial fabularny „Dracula" i cztery serie anime „Castlevania") czy graczy mierzących się z nim w grach komputerowych, nie zdaje sobie sprawy z faktu istnienia książki, od której kariera krwiożerczego arystokraty się zaczęła! Ba, nawet ci, którzy znają literacką genezę słynnego wampira, rzadko kiedy sięgają po oryginalny tekst, zadowalając się licznymi popkulturowymi przeróbkami.

Prześledzenie wszystkich wcieleń legendarnego wampira jest pracą tytaniczną, której jak dotąd nie sprostał żaden z badaczy, ani nasza rodzima profesor Maria Janion w „Wampirze. Biografii symbolicznej", ani brytyjski specjalista od literatury gotyckiej – profesor Nick Groom w swoim „The Vampire: A New History". Z całą pewnością zatem i nam się to nie uda, zresztą piszący te słowa ma bolesną świadomość, że obiecując przedstawić Wam, Drodzy Czytelnicy, w tym tekście „sto twarzy Draculi", znacząco rozminął się z prawdą. Mam nadzieję, że wybaczycie mi i pozwolicie, bym zapoznał Was może nie z setką, ale z pewnością jednymi spośród najciekawszych inkarnacji hrabiego z Transylwanii. Z racji ograniczonej objętości, jaką dysponujemy, pozwoliłem sobie skupić naszą podróż po śladach krwiożerczego arystokraty wyłącznie na książkach, na których kartach się pojawiał. Zaprezentowane tytuły stanowią oczywiście zaledwie drobny ułamek olbrzymiej bibliografii.

Książę małżonek

Jedną z najciekawszych pozycji wykorzystujących mit Draculi jest wydana w 1992 roku powieść ekscentrycznego brytyjskiego pisarza Kima Newmana, zatytułowana „Anno Dracula". Książka wzbudziła ogromne zainteresowanie w Zjednoczonym Królestwie i nie tylko tam, bo w pewnym momencie przykuła nawet uwagę amerykańskich wytwórni filmowych i zrodził się plan stworzenia adaptacji filmowej, zaś wśród kandydatek do głównej roli żeńskiej rozważano m.in. Sophie Marceau. Z realizacji tego projektu nic nie wyszło, ale zachował się scenariusz, z którym dziś można się zapoznać, kupując angielską edycję „Anno Dracula" od wydawnictwa Titan Books – jego fragmenty dołączono do tego konkretnego wydania jako dodatek. Warto też dodać, że Kim Newman za swoje dzieło otrzymał brytyjską nagrodę literacką im. Brama Stokera, przyznawaną autorowi najlepszej powieści grozy.

O czym jednak opowiada książka? Newman kreuje przed oczami czytelników świat, w którym wydarzenia opisane przez Stokera na kartach „Draculi" miały miejsce naprawdę, z jedną drobną różnicą – to nie Van Helsing i jego ekipa łowców wampirów pokonali hrabiego, tylko on ich. Zgładziwszy profesora i część jego towarzyszy, a pozostałych przeciągnąwszy na swoją stronę lub zmusiwszy do ukrywania się, hrabia oczarował owdowiałą królową Wiktorię, która, straciwszy głowę dla charyzmatycznego cudzoziemskiego arystokraty, wzięła z nim ślub, czyniąc go księciem

eprasa.pl 0e52dac90d

małżonkiem. W efekcie Imperium Brytyjskie dosłownie wpadło w szpony Draculi, ten zaś, ujawniwszy światu swą wampirzą naturę, zaczął ściągać na wyspy nieumarłych pobratymców z kontynentu. Wielka Brytania stała się ziemią obiecaną dla wampirów, a że te kąsały ludzi na prawo i lewo (wiele ofiar ochoczo z własnej woli podsuwało im szyję), zaś sam wampiryzm stał się modną przepustką na salony, wampirza zaraza zaczęła ogarniać coraz większe rzesze poddanych Wiktorii. Można rzec, że w chwili gdy zaczyna się akcja powieści, wampiryzm zszedł już pod strzechy, bo długie kły mają nawet londyńskie lumpy i prostytutki z Soho! I to właśnie m.in. wokół przedstawicieli najniższych warstw wiktoriańskiego społeczeństwa koncentruje się opowieść, albowiem w dzielnicach nędzy na łowy wyrusza Kuba Rozpruwacz, który w tej rzeczywistości bierze na cel… powiedzmy, że „wampirzyce upadłe".

zemplarze owej edycji znaleźć można jeszcze czasem na Allegro lub w bibliotekach, zaś czytelnik, który chciałby w pełni poznać świat „wampirzego stulecia", sięgnąć musi do wydań oryginalnych, które bez trudu można nabyć na Amazonie, pięknie wydane tomy są bowiem nieustannie wznawiane przez Titan Books, zaś w roku 2022 wydawnictwo wypuściło nawet specjalną jubileuszową edycję „Anno Dracula", złożoną z egzemplarzy w twardej oprawce opatrzonych podpisem autora.

Na tropie wampira

Niezwykle ciekawą książką wykorzystującą zarówno mit Draculi wampira, jak i postać jego historycznego pierwowzoru – księcia Wołoszczyzny Włada III Draculi, zwanego Palownikiem, jest wydana w roku 2005 debiutancka powieść amerykańskiej pisarki Elizabeth Kosto-

Największą zasługę w powstaniu popkulturowego obrazu Draculi miał aktor Bela Lugosi, który jako pierwszy przywdział pelerynę w klasycznym filmie Toda Browninga z 1931 roku, tworząc kreację tak przekonującą, że już na zawsze wyznaczyła ona ramy, w których poruszali się kolejni odtwórcy postaci transylwańskiego arystokraty.

„Anno Dracula" okazała się tak wielkim sukcesem, że Kim Newman poszedł za ciosem i rozwijał stworzony przez siebie dziwaczny świat. Do chwili obecnej spod jego pióra wyszło sześć powieści i jeden komiks, których akcja osadzona jest w kolejnych epokach historycznych, prezentując zmiany, jakie zachodziły na świecie w przeciągu XX wieku, wymieszane z szaloną fantasmagorią o wampirach żyjących obok nas. Na kartach cyklu oprócz postaci wykreowanych w wyobraźni Newmana pojawiają się bohaterowie klasycznych utworów związanych z epokami, w których dzieje się akcja poszczególnych części, a także autentyczni bohaterowie historyczni (w „Anno Dracula 1918. Krwawym baronie" jest cudowna scena z przemienionym w wampira… Winstonem Churchillem, który borykając się z alkoholizmem, nawet jako nieumarły, przyjmuje napoje wyskokowe… pojąc nimi króliki, z których później wysysa krew). Powieści skrzą się dowcipem, a ich lektura stanowi wspaniałą intelektualną zabawę.

Jedyny problem związany z cyklem Newmana, jaki może mieć polski czytelnik, polega na tym, że do tej pory nie doczekaliśmy się pełnego przekładu serii. Pod koniec lat 90. XX wieku Wydawnictwo Prószyński wydało dwa pierwsze tomy, a potem zapadła cisza. Nieliczne egzy – „Historyk". Okazała się ona ogromnym sukcesem, przynosząc autorce zarówno wielkie pieniądze (wydawca kupił do niej prawa za 2 mln dolarów), międzynarodową sławę, jak i tytuł rekordzistki – jej powieść okazała się najszybciej sprzedającą się w dziejach USA książką w twardej oprawce!

„Historyk" jest powieścią o budowie szkatułkowej. Opowieść o niezwykłych i dramatycznych wydarzeniach, w wyniku których grupka ludzi musiała zmierzyć się z liczącym sobie stulecia demonicznym wampirem, poznajemy z ust narratorki (jej imię nigdy nie pada w tekście) cofającej się we wspomnieniach do roku 1972, gdy znalazłszy w bibliotece ojca tajemniczą księgę, poprosiła o zdradzenie historii artefaktu. Mężczyzna, dyplomata imieniem Paul, niechętnie cofa się w czasie o prawie dwadzieścia lat, by podzielić się z córką nieprawdopodobną historią, która spotkała go jako doktoranta historii na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Pewnego dnia na swoim biurku znalazł tajemniczą księgę, oznaczoną symbolem smoka i traktującą o wołoskim księciu Władzie III Draculi. Gdy pokazał ją swemu promotorowi – profesorowi Rossiemu, ku zdziwieniu młodzieńca zaprezentował mu on dokładnie taki sam tom i podzielił się opowieścią o tym, jak książka ta trafiła

eprasa.pl 0e52dac90d

do jego rąk. Wkrótce potem Rossi w tajemniczych okolicznościach znika. Atmosfera zaczyna się zagęszczać i dzieją się coraz dziwniejsze rzeczy, takie jak choćby nagłe pojawienie się bibliotekarza odczuwającego lęk przed symbolem krzyża. Ostatecznie Paul, sprzymierzywszy się z przybyłą z komunistycznych Węgier na stypendium doktorantką Helen (która okazuje się nieślubną córką Rossiego), ruszają w szaleńczą podróż w poszukiwaniu zaginionego profesora, która poprowadzi ich przez Stambuł do Węgier i Rumunii, gdzie zmierzyć przyjdzie się im zarówno z demonem krwiopijcą, jak i komunistyczną bezpieką.

W „Historyku" przeplatają się opowieści snute przez poszczególnych narratorów, a prawda miesza z fikcją, zaś historia spotyka z legendą. Efektem jest piorunujące totalne dzieło literackie, w którym czytelnik zakochuje się od pierwszych stron. Jedynym, do czego może się przyczepić odbiorca, czy to polski, czy też pochodzący z innego kraju Europy Środkowej, jest nadmierna łatwość, z jaką Amerykaninowi Paulowi i jego diabelnie inteligentnej towarzyszce Helen przychodzi przekraczanie żelaznej kurtyny w jedną i drugą stronę w samym apogeum zimnej wojny, tuż po śmierci Stalina. Cóż, nie zapominajmy, że autorka sama pochodzi z USA i choć wielokrotnie bywała w naszej części Starego Kontynentu, odwiedzając rodzinę męża (jest on Bułgarem, to po nim pani Kostova nosi słowiańskie nazwisko), nadal cechuje ją pewna amerykańska naiwność w spojrzeniu na Europę.

Oblubienice i oblubieniec

Kolejną pisarką, której przyszło mierzyć się z legendą Draculi, również jest Amerykanka – S.T. Gibson, autorka książki „Dar krwi", która postanowiła spojrzeć na postać najsłynniejszego z wampirów od strony kobiecej.

Jednymi ze składowych elementów wizerunku hrabiego z Transylwanii, pochodzącymi zresztą bezpośrednio z powieści Stokera, są postaci „oblubienic Draculi", tj. trzech nieziemsko pięknych wampirzyc, które (nie) żyją wraz z nim w jego zamczysku. W książce z 1897 roku damy te ostrzyły sobie (całkiem dosłownie!) kły na uwięzionego w zamku Jonatana Harkera i w tej roli pojawiły się też w filmie Browninga. Wytwórnia Hammer, lubująca się w pięknościach w prześwitujących halkach, eksploatowała później ów motyw, warto też wspomnieć, że rola oblubienicy w „Draculi" Coppoli z 1992 roku była hollywoodzkim debiutem jednej z najpiękniejszych aktorek przełomu XX i XX wieku – Monici Bellucci.

„Oblubienice Draculi" mają więc swoje miejsce w wampirycznej tradycji, jednak jak dotąd, w fabułach opowiadających o hrabim z Transylwanii ich jedyną rolą było granie pięknego dodatku i wprowadzanie do historii erotycznego napięcia – nie ukrywajmy, filmowcy wrzucali trzy roznegliżowane piękności do swoich obrazów głównie po to, by przyciągnąć męską część widowni. Pani Gibson w swej książce zdecydowała się zrobić to, czego nie podjął się jeszcze żaden piszący o Draculi autor – dała głos upiorzycom, którym przyszło dzielić z hrabią los.

Narratorką „Daru krwi" jest najstarsza z trójki oblubienic, towarzysząca wampirowi od czasów średniowiecza, Constanta. Jej opowieść jest monologiem snutym przed martwym już (wskutek jej własnych działań) małżonkiem, mającym na celu usprawiedliwienie podjętych decyzji, próbę ostatecznego rozrachunku z przeszłością oraz zerwania więzi między nią a Draculą, który okazuje się tyranem stosującym przemoc psychiczną oraz (rzadziej) fizyczną wobec członków swojego wampirzego haremu (złożonego oprócz Constanty także z Magdaleny i Aleksieja, w tej wersji hrabia jest równie czuły na męskie, co na damskie wdzięki).

W miarę rozwoju opowieści zagłębiamy się w psychikę narratorki, kobiety przez długie stulecia całkowicie uzależnionej od swego partnera będącego zarazem jej protektorem, jak i oprawcą. Jak sama Constanta stwierdza, w całości jest ona tworem Draculi – nie tylko przemienił ją w wampirzycę, gdy zgwałcona i śmiertelnie ranna konała porzucona na polu średniowiecznej bitwy, lecz także nauczył wszystkiego, co tylko wie i potrafi, czyniąc z prostej niepiśmiennej wieśniaczki prawdziwą damę. Zupełnie przypadkiem hrabia zaszczepia w podopiecznej te cechy, które uważa za pożądane u kobiety, pod jego palcami upiorzyca kształtowana jest niczym rzeźba z gliny. Gdy zaś po wiekach pożycia kochanka mu się nudzi, wampir bez ogródek proponuje jej zaproszenie do związku trzeciej, a potem i czwartej osoby. W efekcie w wampirzym stadle zaczyna dominować duszna atmosfera perwersji i przemocy, z czasem doprowadzająca do zawiązania między członkami haremu Draculi sojuszu, którego celem jest unicestwienie tyrana.

„Dar krwi" uznać można za powieść kontrowersyjną, czytelnikowi konserwatywnemu raczej nie spodoba się zmienienie najsłynniejszego wampira świata w biseksualistę, ale na ten szczegół warto przymknąć oko. Książka pani Gibson potrafi oczarować lirycznym nastrojem i opowiada w gruncie rzeczy o bardzo ważnych sprawach – w końcu codziennie niezliczone rzesze kobiet i mężczyzn padają ofiarą przemocy ze strony swoich partnerów, których od wampirów różni tylko długość kłów.

Jak widać, stworzony przez Brama Stokera bohater mimo 127 lat na karku ma się dobrze i inspiruje kolejne pokolenia twórców. Jako zaś że wampiry są nieśmiertelne (chyba że zgładzi je osinowy kołek lub słońca promień), zapewne zostanie z nami jeszcze długie lata. I dobrze, bo Dracula to jeden z tych łotrów, których kochamy nienawidzić. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Marek Kalinowski

Przewietrzyć country

Beyoncé nową płytą „Cowboy Carter" odświeża największe przeboje country, a jednocześnie podnosi silny głos sprzeciwu wobec prób oceniania muzyki z perspektywy koloru skóry wykonawcy. Ciekawe tylko, czy połączone ze współczesnymi brzmieniami pieśni amerykańskiego południa znajdą nowych słuchaczy.

Kto choć raz miał okazję uczestniczyć w koncercie Beyoncé, z pewnością przekonał się, że nie na darmo określana jest królową popu. Przejazd nad publicznością na świecącym, ogromnym koniu, fajerwerki, konfetti – proszę bardzo, tu wszystko jest możliwe. A do tego niekwestionowany talent, świetne wyczucie publiczności, gigantyczny przepych oraz setki osób ze sceny i poza sceną, które do ostatniego punktu wszystko perfekcyjnie zaplanowały.

Dyskoteka to jednak za mało. Beyoncé na wydanym właśnie krążku „Cowboy Carter" wkracza na zupełnie nowe terytorium – muzyki country – i robi to z właściwym sobie rozmachem. Nowy album okazuje się bowiem ciekawym wyzwaniem, i to na kilku co najmniej poziomach.

Po pierwsze, to powrót do przykrego doświadczenia sprzed kilku lat i występu na Country Music Association Awards. Okazało się wówczas, że zaśpiewana przez czarnoskórą artystkę piosenka „Daddy Lessons" może być „niewystarczająco country", przy okazji wywołując wśród „tradycyjnej" publiczności rasistowskie komentarze. Album „Cowboy Carter" jest więc mocnym głosem sprzeciwu wobec prób oceniania muzyki z perspektywy koloru skóry. I to głosem zwycięskim, bo singiel „TEXAS HOLD'EM"od razu zdobył pierwsze miejsce na Billboard Hot Country Songs.

Po drugie, płyta postrzegana jest jako celny prztyczek w nos dla największej konkurentki Beyoncé w amerykańskim show-biznesie – Taylor Swift, która właśnie od country swoją muzyczną karierę zaczynała.

Po trzecie, i chyba najważniejsze, jest to ogromne pole do zabawy gatunkiem dość hermetycznym i bardzo przy tym zakurzonym. I tu trzeba przyznać, że Beyoncé z owej zabawy „przewietrzania country" czerpie pełnymi garściami. Doprawia bowiem akustyczne, nierzadko leniwe gitarowe pieśni sporą szczyptą popu, R&B, soulu, a nawet gospel. Do współpracy przy nagraniach zaprosiła znane postacie ze świata country, w tym dwie największe gwiazdy gatunku Dolly Parton i Willa Nelsona, ale też artystów z zupełnie innych muzycznych przestrzeni. Niemałe wrażenie robi choćby duet z Miley Cyrus czy świetnie wplecione muzyczne cytaty z twórczości The Beatles, Chucka Berry'ego oraz The Beach Boys.

Beyoncé COWBOY CARTER, Parkwood Records

Jest oczywiście ryzyko, że „Cowboy Carter" okaże się płytą zbyt nudną dla jej fanów, a zbyt eklektyczną dla słuchaczy country. Niezależnie jednak od gustów i oczekiwań, wśród 28 nowych piosenek chyba każdy znajdzie tu co najmniej kilka momentów, które zachwycą ciekawym pomysłem, niezwykłym brzmieniem czy po prostu zwyczajnie udaną melodią.

Trzeba też pamiętać, że fenomen Beyoncé wykracza daleko poza rynek muzyczny, a wyścig z bezpośrednią konkurentką Taylor Swift sięga o wiele dalej niż tylko sprzedaż płyt. To już niemal dwie oddzielne korporacje, a ich kolejne odsłony to wręcz walka o dusze. Wystarczył tydzień od publikacji piosenki „LEVII"S JEANS" i zdjęcie ubranej w dżinsy Beyoncé, by marka odzieżowa Levi Strauss odnotowała 20-procentowy wzrost swoich akcji, o sprzedaży produktów nawet nie wspominając. Na tym jednak nie koniec. Okazuje się bowiem, że jednoznaczne poparcie Taylor Swift dla jednego z kandydatów może zaważyć na nadchodzących wyborach prezydenckich w USA. Kto wie, czy nazwisko zwycięzcy nie jest już gdzieś wyśpiewane. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 0e52dac90d

Jak ogrzać arystokratę?

Krzysztof Karnkowski

„Dżentelmeni" to niewątpliwie jedna z ciekawszych propozycji serialowych tej wiosny, jaka pojawiła się na Netfliksie. Opowieści o brytyjskich arystokratach zamieszanych w uprawę i handel marihuaną, sama w sobie łączy kilka popularnych wątków, więc wyjściowo wydaje się skazana na sukces.

Szanse i oczekiwania dotyczące tej produkcji rosną, gdy dowiadujemy się, że za tym dziełem stoi Guy Ritchie, angielski specjalista od produkcji zaliczanych do tzw. heist movies, którego „Przekręt" w swoim czasie zredefiniował i odświeżył ten gatunek. Należało więc spodziewać się serialu co najmniej fajnego i rzeczywiście jest to produkt wysokiej jakości, wciągający widza od początku do końca wierny prawidłom zarówno tej gałęzi kina, jak i stylowi samego Ritchiego.

Sympatyczne złodziejaszki

Styl ten widzowie na całym świecie poznali w dwóch filmach, którymi Guy Ritchie wdarł się do reżyserskiego mainstreamu pod koniec lat 90. „Porachunki" z 1998 roku i przywołany już o dwa lata późniejszy „Przekręt" pokazały nam świat barwnej brytyjskiej subkultury przestępczej – złodziejaszków, oszustów, paserów, handlarzy narkotyków i ustawianych, nielegalnych walk bokserskich. Tu na chwilę wejdźmy na wyższy poziom i przyjrzyjmy się całemu gatunkowi. „Heist movies" to wedle definicji „podgatunek filmu kryminalnego opowiadający o grupie ludzi, którzy próbują coś ukraść (na przykład pieniądze). Skupia się on na planowaniu, samej kradzieży i na ucieczce z miejsca przestępstwa. Zwykle taki film charakteryzuje się złożoną fabułą i wieloma zwrotami akcji". Zalicza się tu takie klasyki, jak „Asfaltowa dżungla" czy „Żądło", a z nowszych produkcji choćby „Ocean's Eleven". Podgatunek ten ukochali także Azjaci, w Polsce natomiast nawiązywał do niego choćby Juliusz Machulski. Specyfiką tego podgatunku jest częste przeniesienie sympatii widza na postacie, które niby z racji wykonywanego fachu uznać należałoby za bohaterów negatywnych, jednak z reguły są oni dużo lepsi od swoich brutalniejszych i bardziej cynicznych partnerów, któ-

rzy z kolei często kończą jako ich ofiary. Są więc niejako narzędziem pewnej sprawiedliwości. Do tego, zwłaszcza w bardziej komediowym wcieleniu tej formuły, budzą sympatię swą naiwnością i nieudacznictwem. Niczym gang Olsena, też przecież pojawiający się w serii, którą można pod heist movie podciągnąć.

Trochę jak u Tarantino

Ritchie w swoich filmach dorzucił do prawideł gatunku specyficzny, gapowaty wizerunek młodszych postaci, zarazem ukazując przemoc w sposób barwny, atrakcyjny i bardzo przerysowany. W jego pierwszych filmach bohaterowie wzięci jakby z obrazów Kevina Smitha („Clerks", „Szczury z supermarketu"), przeżywają przygody z dzieł Quentina Tarantino, który z kolei swoją estetyzację przemocy i upodobanie do wszelakich przegięć zapożyczył z kina dalekiej Azji. Tarantino, a za nim również Ritchie, pozwolił również wygadać się swoim bohaterom – błyskotliwe, wiarygodne i nie zawsze poprawne politycznie dialogi nawet jeśli nie popychają akcji do przodu, stanowią tu atrakcję samą w sobie. W „Porachunkach" liczne grupki młodszych kombinatorów i starych wyg wzajemnie podprowadzają sobie pieniądze, marihuanę i zabytkowe strzelby, których wartości większość z nich nawet nie przeczuwa. W „Przekręcie" dochodzą do tego nielegalne, ustawiane walki bokserskie, a w półświatku, zaludnianym dotąd głównie przez brytyjski margines, pojawia się też przerysowany cygański żywioł. Pełna, skomplikowana, lecz układająca się w całość opowieść, zagrana przez kilka gwiazd i grupę świetnie dobranych charakterystycznych aktorów, przyniosła Ritchiemu sławę na całym świecie. Potem reżyser trochę błądził (słabiutki film z piosenkarką Madonną), trochę eksperymentował („Revolver"), jednak co pewien czas wypuszczał też filmy mniej lub bardziej nawiązujące do tamtej konwencji, jak „Rock'n'roll" czy własna adaptacja przygód Sherlocka Holmesa. W ostatnich latach współpracował nawet z Disneyem, jednak w 2019 roku wypuścił bardzo klasyczny dla siebie film… „Dżentelmeni", do którego wrócimy za chwilę.

Dużo Ritchiego w Ritchiem

W pierwszym odcinku serialu pod tym samym tytułem młody brytyjski arystokrata Eddie Horniman (w tej roli Theo James), odbywający zgodnie z tradycją służbę wojskową na jednej z międzynarodowych misji, dowiaduje się o śmierci ojca. Wraca więc do rodzinnego majątku, gdzie czeka go seria niespodzianek. Pierwszą jest to, że to on, a nie jego starszy brat, ustanowiony zostaje dziedzicem tytułu i fortuny; drugą – jej raczej opłakany stan; wreszcie jest kluczowa niespodzianka trzecia: majątek okazuje się być schronieniem dla ogromnej, podziemnej plantacji marihuany, którą potężna rodzina Glass rozprowadza stamtąd po całej Wielkiej Brytanii, a nawet po Europie. Kto często ogląda angielskie produkcje, ma na pewno w pamięci powtarzający się motyw ciepło ubranych arystokratów, marznących w swoich wielkich, zimnych posiadłościach. Zrezygnować z nich nie chcą, a utrzymać w nowych warunkach społecznych nie za bardzo potrafią, nie mają więc czym ich i siebie ogrzać. W kreacji Ritchiego głowy rodów radzą sobie poprzez wejście w symbiozę z baronami trawy. I tak czyni też Theo, który aby pozbyć się plantacji ze swojej ziemi, musi podjąć się udziału w serii intryg. Te zaś bardzo mocno go z całym interesem zwiążą.

Nie chcę opowiadać serialu, napomknę więc tylko, że znajdziemy tu właściwie wszystko, czego możemy spodziewać się w produkcji, za którą odpowiada Guy Ritchie. Jest więc oczywiście marihuana. Są bokserskie walki, w których bierze udział syn rodziny Glassów. Są i Cyganie, którzy co prawda musieli stać się Romami, ale poza tym są zupełnie tacy sami jak wcześniej. Jest wreszcie cała chmara rozmaitych barwnych, przestępczych klanów i graczy indywidualnych, w tym niesamowity pan Jonston (Giancarlo Esposito) i charakterystyczny, będący jako aktor odkryciem tego reżysera – Vinnie Jones, tu jako opiekun posiadłości. A i świat arystokracji odmalowany został bardzo interesująco, zarazem wiarygodnie. Z jednej strony mamy tu resztki zakorzenionego w tradycji, lecz mającego coraz słabsze pokrycie w teraźniejszości szacunku, z drugiej rozmaite skrzywienia i patologie, które skupiają się przede wszystkim w figurze starszego brata, Freddy'ego Hornimana (Daniel Ings). Są wreszcie – i to chyba jakiś ukłon w stronę czasów i nadawcy – silne postacie kobiece, reprezentowane przede wszystkim przez stopniowo przejmująca obowiązki starego i uwięzionego ojca – narkotykowego barona Alice Glass, lecz również przez wdowę i nestorkę rodu Lady Sabrine (znakomita w swej wyniosłej kreacji Joely Richardson).

Razem lub osobno

Jak wspomniałem, kilka lat temu Ritchie nakręcił film pod tym samym tytułem, który dostępny jest dla polskich widzów w serwisie VPD TVP. Nie mamy tu do czynienia z prostym wstępem czy zawiązaniem opowiedzianej w serialu historii. To rzecz samodzielna, w której z przebojem Netfliksa powtarza się przede wszystkim wątek twórczego wykorzystania arystokratycznych majątków. Poza tym to jednak przede wszystkim wartka, niewiele ustępująca „Przekrętowi" opowieść o walce właściciela plantacji z coraz bardziej bezwzględną konkurencją, pokazana z punktu widzenia jego prawej ręki, a także obserwującego poczynania obu chciwego reportera. Można ten film obejrzeć przed zapoznaniem się z serialem lub po tym, ja uczyniłem to później. Na pewno jednak warto – czy w pakiecie, czy osobno. I serial, i film to znów kawał świetnego gatunkowego kina. ■

FOT. MAT PRAS.

eprasa.pl 0e52dac90d

Krzysztof Karnkowski

2tm 2,3 – powrót z pełną mocą

Najnowsza płyta Tymoteusza – pt. „Svrsvm Corda" przynosi dobrą nowinę i, jako jej nośnik, bardzo dobrą muzykę.

Choć zespół grał, czy raczej należałoby napisać „grywał", przez cały czas, na tę płytę fani czekać musieli aż 14 lat. Tyle bowiem czasu minęło, odkąd rockowa supergrupa 2tm 2,3, zwana też Tymoteuszem, wypuściła ostatni krążek z ostrą, przede wszystkim punkrockową muzyką, zatytułowaną „888". Później, ale też już dawno temu, wyszły jeszcze dwa dużo spokojniejsze albumy – „Dementi" i „Źródło", po czym zapadła cisza. Publiczność jednak wytrwale czekała, a czekanie to umilała sporadyczna aktywność zespołu. Przypomnijmy – 2tm 2,3 to wykonująca przede wszystkim mające pochodzenie biblijne teksty grupa, w której śpiewają Tomasz Budzyński (znany przede wszystkim z zespołu Armia), Darek „Maleo" Malejonek (m.in. Izrael, Houk, Maleo Reggae Rockers) i Robert „Litza" Friedrich (kiedyś m.in. Acid Drinkers, a dziś Arka Noego i Luxtorpeda) z towarzyszeniem zaprzyjaźnionych muzyków. Tym razem są to drugi gitarzysta Drężmak, basista Kmieta oraz dwójka perkusistów – Krzyżyk i Beata Polak.

2tm 2,3, SVRSVM CORDA, Stage Diving Club

Nowa płyta Tymoteusza nazywa się „Svrsvm Corda" i przynosi nam 12 kompozycji, muzycznie rozpiętych między dość ciężkim i chwilami skomplikowanym rytmicznie metalem a szybkim, brutalnym punkiem, nieodległych od tego, co na ostatnich płytach prezentuje Armia. Wokaliści śpiewają i krzyczą z pełną mocą, z mocą grają też ich koledzy tworzący muzyczne tło. Czasem galopujące do przodu, czasem bardziej melodyjne. Te zmiany nastroju zapowiada już otwierające płytę „Związ mnie", gdzie dość ciężkie, oparte na zwolnionym, całkiem jednak tanecznym rytmie zwrotki wybuchają nagle melodyjnym, lekkim, lecz porywającym refrenem, by dorzucić po nim jeszcze „luxtorpedowe" skandowanie. I tak będzie przez cały czas – galopady, które aż proszą się o waltornię, by stać się numerami Armii, przetykane orientalizmami i rozmaitymi łamańcami. Oddechu tu niewiele, dużo klimatu ostrzejszych zespołów, w których udzielają się muzycy. Ogólnie płyta nawiązuje stylem do pierwszych albumów formacji. Spotykają się tu różne fascynacje muzyków, tym razem ograniczone jednak do ostrzejszych odmian muzyki. „Miłość Chrystusa" mogłaby na przykład ukazać się na płycie Armii „Der Prozess", a „Wodę i krew" Budzyński nagrać mógłby z Trupią Czaszką. Z kolei „Niewiastę" zapewne wpleść w repertuar mogłaby Luxtorpeda, a może też dawny Houk Malejonka. „Psalm 150", choć śpiewany przez Budzyńskiego, Luxtorpeda uniosłaby na pewno.

Na koniec trzeba wspomnieć jeszcze o dwóch rzeczach. Płycie towarzyszyła udana trasa koncertowa, jednak z przyczyn zdrowotnych Tomasz Budzyński nie mógł wziąć udziału w części koncertów. O Budzyńskim było też ostatnio głośno z innych powodów – nowe władze pozbawiły go audycji muzycznej w radio Poznań, która jako jedno z niewielu radiowych źródeł niszowej muzyki miała grono wiernych słuchaczy. To nie najlepsze wiadomości, natomiast płyta „Svrsvm Corda" jest wiadomością dobrą – przynosi bowiem dobrą nowinę i, jako jej nośnik, bardzo dobrą muzykę. ■

FOT.MAT. PRAS.

eprasa.pl 0e52dac90d

Małgorzata Matuszak

Czym jest... ciekawość

Mówi się o niej, że jest pierwszym stopniem do piekła. Czy naprawdę? Stanowi przecież ciekawość ogromną siłę w człowieku, która pobudza go do szukania i odkrywania czegoś nowego, dotąd nieznanego. Wtedy, rzec można, prowadzi wręcz do nieba – odsłania tajemnice, daje poznanie dotąd przed ludzkim rozumem zakryte.

Ciekawość, mając (co najmniej) dwa oblicza, ma zatem naturę ambiwalentną. Jako potężna siła psychiczna, będąca nieodłącznym elementem naszej ludzkiej natury, stanowi ważną motywację poznawczą w procesie uczenia się, dzięki której nasza nauka staje się bardziej efektywna i przyjemna. To właśnie ciekawość popycha nas do zgłębiania wiedzy, zadawania pytań, odkrywania nowych rzeczy i zmieniania otaczającej rzeczywistości. Chęć poznania świata rozwija naszą wyobraźnię i buduje naszą świadomość, mając przy tym olbrzymi wpływ na podejmowane przez nas decyzje i naszą ewolucję. Świat bez ciekawości zupełnie nie przypominałby naszego świata. Z drugiej strony istnieje ta, która – jak pisał Oskar Wilde – dotyczy ogółu ludzi „zdradzających nienasyconą ciekawość wszystkiego, z wyjątkiem tego, co warte jest poznania", ciekawość niezdrowa, wścibskość, nawiedzająca ludzi, którzy się nudzą i szukają sposobu, by „zabić czas". Portale społecznościowe i inne „rozpraszacze" zajmują nasz umysł, zaspokajają ciekawość. Chwilowo jednak, bo nienasycenie każe poszukiwać nowości po to tylko, by od jednej przeskoczyć do następnej. Znów na chwilę.

„Wszyscy ludzie z natury dążą do poznania" – tak zaczyna się jedno z najważniejszych dzieł filozoficznych w historii: „Metafizyka" Arystotelesa. Nawet ludzie, którzy pozornie nie posiadają żadnych zainteresowań, są ciekawi świata, choćby była to tylko codzienność newsów i plotek. Problem leży więc w tym, jak tę naturalną ciekawość świata ukierunkujemy. Autentyczna dociekliwość jest szukaniem i odwagą podążania w kierunku, który wskazuje. Niestety, dziś łatwo przeradza się w swoją karykaturę. Współcześnie wielu ludzi poddaje się obsesji bycia poinformowanym. Fascynujemy się sportem, życiem celebrytów, sąsiadów i znajomych nam osób, bohaterów telenowel, karmimy się mnóstwem miałkich treści. Rozpraszamy się. A przecież, wiedzieli to już starożytni, o jakości naszego życia decyduje to, na co zwracamy uwagę i z jakim nastawieniem do tego czegoś podchodzimy. Pozwalając, by owładała nami „niepotrzebna ciekawość", nie rozwijamy się, a zatracamy. Ciekawość nie może służyć kolekcjonowaniu faktów, nie jest „rzucaniem się" na nowinki. Winna służyć swemu celowi, jakim jest osiągnięcie szczęścia, czyli rozwijaniu pełni człowieczeństwa zgodnie z prawami natury.

Z dwuznaczności znaczenia słowa „ciekawość", czy też z wielości jej oblicz, zrodziło się przeświadczenie, że jest czymś złym – pierwszym stopniem do piekła. Stwierdzenie to najprawdopodobniej zostało zapożyczone od św. Bernarda z Clairvaux, który w swym traktacie „O stopniach pokory pychy" opisuje dwanaście stopni pychy, po których wchodzi człowiek, by na końcu osiągnąć stan określany przez świętego jako „śmierć duszy". Pierwszym z nich jest właśnie „curiositas", przetłumaczona jako „ciekawość". Święty Bernard, podobnie jak św. Tomasz, nie był przeciwnikiem naturalnego dla człowieka dążenia do poznania świata i innych ludzi, tylko niewłaściwemu sposobowi robienia tego. „Curiositas" św. Bernarda należałoby więc przetłumaczyć raczej jako „ciekawskość", czyli ciekawość kierowana ku rzeczom na ciekawość niezasługującą. Do bram piekła nie przywodzi nas zatem ciekawość świata, rozwijanie pasji i pogłębianie wiedzy, bez tego nie bylibyśmy przecież w stanie się rozwijać i nawiązywać relacji z innymi ludźmi i z Bogiem, ale korzystanie z ciekawości w sposób nieracjonalny, czyli dążenie do poznania tego, co nieistotne, i odwracanie się tak naprawdę od tego, co winno nas zajmować: pragnienia prawdy. ■

To właśnie ciekawość popycha nas do zgłębiania wiedzy, zadawania pytań, odkrywania nowych rzeczy i zmieniania otaczającej rzeczywistości.

eprasa.pl 0e52dac90d

Trzeba jedności wolnego świata

Hanna Shen

Mamy do czynienia z bezprecedensowymi zagrożeniami w różnych częściach świata i dla utrzymania przewagi ekonomicznej oraz technologicznej kolektywnego Zachodu niezbędna jest znacznie ściślejsza współpraca euroatlantycka w tych dziedzinach. Tymczasem faktycznym celem koncepcji autonomii strategicznej Unii jest wypchnięcie z Europy Stanów Zjednoczonych – mówi eurodeputowana i była szefowa MSZ Anna Fotyga. Panią Minister pytamy również o to, co utrudnia uczciwą ocenę zagrożenia ze strony Chin, o systemowe zbliżenie Chin i Rosji oraz o to, co będzie priorytetem w nowej kadencji europarlamentu. Rozmawia Hanna Shen.

eprasa.pl 0e52dac90d

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

Pani Minister, USA właśnie ostrzegły państwa UE i NATO, że Chiny zacieśniają współpracę z Rosją. Przed nami wizyta Putina w ChRL. Jednocześnie wielu europejskich przywódców i polityków wydaje się wierzyć, że możemy wpłynąć na Pekin, by ten przestał wspierać maszynę wojenną Kremla. Skąd ten brak zrozumienia kierunków polityki Pekinu?

Od dawna monitoruję zagrożenia ze strony Chin. Dotyczą one zarówno polityki wewnętrznej, szczególnie przemocy wobec ludności, a w tym przede wszystkim mniejszości etnicznych i religijnych zamieszkujących terytorium ChRL, lecz także w relacjach ze światem Zachodu. Korzeni obecnej polityki Chin, określanej powściągliwie jako asertywna, należałoby szukać w 1989 roku. Po stłumieniu protestów na placu Tiananmen, Komunistyczna Partia Chin obrała kurs, którego efekty widzimy dzisiaj. Strategiczne zbliżenie z Rosją przelane zostało na papier w lutym 2022 roku, kiedy Putin i Xi Jinping zadeklarowali „partnerstwo bez granic". Miało to miejsce kilka dni przed inwazją na Ukrainę, w okresie otwartego szantażowania Zachodu odrzuceniem reguł, które były przez lata podstawą międzynarodowego porządku. To działanie powinno być wyraźnym dzwonkiem alarmowym, chociaż nasze, polskie zaniepokojenie powinny już budzić rosyjsko-chińskie manewry na Bałtyku w 2017 roku. W zeszłej kadencji, gdy przewodniczyłam podkomisji bezpieczeństwa i obrony i wielokrotnie omawialiśmy temat Chin wraz z wybitnymi ekspertami ze Stanów Zjednoczonych czy Japonii, należałam do nielicznych europejskich polityków, którzy zwracali uwagę na alarmujące działania ChRL. Dzisiaj niepokój poczynieniami Pekinu jest znacznie powszechniejszy. Jestem członkiem IPAC, sojuszu legislatorów z całego świata, który monitoruje politykę Państwa Środka. O zagrożeniach rozmawiam więc w gronie polityków brytyjskich, australijskich czy kanadyjskich. Sądzę, że percepcja Chin ulega zmianie. Skala zaangażowania gospodarczego niektórych państw w Chinach jest jednak tak wielka, iż często utrudnia realną diagnozę sytuacji i uczciwą ocenę zagrożenia.

Ale Unia w pewnych obszarach dotyczących polityki Chin ma też osiągnięcia, na przykład rezolucje dotyczące chociażby sytuacji Ujgurów czy praw Hongkończyków.

Tak, faktycznie Parlament Europejski ma tutaj pewne sukcesy. Gdy jeszcze w czasie pandemii jako pierwsza organizowałam seminaria o trwającym ludobójstwie Ujgurów, wiele osób nie wiedziało, kim

e52dac90d

w ogóle są Ujgurzy. Rok później na prezentacji raportu przygotowanego przez wybitnych prawników z USA, Kanady i Wielkiej Brytanii miałam już grono istotnych współgospodarzy. Dzisiaj rezolucje w tej sprawie zdecydowaną większością głosów podejmuje cały parlament. Co więcej, dużo uwagi poświęca się działalności w Sinciangu poszczególnych firm, sprawdzając, czy nie korzystają one z pracy przymusowej. Gdy kilka tygodni temu dotarły do nas wiarygodne raporty, iż problem ten dotyczy także znanych niemieckich firm BASF i Volkswagen, wraz z moim kolegą Reinhardem Butikoferem oraz parlamentarzystami z kilkunastu państw zdecydowanie zareagowaliśmy. I co najważniejsze, wszystko wskazuje na to, że skutecznie. BASF już zapowiedział wycofanie się z prowincji.

▶ W Polsce niestety także po prawej stronie pojawia się takie przekonanie, że co prawda Chiny to dyktatura, ale nam chodzi tylko o relacje gospodarcze. Nawet jeśli jest jakieś zagrożenie ze strony Chin, to jest to daleko od nas.

Od młodości związana jestem z „Solidarnością", gdzie zajmowałam się głównie sprawami zagranicznymi. Moje pryncypialne spojrzenie na kwestie praw pracowniczych, w kraju i poza jego granicami, jest sprawą zrozumiałą. Nie mam także złudzeń, jeśli chodzi o system komunistyczny. Chciałam jednak zwrócić uwagę na dwie kwestie. Kilka lat temu popularne było wytykanie przez zachodnich ekspertów bliskich relacji naszego regionu z Chinami. Zwracałam wówczas uwagę, iż porównując skalę wymiany handlowej czy inwestycji, Europa Środkowa i Wschodnia jest daleko w tyle za państwami Zachodu, które od dekad są obecne w Państwie Środka, robiąc tam wielkie interesy. Dostrzegam różnice w proporcjach zaangażowania pomiędzy częściami kolektywnego Zachodu i bronię dobrego imienia mojego regionu, Europy Środkowej i Wschodniej, która z nielicznymi wyjątkami jest obecna w Chinach w stopniu nieporównanie niższym niż reszta świata zachodniego. Przy utrzymywaniu relacji handlowych z Chinami wszyscy musimy pamiętać o wielokrotnym stosowaniu przez Chiny szantażu politycznego w relacjach handlowych, rosnącym napięciu w regionie Indo-Pacyfiku, ale także o załamaniu łańcuchów dostaw w trakcie pandemii, problemach transportowych wynikających z zagrożeń dla swobody żeglugi czy niewyobrażalnej skali łamania praw człowieka. Drugą kwestią jest specyfika relacji Polski z Chinami. Dobrze jest pamiętać o rozłamie pomiędzy Chinami a Związkiem Sowieckim, roli, jaką odegrała Polska w negocjacjach amerykańsko-chińskich w ubiegłym wieku, czy też kosztach, jakie poniósł nasz region przy azjatyckim „piwocie" Obamy. Biorąc to wszystko pod uwagę, obawiam się, iż pomiędzy Rosją a Chinami doszło do systemowego zbliżenia i każdy odpowiedzialny polityk powinien dokonać analizy jego skutków.

▶ W marcu w Brukseli, ale też Pradze, Warszawie i Wilnie, gościła wiceprezydent-elekt Tajwanu Hsiao Bi-khim. Dlaczego ta wizyta i relacje z Tajwanem są ważne?

Pod koniec marca gościłam Panią wiceprezydent-elekt w Parlamencie Europejskim w Brukseli. Pani Hsiao Bi-khim jest nam osobą dobrze znaną, jeszcze kiedy kierowała przedstawicielstwem Tajwanu w Waszyngtonie. Kończąca się właśnie kadencja Parlamentu Europejskiego była przełomowa dla naszego dialogu z Tajwanem. Z mojej inicjatywy powstały pierwsze rekomendacje odnośnie do relacji Unii z Tajwanem, odbyły się oficjalne wizyty w Tajpej, a Tajwan wielokrotnie znalazł się w naszych rezolucjach. Nie tylko jeśli chodzi o nasze wsparcie dla status quo w relacjach między dwoma brzegami Cieśniny Tajwańskiej, lecz także wykorzystanie doświadczeń Tajwanu w odpieraniu cyberataków czy zwalczaniu chińskiej dezinformacji. Podczas swoich wizyt na Tajwanie zawsze mam bardzo szeroką agendę, dotyczącą również współpracy gospodarczej. Polska może wiele zyskać, rozwijając współpracę z Tajpej.

▶ Pani Minister, jest Pani też jednym z tych polityków, który podkreśla, że nasze, polskie, doświadczenie, wrażliwość chrześcijańska i duch Solidarności to również zobowiązanie, by upominać się o ofiary reżimu KPCh, m.in. o katolików – kardynała Josepha Zenia czy o hongkońskiego wydawcę Jimmy'ego Lai.

Pracuję obecnie nad rezolucją poświęconą sytuacji w Hongkongu. Zawsze przy negocjacjach dokumentów z zakresu spraw zagranicznych oraz pilnych rezolucjach o przypadkach łamania praw człowieka, które dotyczą Chin, dbam o to, by ujmowane w nich były konkretne przypadki, konkretne nazwiska. Kardynał Joseph Zen był wymieniany wielokrotnie w rezolucjach Parlamentu Europejskiego, podobnie Jimmy Lai, którego proces prowadzą sędziowie wybrani de facto przez KPCh. Widok Laia prowadzonego w łańcuchach na proces przez policję nie pozostawia złudzeń i przypomina najgorsze momenty w polskiej historii. Wcześniej mówiliśmy o sytuacji Ujgurów, ale musimy mieć świadomość i nagłaśniać, jakie prześladowania dotykają chrześcijan. Niedawno byłam współgospodarzem dużej konferencji poświęconej wolności i prześladowa-

eprasa.pl 0e52dac90d

niom w komunistycznych Chinach. Gościłam zarówno liderów protestów studenckich na Tienanmen, jak i studentów, którzy zmuszeni byli chwilę temu opuścić Hong Kong. Zhou Fengsuo, lider protestów z 1989 roku, żyjący obecnie w Stanach Zjednoczonych, mówił mi, jakim natchnieniem była dla niego „Solidarność". I powiem szczerze, iż wciąż nią jest dla wielu osób, czy to w Wenezueli, czy w Iranie. Na Kubie wielkim kultem obdarzony jest bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Tydzień temu spotkałam się z grupą chrześcijan, którzy musieli opuścić Chiny. Ich sytuacja jest znacznie gorsza, niż przedstawiają to media. Po przejęciu władzy przez Xi Jinpinga skala prześladowań chrześcijan systematycznie wzrasta, ale niestety wiedza na ten temat w Polsce jest znikoma, chociaż przypomina w pewnym stopniu nasze bolesne doświadczenia z ubiegłego wieku. Kilka tygodni temu prezentowałam raport na temat wolności religii w Hongkongu autorstwa Benedykta Rogersa[1]. Podczas mojej wizyty w Waszyngtonie rozmawiałam z ekspertami zajmującymi się Koreą Północną, o której w zasadzie publicznie się nie mówi. Sytuacja chrześcijan przypomina tam prześladowania z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Mamy XXI wiek. Nikt nie powinien mieć złudzeń, iż komunizm można zreformować. Pokonać zaś go można solidarnością. Dlatego wspieram prześladowanych i walczących o wolność. Solidarność ta jest w polskim DNA.

▶ Miałam okazję przeprowadzać wywiady z kard. Zenem i osobami blisko związanymi z więzionym Jimmym Laiem, m.in. z jego synem Sebastianem. Często w tych rozmowach pojawiała się postać św. Jana Pawła II. Niesamowicie ważna figura także dla wielu w Azji.

Tak, to prawda. Papież Polak jest inspiracją i ważną postacią dla chrześcijan w Chinach. Jak wspomniałam, niedawno brałam udział w briefingu o sytuacji chrześcijan w ChRL, podczas którego miałam okazję rozmawiać m.in. z prawnikami, obrońcami praw człowieka, więźniami politycznymi z Chin. Moi rozmówcy sami wskazywali na ogromną rolę św. Jana Pawła II i Jego nauczania, nie tylko w sferze duchowej, lecz także w obaleniu komunizmu w Polsce. Sytuacja chrześcijan w Państwie Środka jest bardzo dramatyczna i część przyjęła postawę, rzekłabym, pierwszych chrześcijan – wszystkie te cierpienia zsyła na nich Bóg i dlatego trzeba je przyjąć. Dlatego powołując się na dającą nadzieję postawę i działalność św. Jana Pawła II, która zainspirowała Polaków do oporu przeciwko komunistom, przekonywałam, żeby się nie poddawali.

▶ Przed wyborami do parlamentu europejskiego porozmawiajmy o tym, co się dzieje w Europie. I tak protesty rolników. Zaburzenia światowych rynków rolnych to efekt inwazji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. Odnosząc się do rozwiązania tego problemu, mówi Pani o potrzebie solidarności społeczności międzynarodowych.

PROBLEM UKRAIŃSKIEGO ROLNICTWA NIE MOŻE OPIERAĆ SIĘ NA ROZWIĄZANIACH TYMCZASOWYCH, SKRAJNIE NIESPRAWIEDLIWYCH I NIEKORZYSTNYCH DLA POLSKIEGO ROLNIKA.

Rosja wykorzystuje żywność, przede wszystkim zboże, w podobny sposób jak energię. Kryzys, który Moskwa celowo wywołała, destabilizuje Polskę, osłabia Ukrainę oraz zwiększa rosyjskie wpływy w Afryce i Azji, gdzie rosyjskie zboże przejmuje tradycyjne rynki ukraińskich produktów. Jest sprawą oczywistą, iż rozwiązanie tej sytuacji wykracza daleko poza możliwości Polski, a nawet Unii Europejskiej. Stąd mój apel o utworzenie swoistego rolniczego Ramstein, którego zadaniem byłoby odzyskanie przez Ukrainę rynków zbytów. Tu nie chodzi tylko o transport czy tranzyt. Ukraińskie porty, dzięki międzynarodowemu wsparciu, są ponownie dostępne. Wspólnymi wysiłkami musimy utrzymać swobodę żeglugi na Morzu Czarnym. Problem ukraińskiego rolnictwa nie może opierać się na rozwiązaniach tymczasowych, skrajnie niesprawiedliwych i niekorzystnych dla polskiego rolnika. Kijów musi zdać sobie sprawę, iż bez znalezienia trwałego, obustronnie satysfakcjonującego rozwiązania nie ma mowy o akcesji

[1] W Polsce wydana została właśnie książka Rogersa pt. „Chińska sieć zła" ze słowem wstępnym Anny Fotygi.

eprasa.pl 0e52dac90d

Ukrainy do Unii Europejskiej. Stanie murem za polskim rolnikiem w tej sprawie to kwestia przetrwania polskiej wsi, jaką znamy. Upadek indywidualnego rolnictwa byłby katastrofą dla Polski, której wieś zawsze była prawdziwą ostoją. Mówię o tym swoim ukraińskim interlokutorom, chociażby podczas ostatniego Kijowskiego Forum Bezpieczeństwa. W swojej międzynarodowej aktywności tłumaczę różnicę w strukturze polskiego i ukraińskiego rolnictwa. Sądzę, że moje argumenty znajdują zrozumienie.

▶ Drugi poważny problem to imigranci. I znów pojawia się kwestia stabilności – imigranci są też elementem destabilizacji Zachodu przez Rosję i Chiny. Pakt migracyjny został jednak przeforsowany przez EPP, do której należą PO i PSL. Co tu mogą zrobić nowa Komisja i bardziej konserwatywny Parlament Europejski?

Kryzys migracyjny dotknął Europę już w 2015 roku. Od tego czasu Unia Europejska popełniła mnóstwo błędów. I popełnia je nadal.

Kryzys migracyjny dotknął Europę już w 2015 roku. Od tego czasu Unia Europejska popełniła mnóstwo błędów. I popełnia je nadal. Nowy pakt o migracji i azylu zawiera nieakceptowalne dla nas zapisy o relokacji i przymusowej solidarności. Chciałabym jednak przypomnieć, że Polska od początku wspierała dobrowolnie i solidarnie państwa zmagające się z kryzysem migracyjnym poprzez działania straży granicznej, policji, straży pożarnej, w tym wysyłając swoich przedstawicieli do odległych regionów. Jako posłowie grupy EKR wykonywaliśmy fizyczne prace charytatywne łagodzące skutki kryzysu migracyjnego w Turcji, Chorwacji i we Włoszech. Społeczeństwa europejskie uczą się jednak szybciej niż europejskie elity. Sądzę, że pokażą to wyniki wyborów europejskich. Z problemem migracji będziemy mierzyć się jeszcze przez dekady. Prawo i Sprawiedliwości od początku ma w tej sprawie rację i zyskuje nowych sojuszników. Także państwa takie jak Wielka Brytania, Dania czy Australia wprowadzają własne rozwiązania, które warto rozważyć. Z pewnością kwestia migracji w nowej kadencji będzie jednym z naszych priorytetów.

▶ I jeszcze jeden temat, który pojawia się w niektórych stolicach europejskich – idea autonomii strategicznej UE czy inne pomysły osłabienia NATO i sojuszu z USA.

Mamy do czynienia z bezprecedensowymi zagrożeniami w różnych częściach świata i dla utrzymania przewagi ekonomicznej oraz technologicznej kolektywnego Zachodu niezbędna jest znacznie ściślejsza współpraca euroatlantycka w tych dziedzinach. Tymczasem faktycznym celem koncepcji autonomii strategicznej Unii jest wypchnięcie z Europy Stanów Zjednoczonych. W tym sensie nie jest to nowa idea. Pojawiała się ona w poprzednim stuleciu w postulatach różnych środowisk. Dziś wiemy, że część z nich była aktywem Moskwy. Koncepcja ta została odświeżona, wykorzystując niepopularność prezydenta Donalda Trumpa w niektórych państwach i europejskich elitach. W zręczny sposób starano się ją wprowadzić jako postulat w obliczu rosyjskiej agresji, złudnie próbując nadać jej słuszność argumentami konieczności wzmocnienia europejskiego filaru NATO. Podobnie wygląda narracja związana z postulatami o konieczności odejścia od jednomyślności w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa. Sądzę jednak, iż moje liczne argumenty dotarły do wielu europosłów. Z wielu dokumentów udało się usunąć takie zapisy, a w wielu je osłabić. O tym, że to nie Unia, a Sojusz Północnoatlantycki, którego trzonem jest silna więź transatlantycka, jest niepodważalnym filarem bezpieczeństwa, świadczy akcesja Szwecji i Finlandii do NATO. Zarówno w zeszłej kadencji jako przewodnicząca podkomisji bezpieczeństwa i obrony PE, jak i obecnie w roli koordynatora EKR w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa, staram się więź transatlantycką umacniać. Niedawno wróciłam z tygodniowej wizyty w Waszyngtonie, wypełnionej od rana do nocy spotkaniami. Jestem przekonana, iż także w Stanach Zjednoczonych, niezależnie od tego, kto zasiądzie jesienią w Białym Domu, istnieje co do tego pełne zrozumienie. Obecna sytuacja bezwzględnie wymaga jedności wolnego świata. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Ryszard Czarnecki

Senegal pachnący paradoksami

Na ulicach stolicy Senegalu – Dakaru – widzę stare citroeny z lat 80. i jeszcze starsze ciężarówki – z lat 70. Tutaj francuskie samochody mimo półwiecza przebiegu funkcjonują całkiem nieźle. Są też – w wielkim mieście – wozy konne, o których znajomy dyplomata mówi dowcipnie, że to „pojazdy niskoemisyjne".

Uliczni sprzedawcy podchodzą, pukają w szyby samochodów i oferują dywaniki do modlitw – 91 proc. mieszkańców kraju to muzułmanie – ale też orzeszki nerkowca czy cytryny. Sklepy z kwiatami ciągną się długim szeregiem i są oczywiście „pod chmurką". Lodziarnia – „Rome Gelato" – jest niczym w Europie. Wiatr od oceanu przyjemnie chłodzi. Obserwuję tubylców siedzących na ziemi i jedzących ze wspólnej miski.

Afryka gospodarczo idzie w górę, choć cały czas, codziennie, uciekają z niej do Europy setki, tysiące ludzi. Mapa biedy oraz mniejszej i większej zamożności Czarnego Lądu jest ciekawa. PKB Senegalu wynosi 27 mld USD brutto, zatem przyjeżdżają tu bliżsi i dalsi sąsiedzi z Mali czy Gwinei – w tym kraju żyje się po prostu lepiej niż tam. Z kolei PKB Wybrzeża Kości Słoniowej wynosi 70 mld USD brutto, a więc jest ponad 2,5 razy większy niż senegalski. Dla porównania z Europą: PKB Francji jest 100 razy większy niż jej dawnej kolonii, natomiast PKB Polski jest około 18 razy większy, a na mieszkańca prawie 12 razy większy.

Cała Afryka przeżywa olbrzymi boom demograficzny. Senegal też. Dziesięć lat temu liczył 13 mln mieszkańców – teraz 18 mln. To nic w porównaniu z Nigerią, która już w tej chwili ma ponad 200 mln mieszkańców. Wbrew tanim intelektualnie stereotypom duża dzietność sprzyja rozwojowi ekonomicznemu, bo nakręca popyt i wymusza większą podaż. Trudno się więc dziwić, że według prognozy Międzynarodowego Funduszu Walutowego (IMF) za pół wieku PKB Nigerii będzie niemal dwa razy większy niż… Rosji.

Trudno sobie odmówić kąpieli w oceanie. Dopiero wtedy widzę, jak jest zanieczyszczony. Na powierzchni wody unoszą się kawałki drewna, ale co gorsza – sporo plastiku. Dopiero po wyjściu z kąpieli widzę, jak prosto do oceanu prowadzi… ściek. Nikomu to jakoś nie przeszkadza.

Okazuje się, że nasze auto zakopało się w piasku. Za niewielką opłatą pomaga gromada dzieciaków. Miejscowi udzielają cennej lekcji – w takich sytuacjach trzeba postarać się najpierw cofnąć auto – tak łatwiej się odkopać.

Czołowy dziennik na pierwszej stronie krzyczy tytułem: „A Vos Cartes!". Nic dziwnego: jutro są tu wybory prezydenckie. Później się okaże, że Senegal jest jednym z nie tak wielu krajów Afryki, gdzie w wyniku naprawdę demokratycznej elekcji może zmienić się władza. Gazety są tu po francusku, za to telewizja w głównym języku miejscowych – wolof.

Mijam budynek starej ambasady RP. W 2008 roku, za rządów PO-PSL, MSZ podjął decyzję o zamknięciu polskiej placówki w Dakarze. Przez siedem lat usiłowano ją sprzedać. Po zmianie władzy rząd PiS zatrzymał proces sprzedaży okazałego budynku. Słusznie, bo szkoda wyzbywać się polskiej własności w ważnym kraju Afryki. Ale ponieważ było już „po słowie" z potencjalnym nabywcą, ruszył jego proces z państwem polskim. Zakończył się dopiero co. Polski podatnik musiał zapłacić – koszty adwokatów i odszkodowanie to 2 mln złotych. Wniosek? Nie zamykać w przyszłości polskich ambasad!

Przejeżdżam obok nowoczesnej przetwórni ryb. To paradoks, że kraj z dostępem do oceanu nie rozwija w ogóle takiej gałęzi gospodarki – ta fabryka jest darem króla Maroka (a więc kraju mającego świetne relacje z Senegalem). Ale przetwórnia jest zamknięta na cztery spusty. Król odwołał swój przyjazd (choć z winy Senegalczyków), a musi być najpierw uroczyste otwarcie z jego udziałem. I jak tu zrozumieć Afrykę? ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Antoni Rybczyński

Syndrom hawański cyrylicą pisany, czyli kompromitacja służb Bidena?

Nagły ból, ucisk i wibracje w głowie, nieokreślony hałas pochodzący z określonego kierunku, ból w uszach. Do tego problemy ze wzrokiem, z utrzymaniem równowagi i z koncentracją. Tajemnicze objawy zostały po raz pierwszy stwierdzone w 2016 roku wśród dyplomatów USA na Kubie. Stąd wziął termin się„syndrom hawański". Anomalia zdrowotne dotknąć mogły nawet około tysiąca amerykańskich dyplomatów.

FOT. ADOBE STOCK

Personel placówek dyplomatycznych Stanów Zjednoczonych oraz niektórzy z krewnych pracowników ambasady skarżyli się też na utratę słuchu, napady lęku i coś, co opisali jako „mgłę poznawczą". Do grudnia 2018 roku było takich przypadków już co najmniej 26.

„Organiczne uszkodzenie mózgu"

Później były kolejne, m.in. na placówkach w Chinach, Rosji, Austrii, a także w samych USA. To, co zaczęło się od kilkunastu przypadków w Hawanie w 2016 roku, wzrosło do łącznie 130 do połowy 2021 roku. Syndrom hawański odczuło m.in. około 50 pracowników CIA na różnych placówkach. Oficerowie wywiadu raportowali o podobnych sytuacjach w różnych lokalizacjach, od Londynu po Uzbekistan. Trzy przypadki zarejestrowano w samych Stanach Zjednoczonych, w tym u pracownika Rady Bezpieczeństwa Narodowego, który upadł w drzwiach do Białego Domu, przekonany, że umiera.

„W grudniu 2017 roku obudziłem się w środku nocy w moskiewskim hotelu, zaledwie dwie przecznice od ambasady USA. Obudziłem się z niesamowitymi zawrotami głowy, szumem w uszach, i rozdzierającym bólem głowy" – wspominał Marc Polymeropoulos w rozmowie z jedną z amerykańskich telewizji. Był wtedy wysokim rangą pracownikiem CIA nadzorującym operacje w Rosji (wcześniej pracował w Iraku i Afganistanie). „Rosjanie z pewnością wiedzieli, kim jestem, a w tym czasie rozpoczęliśmy coś, co nazywamy wielkim odwetem na Rosjanach, po ich ingerencji w amerykańskie wybory w 2016 roku, a także po tym, co robili w Europie" – dodaje Polymeropoulos. Przez kolejne trzy lata po pierwszym wystąpieniu objawów nadal cierpiał na nieustanne problemy neurologiczne: od codziennych bólów głowy po poważne trudności z koncentracją. Jego życie wywróciło się do góry nogami z powodu choroby, której skutki zmusiły go w końcu do przedwczesnego opuszczenia CIA.

Hipotezę o zatruciu chemicznym odrzucono szybko, zwłaszcza że syndrom pojawił się także poza Kubą. Catherine Werner z Departamentu Handlu zajmowała się promocją amerykańskiego biznesu w konsulacie w chińskim Guangzhou. Pewnej nocy w 2017 roku obudził ją pulsujący dźwięk w głowie. Już wcześniej cierpiała na bóle głowy, nudności i utratę równowagi, uważała jednak, że jest to związane z wysokim poziomem zanieczyszczenia powietrza. Kobieta została przewieziona do USA. Zdiagnozowano „organiczne uszkodzenie mózgu". Badano możliwość infekcji, czy to bakteryjnych, czy wirusowych. Ale i to wykluczono. Raport naukowców z grudnia 2020 roku za najbardziej prawdopodobną hipotezę uznał, że syndrom hawański wywołuje ukierun-

eprasa.pl 0e52dac90d

kowana broń energetyczna. Tajemnicze problemy zdrowotne wielu przedstawicieli amerykańskiego państwa i ich podobny przebieg sprawiły, że w końcu Kongres i administracja na poważnie zajęły się tym, co określa się jako „syndrom hawański". Anomalia zdrowotne (AHI – skrót od „anomalous health incidents") dotknąć mogły nawet około tysiąca amerykańskich dyplomatów.

Służby zamiatają sprawę pod dywan

Sprawą zajęto się jeszcze za rządów prezydenta Donalda Trumpa, ale wnioski służby wywiadowcze USA przedstawiły już za czasów Bidena. Jego administracja była pod presją skarżących się na dolegliwości członków rządowego personelu i popierających ich polityków, w tym członków Kongresu. Prezydent Joe Biden w 2021 roku podpisał ustawę HAVANA Act, która zapewniła odszkodowanie osobom, które odniosły obrażenia zgodne z tym, co rząd nazywa „anomalnymi incydentami zdrowotnymi" (jednorazowe świadczenia 100–200 tys. dolarów). Podczas rządów Bidena, „intelligence community", czyli wspólnota wywiadowcza, przemawiająca w imieniu całego aparatu służb specjalnych USA, dwukrotnie wydała publiczne oświadczenia na temat tzw. syndromu hawańskiego. Na początku 2022 roku CIA formalnie stwierdziła, po przeanalizowaniu ponad tysiąca możliwych przypadków, że objawy związane z tzw. syndromem hawańskim nie były wynikiem wrogich działań zagranicznych, nie wykluczając przy tym całkowicie takiej możliwości w kilku przypadkach. Następnie Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego w marcu 2023 roku ogłosiło, że większość służb USA doszła do wniosku, że jest „bardzo mało prawdopodobne", aby objawy tzw. syndromu hawańskiego były spowodowane przez zagranicznego przeciwnika. Ale nie podano, skąd taki wniosek.

Raport wydany w styczniu 2022 roku przez CIA stwierdzał, że większość przypadków „można racjonalnie wyjaśnić warunkami medycznymi lub czynnikami środowiskowymi i technicznymi, w tym wcześniej niezdiagnozowanymi chorobami". Jednocześnie CIA przyznała, że w około 25 przypadkach nie wyklucza wciąż udziału obcego państwa. Wnioski CIA wywołały dużo kontrowersji. Członkowie senackiej komisji wywiadu, którym 19 stycznia 2022 roku przedstawiono wyniki raportu, wyrazili zdziwienie, ponieważ raport był sprzeczny z wcześniejszymi informacjami, którymi dzielono się z ustawodawcami. Susan Collins, republikańska senator z Maine, powiedziała, że jest „zaskoczona" wnioskami. „Trudno jest pogodzić ustalenia eksperckiej grupy zadaniowej przy CIA z innymi dowodami i zeznaniami" – powiedziała. „Raport CIA to dezinformacja" – stwierdził wtedy Mark Zaid. Adwokat, który reprezentował grupę osób ze zgłoszonymi objawami syndromu hawańskiego, powiedział, że agencja wydała taki raport, aby poradzić sobie z „buntem wśród swoich pracowników, ponieważ oficerowie nie chcą wyjeżdżać za granicę". Krytycy raportu CIA wskazywali, że na czele agencji stanął lewicowy dyplomata, współautor resetu z Rosją za czasów Baracka Obamy. W Senacie są też podejrzenia, że publikacja własnego raportu przez CIA na krótko przed raportem całej wspólnoty wywiadowczej USA miała na celu osłabienie wniosków tego drugiego dokumentu. Ten został opublikowany w marcu 2023 roku.

Ustalenia podały w wątpliwość podejrzenia, że Rosja lub inny kraj mógł prowadzić globalną kampanię nękania lub atakowania Amerykanów przy użyciu jakiejś formy ukierunkowanej energii. Większość badanych przypadków wydaje się mieć różne przyczyny, od czynników środowiskowych po niezdiagnozowane choroby, powiedzieli urzędnicy, którzy stwierdzili, że nie znaleźli jednego wyjaśnienia dla większości lub wszystkich przypadków. Nie znaleźli „żadnych wiarygodnych dowodów" na to, że którykolwiek z przeciwników zdobył broń, która mogłaby wywołać zgłaszane objawy lub urządzenie podsłuchowe, które mogłoby nieumyślnie zranić ludzi. Śledczy przeanalizowali około 1500 przypadków w 96 krajach. Urzędnicy twierdzą, że wiele z tych przypadków zostało powiązanych z innymi potencjalnymi wyjaśnieniami poza działaniem obcego państwa: chorobami, wadliwym działaniem systemów klimatyzacji i wentylacji lub falami elektromagnetycznymi pochodzącymi z łagodnych urządzeń, takich jak… mysz komputerowa. Niektórzy ludzie mogli zgłaszać objawy na podstawie tego, co słyszeli o innych przypadkach lub wyczerpujących doniesień medialnych na temat syndromu hawańskiego, stwierdzili urzędnicy podlegli dyrektor Wywiadu Narodowego (DNI), Avril Haines.

Mark Zaid, prawnik ponad 20 osób, które zgłosiły dolegliwości, powiedział, że nowej ocenie wywiadowczej brakuje przejrzystości i pozostawia ona kluczowe pytania bez odpowiedzi. „Dopóki klauzula tajemnicy nie zostanie zniesiona, a analiza, która doprowadziła do dzisiejszych twierdzeń, nie będzie dostępna i nie zostanie odpowiednio zakwestionowana, rzekome wnioski są merytorycznie bezwartościowe – napisał w oświadczeniu. „Ale szkody wyrządzone morale ofiar, w szczególności poprzez odwrócenie uwagi od niepowodzenia rządu w ocenie wszystkich dowodów, są prawdziwe i muszą zostać potępione". Ocena amerykańskiego wywiadu ucieszyła za to Kubę. Władze w Hawanie stwierdziły, że ustalenia odzwierciedlają to, co Kuba wielokrotnie powtarzała: że nie doszło do żadnych ataków, prezydent

eprasa.pl 0e52dac90d

Donald Trump wykorzystał całą sprawę do radykalnego zaostrzenia sankcji wobec Kuby.

Dziennikarze śledczy wskazują na Rosję

Niecały rok później rosyjski niezależny portal The Insider, wraz z niemieckim „Der Spiegel" i amerykańskim programem „60 Minutes" telewizji CBS, opublikowali 1 kwietnia wyniki trzyletniego dziennikarskiego śledztwa w sprawie tak zwanego syndromu hawańskiego. Zebrano dowody łączące konkretnych oficerów GRU i dokumenty z działaniami urządzeń wykorzystujących częstotliwość radiową/mikrofalową (RF/MW) oraz konkretne lokalizacje na całym świecie, w których personel USA zgłaszał objawy syndromu hawańskiego. Z ustaleń dziennikarzy wynika, że za tajemniczymi problemami zdrowotnymi Amerykanów mogli stać członkowie rosyjskiej jednostki wojskowej 29155, używający tajnej „broni akustycznej". Nie ma bezpośrednich dowodów na zaangażowanie GRU w ataki na dyplomatów. Jednak ci sami oficerowie rosyjskiego wywiadu bardzo często pojawiali się pod oficjalną przykrywką w tych samych miejscach, w których odnotowano przypadki syndromu hawańskiego i mniej więcej w tych samych terminach. A dwie z ofiar zidentyfikowały prawdopodobnych uczestników ataków.

Jeden przypadek, gdy ofiara ataku zdołała rozpoznać jednego z oficerów GRU, miał miejsce w Tbilisi w 2021 roku. Żona amerykańskiego dyplomaty „wyjrzała przez okno i nagle poczuła coś w rodzaju potężnej fali dźwiękowej, która przeszyła jej głowę z lewej strony okna, wypełniła ją wszechogarniającym hałasem i przyprawiła o straszny ból głowy". Kobieta powiedziała, że dźwięk wydawał się zanikać, gdy poszła do łazienki. Na ulicy w pobliżu swojego domu żona dyplomaty zauważyła podejrzany samochód, którego wcześniej nie widziała na tej ulicy, i zrobiła mu zdjęcie. Obok niego stał młody blondyn. Żona amerykańskiego ambasadora potwierdziła później, że to Albert Awerjanow, syn generała GRU Andrieja Awerjanowa, który dowodzi jednostką wojskową 29155. Śledczy ustalili, że Awerjanow junior, w tym czasie absolwent studiów magisterskich na Wydziale Procesów Globalnych Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, prawdopodobnie przebywał w Gruzji – wyłączył telefon w Taszkiencie 40 minut przed odlotem pierwszego lotu do Tbilisi, a włączył go dopiero dwa dni po incydencie w stolicy Gruzji – również w Taszkiencie.

Drugi przypadek rozpoznania oficera GRU w miejscu i czasie pojawienia się syndromu hawańskiego miał miejsce w Niemczech. Aleksandr Myszkin, oskarżony o otrucie Skripalów w 2018 roku, cztery lata wcześniej wziął udział w ataku na amerykańskich dyplomatów we Frankfurcie. On i jego towarzysz sprawdzili teren, zanim inna grupa przybyła, by przeprowadzić atak. Dzień po tym, jak ostatni członek tej grupy opuścił Niemcy, pracownicy konsulatu USA zaczęli się skarżyć na problemy zdrowotne. Jeden z nich poczuł się źle w budynku konsulatu – silny ucisk w klatce piersiowej, następnie w szyi i głowie, zawroty głowy, poty, mdłości, szaleńcze bicie serca, słuch jakby się wyłączył, a w głowie słyszał tylko głośny i wysoki dźwięk. W ciągu kilku sekund stracił przytomność. Później ten dyplomata rozpoznał mężczyznę, który wcześniej chodził po kompleksie mieszkalnym przeznaczonym dla pracowników konsulatu i fotografował okolicę. Po pytaniu dyplomaty uciekł. Ustalono, że to oficer GRU Jegor Gordienko (vel Georgij Gorszkow).

Nie ma bezpośrednich dowodów na zaangażowanie GRU w ataki na dyplomatów. Jednak ci sami oficerowie rosyjskiego wywiadu bardzo często pojawiali się pod oficjalną przykrywką w tych samych miejscach, w których odnotowano przypadki syndromu hawańskiego i mniej więcej w tych samych dniach. Dzięki przeciekom z działu księgowości GRU dziennikarzom udało się ustalić, że Iwan Terentiew, zastępca dowódcy jednostki 29155, otrzymał w 2019 roku zlecenie zbadania „potencjalnych możliwości nieśmiercionośnej broni akustycznej podczas operacji bojowych w mieście".

Nowe czasy, broń nowej generacji

Nie ma wątpliwości, że kierowana energia może służyć jako broń. Wystarczy wspomnieć o kierunkowych zagłuszaczach sygnałów radiowych, które wysyłając fale radiowe o odpowiedniej częstotliwości, odcinają maszynę od sygnału operatora oraz GPS. Są też emitery impulsów elektromagnetycznych mogące zdalnie zneutralizować elektronikę sprzętu będącego celem ataku. W czasach zimnej wojny Sowieci wykorzystując tego typu technologie zagłuszali zachodnie audycje radiowe. Do dziś technologia ta jest wykorzystywana chociażby przez służby w Iranie. Wyspecjalizowane jednostki mogą też zakłócać GPS czy połączenia GSM/LTE podczas ulicznych protestów (tak było choćby na Białorusi). Wiktor Sędkowski (Warsaw Institute) wymienia urządzenia, które emitują tak głośne dźwięki, że wywołują ból (używane do rozpraszania tłumu), jak też ADS: „Działanie tego typu broni polega na emisji wiązki mikrofal o częstotliwości 94 GHz (długości fali 3 mm). Fale o takich parametrach przenikają przez ubranie i powodują szybkie rozgrzanie powierzchni skóry, z tego powodu osoba poddana działaniu odczuwa parzenie na całej powierzchni ciała. Energia fali o długości 3 mm, jest w znacznej części absorbowana przez skórę, więc wewnętrzne organy nie są bezpośrednio narażone na działanie ADS. Nie trudno jednak wyobrazić sobie modyfikację tego typu urządzenia. Zmiana amplitudy sygnału oraz długości fali nie są skomplikowanym technologicznie procesem.

eprasa.pl 0e52dac90d

Skutek natomiast może być katastrofalny dla zdrowia ofiary poddanej działaniu tego typu broni".

Badania nad skutkami pulsacyjnej energii o częstotliwości radiowej były prowadzone przez Związek Sowiecki już ponad 50 lat temu. Pulsacyjna broń mikrofalowa wykorzystująca promieniowanie elektromagnetyczne może być bardzo skutecznym narzędziem prowadzenia wojny hybrydowej, bardzo trudnym do zidentyfikowania, a tym bardziej udowodnienia. Podczas zimnej wojny wiązki mikrofal Sowieci wykorzystywali przeciwko Ambasadzie USA w Moskwie co najmniej w latach 1953–1976. To, co dzieje się w ostatnich latach, to najpewniej urządzenia wykorzystujące impulsy nanosekundowe. Impulsy te są wyjątkowo trudne do wykrycia. Ale już wcześniej raporty amerykańskiego SIGINT sugerowały, że rosyjski wywiad dysponuje takimi urządzeniami. Zresztą Moskwa sama tego nie ukrywała. W 2012 roku rządowy organ prasowy „Rossijskaja Gazeta" odnotował w artykule pt. „W rosyjskiej armii pojawi się broń psychofizyczna", że służby wywiadowcze Rosji posiadały zdolności, które „wpływają na stan psychofizyczny jednostki za pomocą ich pól i promieni" i chwaliły się, że „w wielu dziedzinach jeszcze niedawno nasi specjaliści znacznie wyprzedzali Amerykanów". Siedem lat później o takiej broni mówił raport rosyjskiej armii: „znacznie się zmniejszyła i może być zainstalowana na wieży czołgu, a nawet na głowicy pocisku taktycznego [...] [Cel] zaczyna słyszeć nieistniejące odgłosy i gwizdy [...] Pod wpływem promieniowania elektromagnetycznego o niskiej częstotliwości ludzki mózg uwalnia substancje chemiczne, które regulują jego zachowanie. Urządzenia mogą powodować objawy różnych chorób".

▶ Ekipa Bidena idzie w zaparte

Dokładnie tydzień przed publikacją wyników dziennikarskiego śledztwa wskazujących na Rosję, amerykańscy naukowcy ogłosili, że szereg zaawansowanych testów nie wykazał żadnych urazów ani zwyrodnień mózgu wśród amerykańskich dyplomatów i innych pracowników rządowych, którzy cierpią na tajemnicze problemy zdrowotne nazwane syndromem hawańskim. Blisko pięcioletnie badanie przeprowadzone przez National Institutes of Health (NIH) nie wyjaśnia objawów, takich jak bóle głowy, problemy z równowagą oraz trudności z myśleniem i snem, które zostały po raz pierwszy zgłoszone na Kubie w 2016 roku, a następnie przez setki amerykańskich pracowników w wielu krajach.

Zaprzecza jednak niektórym wcześniejszym twierdzeniom, że doszło u osób cierpiących do urazów mózgu. „Osoby te mają prawdziwe objawy i przechodzą przez bardzo trudny okres. Mogą one być dość głębokie, upośledzające i trudne do leczenia" – powiedział dr Leighton Chan, szef medycyny rehabilitacyjnej NIH, który pomógł w prowadzeniu badań. Jednak zaawansowane skany MRI nie wykryły znaczących różnic w objętości mózgu, strukturze lub istocie białej – oznakach urazu lub zwyrodnienia – gdy pacjenci z syndromem hawańskim zostali porównani ze zdrowymi pracownikami rządowymi o podobnej pracy, w tym niektórymi w tej samej ambasadzie. Nie było też znaczących różnic w testach poznawczych i innych, zgodnie z wynikami opublikowanymi w „Journal of the American Medical Association". Badanie NIH, które rozpoczęło się w 2018 roku i objęło ponad 80 pacjentów z syndromem, nie miało na celu zbadania prawdopodobieństwa wystąpienia jakiejś broni lub innego czynnika wywołującego objawy zespołu. Chan powiedział, że wyniki nie są sprzeczne z wnioskami agencji wywiadowczych. Jeśli za objawami stało jakieś „zjawisko zewnętrzne", to „nie spowodowało ono trwałych lub wykrywalnych zmian patofizjologicznych" – powiedział.

Tymczasem CIA nie zamierza zmieniać swego stanowiska. To wniosek, jaki można wyciągnąć z krótkiej wewnętrznej notatki, jaką dyrektor William Burns wysłał do swoich pracowników po ujawnieniu wyników dziennikarskiego śledztwa obciążającego Rosję. W notatce tej Burns potwierdził poparcie agencji dla jej wcześniejszej oceny syndromu hawańskiego lub tego, co społeczność wywiadowcza nazywa „anomalnymi incydentami zdrowotnymi" (AHI). Czyli że jest bardzo mało prawdopodobne, aby syndrom był wynikiem działania obcego aktora. Notatka Burnsa nie zawierała odpowiedzi na ustalenia dziennikarskie, nie tylko The Insider, lecz także wcześniejsze „Washington Examiner", które pokazują, że dowody na rosyjskie źródło syndromu hawańskiego są bardzo mocne.

To prawda, że społeczność wywiadowcza nie posiada dowodów w postaci przechwyconego rosyjskiego urządzenia RF/MW. Tyle że wynika to z niechęci obecnych szefów służb i administracji Bidena do autoryzowania wystarczająco agresywnych akcji wobec rosyjskich agentów, którzy, jak sugerują dane wywiadowcze, mogą być w posiadaniu takich urządzeń. Wiadomo, że zidentyfikowani oficerowie wywiadu Rosji działali w bliskim toczeniu Amerykanów, którzy następnie zgłaszali objawy związane z AHI. Wiadomo, że Rosja posiada urządzenia do wysyłania impulsów o częstotliwości radiowej/mikrofalowej (RF/MW), które wywołują dokładnie te same efekty, o których informują ofiary syndromu hawańskiego. Wiadomo, że CIA została poinformowana o tych systemach przez czołowych ekspertów, że kadry operacyjne agencji wierzą w rosyjski trop, że tak samo uważają niektórzy z najbliższych zagranicznych partnerów wywiadowczych Ameryki. Jednak kierownictwo CIA pod wodzą Burnsa celowo ignoruje linie dowodowe, które mogą wskazywać na Rosję. Tymczasem z rozmów z pracownikami Departamentu Stanu i CIA jasno wynika, że strategia Rosjan przyniosła efekt: wielu Amerykanów nie chce pracować na kierunku rosyjskim, zdając sobie sprawę, że mogą mieć poważny uszczerbek na zdrowiu. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

niezależna.pl

#BądźNaBieżąco

#eprasa.pl 0e52dac90d

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Fatima. O tym, co było na początku

O Fatimie napisano już wiele. Także o samych pastuszkach. I dobrze. Bo ich życie i świadectwo warte są poznawania. I naśladowania. Gdy jednak poznamy już dobrze fatimskie orędzie oraz szczegóły biografii Łucji, Franciszka oraz Hiacynty, warto wejść nieco głębiej. Aby poszukać tego, co było, zanim wszystko się zaczęło. Aby odwiedzić miejsca, których na standardowym pątniczym szlaku raczej nie znajdziemy. Po co to wszystko? Ano właśnie po to, by w tych nieoczywistych z pozoru miejscach znaleźć coś zupełnie niespodziewanego. Coś dla siebie.

Pokój w rodzinnej kamiennej chacie rodziny Marto w Aljustrel. Właśnie tutaj przeżywszy, 11 lat umarł św. Franciszek.

Panie są około czterdziestki. Obie ubrane są w kolorowe puchowe kurtki. Uwijają się nad jednym z nagrobków niewielkiego cmentarza. Ułożony w kształt prostokąta teren ma 150 metrów długości i zaledwie 50 metrów szerokości. Nagrobki siłą rzeczy są tu zatem bardzo blisko siebie. Między niektórymi płytami nie da się nawet zmieścić stopy.

– Dzień dobry – zagaduję, nie widząc nikogo innego, kogo mógłbym spytać o drogę. – Szukam miejsca, w którym przed laty spoczywali pastuszkowie.

– Dziś ich ciała leżą już w samej Fatimie. Tam w starej bazylice. – Prostuje się jedna z kobiet, która właśnie ściereczką polerowała płytę nagrobną.

– Tak, tak… To wiem. Interesuje mnie jednak ich poprzednia lokalizacja.

– A, już wiem, o co ci chodzi. – Uśmiecha się w odpowiedzi kobieta. Po chwili wskazuje palcem zespół grobów znajdujących się przy samym murze odgradzającym teren cmentarza od ulicy Rua do Adro. – To tam. Tam znajdziesz to miejsce.

Na białej płycie widać ustawione dwie wysokie na około 40 centymetrów figurki. Po lewej drobna dziewczynka w jasnoseledynowej sukience. Z różową chustką na głowie zakrywającą jej całe plecy. Ręce trzyma na piersi. Między palcami wisi różaniec. Obok niej chłopiec. W niebieskiej kamizelce z czarnymi guzikami. Brązowe spodnie, czarny portugalski beret na głowie sięgający ramion. I różowa torba przewieszona przez lewe ramię. To słynni fatimscy pastuszkowie. Święci Kościoła. Hiacynta i Franciszek Marto. Dzieci, które widziały Maryję.

Figurki stoją na płycie nagrobnej ich mamy: pani Olimpii de Jesus. Prócz niej są tu jeszcze pochowane: synowa pani Olimpii, Emilia, jeden z braci pastuszków João oraz jego córka, a zatem siostrzenica pastuszków: zmarła w 2015 roku pani Jacinta Pereira Marto. Zarówno João, jak i jego córka urodzili się w tym samym domu co Franciszek i Hiacynta. To właśnie João był z trójką pastuszków w sierpniowe popołudnie 19 dnia miesiąca 1917 roku, gdy Łucja, Franciszek i Hiacynta zobaczyli po raz czwarty Matkę Bożą. Tym razem wyjątkowo nie w Cova da Iria – tam, gdzie zwykle objawiała się Maryja dzieciom – ale znacznie bliżej ich rodzinnego domu: w leśnym przysiółku Valinhos. Dzisiaj zarów-

eprasa.pl 0e52dac90d

Miejsce pamiętnej fotografii trojga pastuszków. Świadkowie podawali, że dzieci nie lubiły zdjęć.

no João, jak i jego mama oraz córka spoczywają w jednym grobie. Właśnie tutaj, w tzw. starej Fatimie.

Na prawo od grobu jest kolejna płyta. Na niej zdjęcie ojca Franciszka i Hiacynty, pana Manuela Pedro Marto. Razem z nim leży tu kolejny z braci świętych pastuszków: Jose wraz z żoną Julią. Miejsce pierwszego spoczynku Franciszka i Hiacynty było tuż obok. Tuż przy grobach, w których dziś leżą ciała ich kochających rodziców. Mimo że szczątki dzieci zostały już ekshumowane i przeniesione do fatimskiej bazyliki, nadal leży tu tablica pamiątkowa. Żeby choćby taki przechodzień jak ja już wiedział.

Tylko się nie płosz

Wędrując po współczesnej Fatimie – która wygląda dziś zupełnie inaczej niż przed 107 laty, gdy dzieci widziały Maryję na tutejszym dębie skalnym – dobrze jest zajść także tutaj. Dokładnie 2,5 kilometra na południowy-wschód od fatimskiego placu. Tutaj, gdzie naprzeciwko cmentarzyka, na którym święci pastuszkowie zostali pochowani po raz pierwszy, znajduje się parafialny kościół Fatimy. Wzniesiony z białej cegły, z malowniczą czerwoną dachówką i pojedynczą dzwonnicą nad wejściem. Kościół choć otwarty przez cały dzień, jest zazwyczaj pusty. Tutaj w odróżnieniu od sławnej Fatimy nie przybywają tłumy pielgrzymów. Pociągam na klamkę skromnych drewnianych drzwi i wchodzę do środka.

Tak jak się spodziewałem, w kościele nie ma żywego ducha. Po lewej stronie za szklaną osłoną stoi zabytkowa chrzcielnica. To właśnie tutaj zostali ochrzczeni Łucja, Franciszek i Hiacynta, fatimscy wizjonerzy. Podchodzę bliżej ołtarza. Na głównej ścianie wisi współczesny obraz. W centralnej części przedstawia Jezusa, wokół którego zgromadzeni są klęczący pastuszkowie, ojciec święty oraz aniołowie. Jeden z nich trzyma kielich. Na końcu prawej nawy znajduje się wejście do zakrystii. Słychać jakieś szuranie. Czyli jednak ktoś tu jest!

Po paru chwilach zza wejścia wychylają się sympatyczne twarze dwóch starszych portugalskich kobiet.

– Skąd jesteś? – pyta jedna z nich.

– Da Polônia – odpowiadam łamiącym się portugalskim. – Przyjechałem z Polski.

eprasa.pl 0e52dac90d

Stara część Fatimy oraz Aljustrel nadal pozostają jakby na uboczu hałaśliwego szlaku pielgrzymkowego.

– A, Polônia… Tylko się nie płosz, możesz spokojnie tutaj siedzieć. Jesteśmy tu dla grup, które raz na jakiś czas zaglądają do naszego kościoła – uśmiecha się ubrana w brązowy sweterek pani.

Po chwili ponownie zostaję w kościele sam. Tuż przy wejściu do zakrystii na ścianie na wysokości jakichś 4 metrów wisi figura Matki Bożej. Opatulona w niebieski płaszcz Maryja trzyma na lewym ramieniu małego Jezusa. Właśnie w to miejsce przybiegła po swojej pierwszej spowiedzi sześcioletnia Łucja. Dziewczynka, której Maryja objawić miała za kilka lat największe z fatimskich tajemnic. Do której po radę mieli udawać się papieże i biskupi. Dziewczynka przybiegnie i uklęknie przed figurką. I wtedy wydarzy się coś niezwykłego. O czym przeczytamy dziś w mało którym przewodniku o Fatimie.

Początek

Wszystko dzieje się w 1913 roku. Wychowywana przez pobożnych rodziców Łucja bardzo pragnie przystąpić do swojej pierwszej Komunii Świętej. Wyświęcony zaledwie pięć lat wcześniej ks. Manuel Marques Ferreira, proboszcz Fatimy, doskonale zna treść opublikowanego w drugim roku jego kapłaństwa dekretu Kongregacji ds. Dyscypliny Sakramentów zezwalającego na przystępowanie do pierwszej Komunii Świętej dzieciom już od lat siedmiu. Na ówczesne czasy jest to spore *novum*. Łucję religii uczy póki co jej własna matka, wiejska katechetka. Robi to na tyle dobrze, że Łucja pod względem dojrzałości oraz wiedzy wydaje się być gotową do tego, aby przystąpić do Ko-

eprasa.pl 0e52dac90d

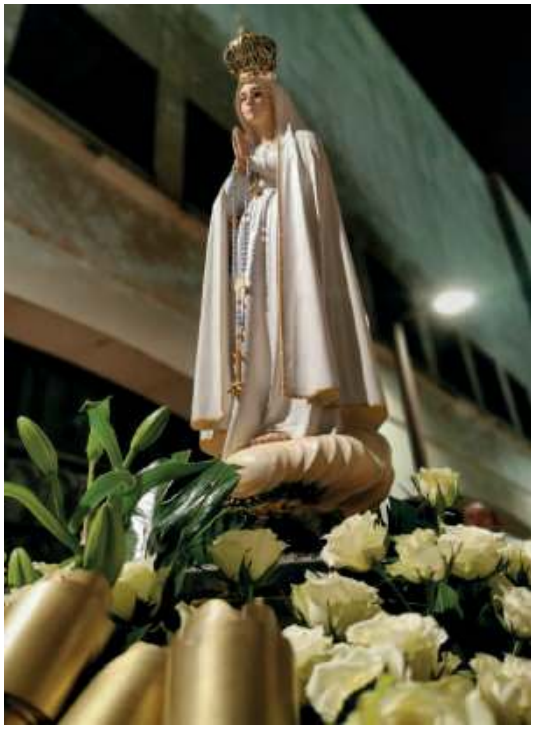

Ważący ponad 200 kg cokół z figurą Matki Bożej oraz licznymi przyozdobieniami i kwiatami jest wynoszony zza kaplicy Objawień i niesiony w uroczystej Procesji Światła dokoła placu Fatimskiego.

munii. Problemem pozostaje jednak jej wiek. Sześć lat to dla proboszcza jeszcze za mało. Ksiądz Manuel nie daje więc zezwolenia.

Wtedy Łucja zaczyna płakać. Kładzie głowę na kolanach kapłana i głośno szlocha. Tak bardzo pragnie przyjąć eucharystycznego Jezusa, o którym tyle słyszała od mamy. I nagle na scenę całej tej historii wkracza trzecia postać: ojciec Francisco Rodriguez da Cruz. Znany w Portugalii rekolekcjonista przed paroma chwilami przyjechał do Fatimy, aby przewodniczyć tutejszemu Triduum Paschalnemu. Widzi całą sytuację: płaczącą Łucję i stanowczego w swojej decyzji księdza Manuela. Po krótkim rozeznaniu namawia proboszcza, aby ten jednak złagodził swój pogląd i dopuścił sześciolatkę do sakramentu. Sam zresztą wysłucha wkrótce pierwszej spowiedzi Łucji.

Jako pokutę ojciec Cruz poprosi dziewczynkę, aby ta czym prędzej udała się pod znajdującą się w kościele figurę Matki Bożej. I właśnie tutaj zadzieje się za moment wspomniane wyżej niezwykłe wydarzenie. Łucja prosi Maryję wedle słów ojca Cruza, aby Ta wzięła pod panowanie jej serce, aby przygotowała je na godne przyjęcie Jej Boskiego Syna i by zachowała je tylko dla Niego. Gdy dziewczynka wypowiada te słowa, widzi, jak Maryja zaczyna się uśmiechać. Odnosi wrażenie, że Matka Boża przytakuje. To pierwsze widzenie Maryi, jakiego dostępuje sześciolatka. Rodzi się niezwykła relacja, która, jak się wkrótce okaże, będzie trwała już do końca życia Łucji.

▶ Zdany egzamin

Miną dwa lata, jak Łucja dostąpi kolejnej łaski. Podczas wypasania owiec razem z trzema koleżankami – Teresą Matias, Marią Rosą Matias oraz Marią Justino – zobaczy na wzgórzu nad lasem niezwykłą postać. Jak opisze to potem w swoich notatkach, już jako dorosła kobieta: „było to coś jakby obłok, bielsze od śniegu, niemal przezroczyste, w kształcie ludzkiej postaci, która przypominała rzeźbę ze śnie-

eprasa.pl 0e52dac90d

Pamiątkowa tablica na budynku Rady Parafialnej tzw. Starej Fatimy.

gu, a przez nią przedzierały się promienie słoneczne, czyniąc ją nieco przezroczystą".

O niezwykłym – wydarzającym się dwukrotnie – zdarzeniu dziewczynki czym prędzej pobiegną opowiedzieć reszcie mieszkańców wioski. Jedynie Łucja pozostanie wstrzemięźliwa, nie dzieląc się z nikim relacjami z tajemniczego zjawiska. Zachowa je dla siebie. Zdając w ten sposób niebiański egzamin, o którego istnieniu wówczas zapewne nawet nie wie. Z kolei Teresa oraz dwie Marie więcej już Anioła nie zobaczą. One tego egzaminu tym razem nie zdadzą. Opatrzność zacznie bowiem szukać w ich miejsce kogoś innego. I rzeczywiście wkrótce znajduje. Wybór Nieba pada na młodszych krewnych Łucji: Franciszka oraz Hiacyntę. To właśnie oni za rok wspólnie z Łucją zobaczą Anioła Pokoju. Który tym razem już przemówi.

Loca do Cabeço

Śpiew ptaków staje się jakby głośniejszy. W trawie słuchać koncert świerszczy. Są też rzecz jasna cykady. Świat jakby budził się do życia. Wiosenny dzień w pełni. Portugalskie lato tuż-tuż. Mijam kolejne oliwkowe drzewka. Raz na jakiś czas w tutejszym gaju pojawia się dorodne drzewo korkowca. Czasem jakiś dąb. Bujna zielona trawa sięga łydek. Zewsząd otaczają mnie w tej chwili charakterystyczne dla tego regionu Portugalii murki rozgradzające kolejne działki pastewno-rolne. To właśnie podczas zabawy w budowanie podobnego murku dzieci po raz pierwszy zobaczyły Maryję. Wszystko jednak dopiero w maju 1917 roku. Póki co czekać miała je jeszcze jedna lekcja. Pierwszy jej zwiastun odbył się właśnie tutaj. W tym leśnym gaju.

To przysiółek Loca do Cabeço. Można tu trafić, gdy idzie się sławną w Fatimie węgierską drogą krzyżową. Trasa wiedzie m.in. przez miejsce sierpniowych objawień Maryjnych w Valinhos. Jeśli jednak chcemy dojść do Loca do Cabeço, trzeba odbić z trasy na Kalwarię na południe. Już po kilku minutach spokojnego spaceru dojedziemy na miejsce. Porośnięty bujnym lasem oliwkowym stok przybiera w tym miejscu wygląd jeszcze bardziej dostojny. Naraz pojawia się więcej drzew niż dotychczas. Uginające się pod ciężarem swych konarów drzewa korkowe torują pielgrzymom przejście. Cykady wzmagają swój muzyczny popis. Akompaniament muzyki lasu wchodzi na wyższy poziom. Zdawać się może, że cała natura służy temu miejscu.

Nagle zza zielonych zarośli widać jego. Wpierw białą głowę z rozwianym włosem. Następnie całą sylwetkę. Dopiero na końcu, gdy już będziemy bardzo blisko i obejdziemy pomnik z drugiej strony, zobaczymy trójkę dzieci klęczących przed postacią. To wspomniany Anioł Pokoju. Według relacji samych pastuszków objawił się w tym miejscu dwa razy. Dyktując im słowa modlitwy, upominając dzieci do jeszcze większego wysiłku duchowego, a także – przy trzecim ostatnim objawieniu – udzielając Komunii Świętej. Stąd pomnik Anioła przedstawiający niebiańską postać z kielichem i Hostią w dłoni.

Rajski ogród

W tym miejscu kończy się trasa pielgrzymkowa. Wybrukowany chodnik podprowadza ludzi pod sam pomnik, a następnie na niewielkim placu zawraca. Dalej nikt już nie idzie. Niektórzy ludzie zatrzymują się tu na dłużej. Przysiadając na pobliskich murkach, wpatrując się w postać Anioła ukrytego w zaroślach. To miejsce spotkania. Miejsce modlitwy. I niezwykle subtelnej ciszy.

Rozglądam się więc uważnie. Szukam wyobraźnią miejsca, które mogłoby być tym, w którym ośmioletnia Łucja wraz z trójką koleżanek po raz pierwszy zobaczyła Anioła. Wiemy, że działo się to na wzgórzu. Oraz że niebiańska postać widoczna była nad lasem. Zarówno jedno, jak i drugie tutaj się zgadzają. Mamy wzgórze. Jest też las. Korzystając z faktu, że przy pomniku nie ma akurat nikogo, przechodzę przez murek i wchodzę dalej w las.

eprasa.pl 0e52dac90d

Najmłodsza z trojga pastuszków św. Hiacynta zapraszająca do parafialnego kościoła w tzw. Starej Fatimie. Tutaj dzieci przyjęły chrzest, zaś Łucja Pierwszą Komunię.

W zagajniku nie ma ścieżek. Przez zagajnik prowadzi coś w rodzaju kamienistego traktu. To nie jest jednak ścieżka. Raczej luźno porozrzucane głazy torujące przejście. Tam, gdzie leżą, nie ma akurat drzewek, więc łatwiej o przejście. Po kilku chwilach wychodzę na przepiękną łąkę. Wkoło najróżniejsze kwiaty, porastają żyzną trawę. Wyglądają zza kamieni. Ozdabiają głazy. Przystrajają kamienne murki. Łąkę okalają dodatkowo karłowate drzewa oliwkowe, przyprószone na korze zielonym mchem. Przysiadam na jednym z kamieni spoglądając w niebo. Jest dziś pozbawione chmur. Według opisu Łucji, całkiem podobnie mogło wyglądać niebo pamiętnej niedzieli 13 maja 1917 roku, gdy dzieci bawiły się pilnując owiec pasących się na wzgórzach doliny Cova da Iria. Wtedy niebo także było bezchmurne i błękitne. Też było ciepło i słonecznie jak teraz. Z jedną drobną różnicą. Dzieci naraz usłyszały jakby grzmot. Nie zdziwiło ich to jednak, gdyż nagle przychodzące burze są dla tego śródgórskiego regionu czymś zwyczajnym. Przestraszone zapowiadającym się deszczem ruszyły więc w kierunku rodzinnego Aljustrel. Wtedy mijając pobliski młody dąb skalny, mierzący około metra wysokości, zobaczyły Ją. Piękną Panią, która przedstawiła im się, że pochodzi z Nieba…

Pewność mimo braku dowodu

Aż nie chce się wstawać. Kamień, choć kanciasty i twardy, jawi się w tym rajskim ogrodzie niczym najwygodniejszy fotel świata. Baśniowy odcień otaczającej mnie zieleni kojarzy mi się z ilustracjami do dziecięcych bajek z dzieciństwa. W takich lasach grasował wilk czyhający na Czerwonego Kapturka. W podobnym lesie zgubili się Jaś i Małgosia. Na takich mchach przesiadywał w swoim nibylandyjskim lesie Piotruś Pan. Skojarzeń jest mnóstwo. To miejsce zdecydowanie nie pachnie rzeczywistością. Jest tu raczej coś z fantazji.

Przeskakując przez kamienny płot w Loca do Cabeço, stajemy się współuczestnikami niezwykłej przygody. Nie mam oczywiście żadnego dowodu na to, że Łucja i jej koleżanki widziały Anioła właśnie tutaj. Nie ma też żadnego podania, które mogłoby uwiarygodnić tezę, że miejsce tamtych wizji mogło być podobne do tego tutaj. Łucja go nie opisuje zbyt dokładnie. Jakkolwiek mocno ufam, że gdy teraz siedzę na tym wapiennym głazie pokrytym mchem i gdy zewsząd atakuje mnie woń kwiecistej łąki połączona z muzyką fatimskiego lasu, nie jestem tutaj sam. I ta pewność w zupełności mi wystarcza. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Południowa

Wybory parlamentarne w Korei Płd., które odbyły się 9 kwietnia, wygrała liberalno-lewicowa opozycja, co utrudni sytuację konserwatywnego prezydenta kraju Yoona Suk-yeola. Jest on pierwszym prezydentem od demokratyzacji kraju w 1987 roku, który przez całą pięcioletnią kadencję będzie musiał pracować z kontrolowanym przez opozycję parlamentem.

W 300-osobowym Zgromadzeniu Narodowym blok opozycyjny złożony z Partii Demokratycznej (DP) i jej sojuszników zdobył 192 mandaty. Nie wystarczy to jednak do obalenia weta prezydenta. W takim przypadku wymagane jest 200 mandatów. Ugrupowanie Yoona, Partia Władzy Ludowej (PPP), i związana z nią Partia Przyszłości Ludu (PFP) zdobyły 108 miejsc.

Frekwencja była największa od 32 lat i wyniosła 67 proc. Do urn poszło 29,6 mln Koreańczyków spośród 44,2 mln uprawnionych do głosowania.

Po ogłoszeniu wyników prezydent Yoon powiedział, że należy z „pokorą zaakceptować nastroje społeczne wyrażone podczas wyborów powszechnych", i obiecał bardziej wsłuchiwać się w głos opinii publicznej oraz wykazywać się „bardziej pokorną i elastyczną postawą". Dodał także, że będzie starał się przyspieszyć reformy strukturalne w zakresie systemu: edukacji, emerytalnego i opieki zdrowotnej, i przy tym ściślej współpracować z parlamentem. Przed wyborami Yoon był krytykowany za to, że nie szukał kompromisu w sprawie kluczowych spraw.

Yoon powiedział, że Korea Płd. musi być odpowiednio przygotowana na wszelkie zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego i możliwe prowokacje ze strony Korei Północnej, zwłaszcza w przypadku nasilenia się napięcia na Bliskim Wschodzie.

Amerykański think tank CSIS przewiduje, że mimo zwycięstwa opozycji w parlamencie nie nastąpi duża zmiana w polityce rządu, na czele którego stoi prezydent. Yoon zrealizował swoje zobowiązanie z kampanii prezydenckiej – wzmocnił sojusz ze Stanami Zjednoczonymi i zajął zdecydowane stanowisko w sprawie prowokacji ze strony Korei Płn. Pokazał także, że Korea Płd. i USA mogą ściśle współpracować w regionie Indo-Pacyfiku. Poprawił też dość napięte stosunki Korei Płd. z Japonią.

Yoon jest też zwolennikiem ścisłej współpracy z Polską i tuż przed wyborami parlamentarnymi zabiegał, aby Zgromadzenie Narodowe uchwaliło zmianę w prawie pozwalającą na to, by południowokoreański bank Eximbank finansował zakup broni przez Polskę. Ta nowelizacja przeszła pod koniec lutego br.

Yoon i opozycja różnią się w kwestii stosunku do Korei Płn., Rosji i Chin. Podczas niedawnej kampanii wyborczej przywódca Partii Demokratycznej Lee Jae-myung opowiadał się za neutralnością w kwestiach dotyczących Cieśniny Tajwańskiej i Ukrainy. Stanowisko to ostro kontrastuje z podejściem Yoona, który chce wzmocnienia pozycji Korei Płd. na arenie międzynarodowej, m.in. poprzez zwiększone wsparcie dla Ukrainy. Partia Demokratyczna postuluje tzw. słoneczną politykę względem Korei Płn. polegającą na poprawie stosunków dwustronnych i wciąganiu Pjongjangu do współpracy polityczno-gospodarczej.

Chiny

W kwietniu minęło 10 lat, odkąd Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego Chin rozpoczęło kampanię o zasięgu międzynarodowym: tzw. Operację „Polowania na lisy" (Operation Fox Hunt / OFH),

eprasa.pl 0e52dac90d

której oficjalnym celem była walka z korupcją. Zakłada ona działania różnych podmiotów partyjnych i państwowych w celu ścigania rzekomych zbiegów w najodleglejszych zakątkach globu i sprowadzania ich z powrotem do Chin przed wymiar sprawiedliwości, który nie jest niezależny, bo jest podporządkowany Komunistycznej Partii Chin (KPCh) i systematycznie narusza prawa człowieka. Według Safeguard Defenders, międzynarodowej organizacji z siedzibą w Madrycie, udokumentowanych jest prawie 350 przypadków zmuszenia do powrotu do Chin z użyciem pozasądowych metod, takich jak perswazja, zwabienie i zastawianie pułapek, z co najmniej 56 krajów i dwóch miast (Hongkongu i Makao), ale z pewnością jest to tylko część działań chińskiej bezpieki poza terytorium Chin. Pekin podaje dużo większą liczbę, bo mówi aż o 12 tys. „zbiegów", którzy zostali zmuszeni do powrotu do ChRL. USA mówi o około 9 tysiącach.

Federalne Biuro Śledcze Stanów Zjednoczonych (FBI) wielokrotnie wyrażało poważne obawy dotyczące OFH, która, choć została stworzona, aby walczyć z korupcją, to w rzeczywistości często za cel ma schwytanie byłych obywateli Chin mieszkających za granicą, których KPCh postrzega jako zagrożenie polityczne lub finansowe.

Pojedyncze operacje zagraniczne chińskiej bezpieki mogą być prowadzone przez agentów wysłanych z Chin przy wsparciu podmiotów za granicą. Do tych drugich zaliczają się personel ambasad i konsulatów ChRL, a także funkcjonariusze łącznikowi policji stacjonujący w ambasadach. Jednak operacje chińskiej bezpieki nie opierają się wyłącznie na pracy podmiotów oficjalnych. Do wykonywania brudnej roboty za granicą Chińczycy zatrudniają także pośredników, co minimalizuje ryzyko, gdy lokalne władze wykryją działalność i rozpoczną dochodzenie. Do akcji włączane są także lokalne społeczności chińskie.

W ubiegłym roku sąd federalny w Brooklynie w stanie Nowy Jork skazał Michaela McMahona, byłego sierżanta policji miasta Nowy Jork, oraz Zhenga Congyinga i Jasona Zhu, dwóch obywateli Chin mieszkających w Stanach Zjednoczonych, w procesie związanym z Operation Fox Hunt. Według Departamentu Sprawiedliwości, te trzy osoby naruszyły amerykańskie prawo, wywierając presję m.in. poprzez zastraszanie i śledzenie rezydujących od 2010 roku w USA Xu Jina i jego żony. Chciano zmusić ich do powrotu do Chin. Jin jest byłym pracownikiem chińskiego rządu i KPCh oskarżyła go o kradzież 30 mln USD. Amerykańscy prokuratorzy stwierdzili, że Zheng Congying i Jason Zhu działali świadomie, pod dyktando urzędników rządowych ChRL.

W krajach takich jak Wietnam, Tajlandia czy Australia były przypadki porwań przez agentów ChRL obywateli chińskiego pochodzenia niewygodnych dla KPCh.

Prowadzoną już od 10 lat przez Chiny Operację „Polowanie na lisy" amerykańska organizacja Freedom House nazwała „najbardziej wyrafinowaną, globalną i kompleksową kampanią ponadnarodowych represji na świecie".

▶ Mjanma (Birma)

12 kwietnia w stanie Kaczin w Mjanmie podczas odprawiania Mszy św. w kościele postrzelony został ksiądz katolicki. Do napaści doszło w momencie narastającego konfliktu między juntą wojskową a siłami oporu w regionie. 40-letni ks. Paul Khwi Shane Aung został natychmiast przewieziony do szpitala. Sprawcy ataku nie zostali schwytani.

W lutym organizacja Międzynarodowa Solidarność Chrześcijańska (Christian Solidarity International – CSI) ostrzegła przed wzrostem przemocy wobec prześladowanej mniejszości chrześcijańskiej w Birmie. W marcu br. w stanie Kaczin zamordowany został 47-letni pastor Nammye Hkun Jaw Li.

Według Open Doors, chrześcijańskiej organizacji non-profit wspierającej i monitorującej prześladowanych chrześcijan, siły rządowe Birmy atakują kościoły należące do historycznych wspólnot w stanach zamieszkanych przez chrześcijan, takich jak Kaczin. „Ogromna liczba chrześcijan została zmuszona do życia w obozach dla uchodźców wewnętrznych, schronienia się w kościołach, a nawet ucieczki do dżungli, gdzie często są pozbawieni dostępu do żywności i opieki medycznej. Szacuje się, że od początku wojny domowej [od 2021 roku – przyp. H.S.] 1,5 mln obywateli Mjanmy zostało przesiedleńcami wewnętrznymi".

Chrześcijan spotykają prześladowania także ze strony społeczności buddyjskiej i muzułmańskiej. To one na różne sposoby utrudniają życie chrześcijańskim rodzinom, na przykład zabraniając im korzystania ze wspólnotowych zasobów wody. Kobiety w przeważająco chrześcijańskim stanie Kaczin są sprzedawane do Chin jako „panny młode", aby mogły wydać na świat męskich spadkobierców. Konwertytki są też narażone na areszt domowy, wymuszane małżeństwa, wypędzenie z domu rodzinnego, wygnanie z rodzinnej wioski lub miasta czy rozwód. Chrześcijanom grozi utrata pracy oraz praca niewolnicza. Praktykowanie wiary jest szczególnie trudne w przypadku mężczyzn wcielonych w szeregi armii Mjanmy lub zmuszonych do przyłączenia się do bojówek takich jak Armia Wyzwolenia Kaczinu. Chrześcijańskie dzieci są na siłę nawracane na buddyzm, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się chrześcijaństwa na kolejne pokolenia. ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Erdogan przegrał wybory. Początek końca?

oprac. Antoni Rybczyński

Dominujący w tureckiej polityce od dwóch dekad obóz polityczny przegrywa wybory. Co prawda tylko lokalne, ale już podnoszą się głosy, że to schyłek rządów AKP i Recepa Tayyipa Erdogana. Czy są podstawy, by tak twierdzić?

eprasa.pl 0e52dac90d

FOT. ERDEM SAHIN/PAP/EPA

Rządząca w Turcji Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), kierowana przez prezydenta Recepa Tayyipa Erdogana, poniosła zaskakującą porażkę w wyborach lokalnych, które odbyły się 31 marca w warunkach głębokiego kryzysu gospodarczego. Co ta dramatyczna przegrana oznacza dla Erdogana, który stracił kontrolę nad wszystkimi głównymi tureckimi miastami? – pyta Cagil Kasapoglu w artykule pt. „Największa porażka Erdogana w historii" opublikowanym 2 kwietnia 2024 roku przez BBC. Dlaczego prezydent Turcji przegrał wybory lokalne i co teraz zagraża jego władzy?

Czerwona fala

Główna opozycyjna Republikańska Partia Ludowa (CHP) zdobyła 37,8 proc. głosów w całym kraju, podczas gdy AKP zdobyła 35,5 proc. CHP nie tylko zdołała pokonać AKP w ogólnokrajowym głosowaniu po raz pierwszy od 21 lat sprawowania władzy przez Erdogana. Zdobyła również największą liczbę głosów od wielu dziesięcioleci. CHP utrzymała władzę w największych miastach Turcji, w tym w Stambule, Ankarze i Izmirze – i zdobyła władzę w kilku innych ośrodkach, w tym w Bursie, czwartym co do wielkości mieście kraju. Zyskała na popularności nawet w tradycyjnie konserwatywnych centralnych regionach Turcji – zjawisko to wielu komentatorów określiło mianem „czerwonej fali" – od koloru, którym sukcesy CHP oznaczano na mapach.

Po raz pierwszy od w 2001 roku udział AKP w głosach spadł o 2 proc. poniżej udziału głównej opozycyjnej Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), która uzyskała 37,74 proc. głosów w całym kraju. CHP nie tylko umocniła się w największych metropoliach, w tym w Ankarze i Stambule, lecz także zdobyła 16 miast i prowincji, które wcześniej były kontrolowane przez AKP lub partie z nią sprzymierzone (Ezgi Akin, „Erdogan poniósł historyczną porażkę w wyborach lokalnych", Al-Monitor, 4 kwietnia 2024). Największe znaczenie ma zwycięstwo w Stambule – *de iure* nie stolicy państwa, ale jego centrum kulturalnym i gospodarczym, gdzie skoncentrowane są główne aktywa finansowe i przemysłowe. To tutaj sam Erdogan rozpoczął swoją karierę polityczną 20 lat temu, zostając burmistrzem miasta, a następnie premierem i prezydentem Republiki Turcji. Opozycja kontrolowała Stambuł już w 2019 roku, ale jej przedstawiciel – urzędujący burmistrz Ekrem Imamoglu – zdołał tym razem wygrać bez ponownego przeliczenia głosów, pokonując rywala o 11 proc. (Paweł Kuzniecow, „Ostatnie wybory Erdogana?", „Nowaja Gazeta Europa", 1 kwietnia 2024). Sinan Ulgen jest analitykiem Carnegie Endowment for International

epresa.pl 0652dac90d

Peace. „Dla Erdogana, który miał bardzo udaną przeszłość polityczną, jest to najbardziej negatywny wynik, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia" – powiedział portalowi Al-Monitor.

Poza kilkoma wyjątkami, CHP zwyciężyła w prowincjach przybrzeżnych, podczas gdy największa w kraju prokurdyjska partia Dem zwyciężyła w większości kurdyjskich miast, ograniczając sukces AKP przy urnach wyborczych do głębokich prowincji środkowej Anatolii. Wśród bolesnych porażek AKP są Bursa, czwarta co do wielkości prowincja Turcji, oraz południowo-wschodnia prowincja Adiyaman. Jedna z najbardziej dotkniętych przez zeszłoroczne trzęsienie ziemi prowincji, poparła partię rządzącą w ponad 68 proc. w majowych wyborach powszechnych. W Adiyaman frekwencja wyniosła 73 proc., co oznacza spadek o 14 proc. w porównaniu z wyborami w maju. Frekwencja w całym kraju również spadła do 75 proc., co najmniej 10 punktów procentowych mniej niż w pięciu poprzednich wyborach (Ezgi Akin, „Erdogan poniósł historyczną porażkę w wyborach lokalnych", Al-Monitor, 4 kwietnia 2024).

AKP była w stanie zabezpieczyć tylko 12 miast metropolitalnych w sercu Anatolii i straciła cały dostęp do południowych i zachodnich wybrzeży, skutecznie czyniąc ją bardziej partią wiejską niż miejskim ruchem politycznym. „Opozycja zdobyła dziesiątki nowych gmin w całym kraju, w tym pięć największych miast, co przyniesie opozycji dodatkowe środki pieniężne i niepieniężne na lepszą kampanię w dłuższej perspektywie. Turcja widziała podobne wzmocnienie platformy opozycyjnej wraz z rozkwitem opozycyjnych mediów po wyborach na burmistrza w 2019 r., kiedy Imamoglu wygrał Stambuł z budżetem w wysokości 16 mld USD" – pisze Ragip Soylu („Wybory lokalne w Turcji: Siedem rzeczy, których dowiedzieliśmy się z porażki Erdogana", Middle East Eye, 1 kwietnia 2024).

„Słaby wynik partii rządzącej był dla wielu zaskakujący po tym, jak Erdogan i AKP odnieśli zwycięstwo w majowych wyborach parlamentarnych pomimo szalejącej inflacji i chaotycznej reakcji rządu na lutowe trzęsienia ziemi, w wyniku których zginęło co najmniej 55 000 osób" (Ezgi Akin, „Erdogan poniósł historyczną porażkę w wyborach lokalnych", 4 kwietnia 2024, Al-Monitor). Było to dziewięć miesięcy po wyborach prezydenckich w maju 2023 roku, w których Erdogan zdecydowanie wygrał wyścig w drugiej turze głosowania. Ale co się zmieniło od tego czasu? „Wyborcy chcieli ukarać rząd z wielu powodów, od inflacji po politykę Ankary wobec Palestyny" – powiedział Middle East Eye Ahmet Turan Han, dyrektor generalny firmy Datailor zajmującej się doradztwem politycznym i badaniami. „Większość wyborców Erdogana albo została w domu, albo przeszła do partii prawicowych, które nie były demonizowane przez rząd" – pisze Ragip Soylu („Dlaczego Erdogan przegrał wybory lokalne w Turcji?", Middle East Eye, 1 kwietnia 2024).

Wyniki potwierdziły również rację tych, którzy krytykowali opozycję za to, że nie wystawiła odpowiedniego kandydata przeciwko Erdoganowi w majowych wyborach prezydenckich. Zamiast byłego szefa CHP Kemala Kilicdaroglu, takich osób jak burmistrz Ankary Mansur Yavas czy burmistrz Stambułu Ekrem Imamoglu. Yavas odnotował historyczne zwycięstwo w stolicy, otrzymując ponad 60 proc. głosów, podczas gdy Imamoglu uzyskał prawie 52 proc. poparcia w Stambule. W mniejszej skali strata AKP jest jeszcze bardziej namacalna, a partia traci urzędy burmistrzów w dziesiątkach dzielnic, które wcześniej były jej bastionem, w tym w Uskudar w Stambule i Kecioren w Ankarze (Ezgi Akin, „Erdogan poniósł historyczną porażkę w wyborach lokalnych", Al-Monitor, 4 kwietnia 2024).

Gospodarka, głupcze!

Tureccy wyborcy pozostali w domach z 76-procentową frekwencją. Zaledwie dziewięć miesięcy temu frekwencja wyniosła 87 proc. W Ankarze panuje zgoda co do tego, że wyborcy AKP powstrzymali się od głosowania, aby ukarać rząd za jego wyniki gospodarcze – pisze Soylu. Erdogan i jego partia tracą głosy przede wszystkim z powodu trudnej sytuacji gospodarczej w Turcji. W lutym wskaźnik skumulowanej rocznej inflacji skoczył do rekordowych 67 proc. W tym samym czasie ceny w restauracjach wzrosły o 94,5 proc., edukacja o 91,8 proc., a żywność i napoje bezalkoholowe o 71,1 proc. w ujęciu rocznym – czytamy w „Nowej Gazecie Europa".

Głównym czynnikiem, który przyczynił się do porażki partii rządzącej, był głęboki kryzys gospodarczy w kraju. W przeciwieństwie do wielu innych państw, w których koszty życia zaczęły gwałtownie rosnąć dopiero po 2022 roku, kiedy rozpoczęła się wojna Rosji z Ukrainą, kryzys gospodarczy w Turcji trwa już od 2018 roku. Inflacja w kraju przekracza 65 proc., a krajowa waluta, lira, straciła 80 proc. swojej wartości w ciągu ostatnich pięciu lat. Turecki rząd pod rządami prezydenta Erdogana jest często oskarżany o to, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ciężko jest obecnie zwykłym ludziom. „Rządząca AKP zbyt późno zdała sobie sprawę z niszczycielskich konsekwencji kryzysu gospodarczego" – powiedział BBC profesor Bahadir Türk z Uniwersytetu Haci Bayram Veli w Ankarze. Dodał, że po wygraniu wyborów prezydenckich w 2023 roku

eprasa.pl 0e52dac90d

Erdogan i jego partia byli „zbyt optymistyczni co do wyjścia z kryzysu".

Erdogan został wybrany na trzecią z rzędu kadencję prezydencką w 2023 roku i obiecał podczas kampanii odbudować gospodarkę. Eksperci twierdzą jednak, że w wyborach lokalnych w 2024 roku wyborcy wyrazili swoje negatywne nastawienie nie osobiście do prezydenta kraju, ale do partii rządzącej jako całości. Podczas kampanii wyborczej opozycja dużo mówiła o kwestii rosnących kosztów życia. Popularny burmistrz Stambułu, Ekrem Imamoglu, który walczył w wyborach z kandydatem AKP, aktywnie wykorzystywał hasło „Nasz kraj nie zasługuje na ubóstwo". W rezultacie odniósł przekonujące zwycięstwo i został wybrany na kolejną pięcioletnią kadencję. Imamoglu, który reprezentował opozycyjną CHP, oskarżył Erdogana o „wywrócenie praw ekonomii do góry nogami" (Cagil Kasapoglu, „Największa porażka Erdogana w historii. Dlaczego prezydent Turcji przegrał wybory lokalne i co teraz zagraża jego władzy?", 2 kwietnia 2024, BBC).

Gwałtowna inflacja w Turcji w ciągu ostatniego roku niesamowicie zaszkodziła elektoratowi AKP. Erdogan, w przeciwieństwie do swojej polityki przed wyborami prezydenckimi w 2023 roku, które wygrał, zdecydował się na ortodoksyjną politykę pieniężną z wysokimi stopami procentowymi i narzucił szereg środków oszczędnościowych. Emeryci, znaczący blok wyborczy, który wcześniej popierał Erdogana, są rozczarowani topniejącymi świadczeniami, które są nawet poniżej płacy minimalnej. Minimalna emerytura państwowa wynosi obecnie około 10 tys. lir tureckich (308,39 USD), podczas gdy płaca minimalna dla ogółu społeczeństwa wynosi 17 tys. lir tureckich (524,26 USD) (Ragip Soylu, „Wybory lokalne w Turcji: Siedem rzeczy, których dowiedzieliśmy się z porażki Erdogana", Middle East Eye, 1 kwietnia 2024). Han twierdzi, że jego własne badania wskazują, że część z prawie 16 mln emerytów, którzy w większości głosują na Erdogana, zbojkotowała wybory. Rząd był świadomy skarg zgłaszanych przez emerytów, ale nie mógł spełnić ich żądań, ponieważ otworzyłoby to dużą dziurę w budżecie, który jest pod ogromną presją z powodu gwałtownej inflacji (Ragip Soylu, „Dlaczego Erdogan przegrał wybory lokalne w Turcji?", 1 kwietnia 2024, Middle East Eye).

Wraz z przejściem rządu na ortodoksyjną politykę gospodarczą po majowych wyborach, bank centralny kraju podniósł stopy procentowe do 50 proc., co oznacza wzrost o 8,5 proc. Pożyczanie pieniędzy, które było stosunkowo łatwe, gdy Erdogan stanowczo sprzeciwiał się wysokim stopom procentowym, stało się znacznie trudniejsze. Wielu wyborców, którzy poparli Erdogana i AKP w wyborach w 2023 roku, widziało pogarszającą się sytuację gospodarczą. Roczna inflacja w kraju wyniosła prawie 70 proc. w lutym. Wzrost cen żywności w kraju wyniósł prawie 78 proc. w 2023 roku. Liczba ta plasuje Turcję na czwartym miejscu na świecie po Wenezueli, Libanie i Argentynie – pisze Azkin z Al-Monitor.

▶ Co na opozycji?

Ale AKP i Erdogan mieli tym razem jeszcze jeden słaby punkt: islamistyczna populistyczna Nowa Partia Dobrobytu (YRP) oferowała alternatywę dla głęboko religijnych segmentów swoich wyborców. AKP nie mogła demonizować YRP, ponieważ obie partie były w sojuszu wyborczym w majowych wyborach. YRP prowadziła populistyczną kampanię, obwiniając rząd za to, że nie zrobił wystarczająco dużo, aby przeciwstawić się Izraelowi w związku z jego krwawą inwazją i kontynuował handel z Izraelem. Partia wyraziła również rozczarowanie emeryturami, ale także wyraziła krytykę wobec ruchu na rzecz praw osób LGBTQ. „YRP otrzymała również punkty od religijnych segmentów społeczeństwa, które były krytyczne wobec polityki monetarnej Erdogana, która doprowadziła do 50-procentowego wzrostu stóp procentowych" – powiedział Han. (Ragip Soylu, „Dlaczego Erdogan przegrał wybory lokalne w Turcji?", 1 kwietnia 2024, Middle East Eye). Chociaż pozostaje ona w koalicji kierowanej przez Erdogana, partia ta wystawiła własnych kandydatów w kilku metropoliach i prowincjach, przez co kandydaci AKP przegrali z niewielkim marginesem. YRP zdobyła bastiony AKP w południowo-wschodniej prowincji Sanliurfa, która również ucierpiała w wyniku zeszłorocznych trzęsień ziemi, a także w środkowo-anatolijskiej prowincji Yozgat (Ezgi Akin, „Erdogan poniósł historyczną porażkę w wyborach lokalnych", Al-Monitor, 4 kwietnia 2024). YRP stała się trzecią co do wielkości partią w kraju z sześcioma procentami głosów w całym kraju, zdobywając 2,8 mln głosów dzięki programowi, który obwiniał rząd za kłopoty gospodarcze i brak konfrontacji z Izraelem za pomocą sankcji gospodarczych w związku z wojną w Strefie Gazy. YRP prowadzi również platformę, która jest anty-LGBTQ i antyszczepionkowa, a także odrzuca „imperialistyczną" politykę zagraniczną, która opiera się na zachodnich sojuszach, takich jak NATO (Ragip Soylu, „Wybory lokalne w Turcji: Siedem rzeczy, których dowiedzieliśmy się z porażki Erdogana", Middle East Eye, 1 kwietnia 2024).

Chociaż partia Erdogana poniosła poważną porażkę, eksperci uważają, że jest zbyt wcześnie, aby mówić o końcu jego przywództwa politycznego.

eprasa.pl 0e52dac90d

„Łącząc głosy na AKP, YRP i osób, które zbojkotowały wybory, otrzymujemy podobny poziom głosów dla partii Erdogana, jaki odnotowano w zeszłym roku" – dodaje Han w rozmowie z Middle East Eye. „Te głosy mogą bardzo szybko wrócić do Erdogana, jeśli znajdzie on sposób na zaspokojenie ich żądań dotyczących gospodarki i innych kwestii, ale są też miasta takie jak Stambuł, Ankara, Balikesir i Bursa, gdzie część wyborców AKP przeszła do CHP". Prezydentura Erdogana ma zakończyć się w 2028 roku. Choć wyborów tych nie można uznać za koniec politycznego przywództwa Erdogana, będą one stanowić poważne wyzwanie dla jego władzy. Jak ujął to sam turecki prezydent, „31 marca nie jest dla nas końcem, ale punktem zwrotnym". Erdogan obiecuje zrobić wszystko, by odzyskać poparcie swoich zwolenników. Ale także opozycja, ośmielona wynikami głosowania, wykorzysta sukces do rozszerzenia własnych wpływów poza gminy, które wygrała i spróbuje skonsolidować się jako prawdziwa polityczna alternatywa dla rządu (Cagil Kasapoglu, „Największa porażka Erdogana w historii. Dlaczego prezydent Turcji przegrał wybory lokalne i co teraz zagraża jego władzy?", BBC, 2 kwietnia 2024).

Pomimo zjednoczenia w drugich wyborach z rzędu – najpierw w wyborach prezydenckich w 2023 roku, a teraz w wyborach samorządowych w 2024 roku – turecka opozycja jest niezwykle niejednorodna. Wiodącymi siłami politycznymi w jej ramach są tradycyjnie Partia Republikańska (CHP), założona ponad sto lat temu przez Mustafę Kemala Atatürka i lewicowa prokurdyjska Ludowa Partia Demokratyczna (HDP). Oprócz nich, tuzin innych partii islamistycznych, nacjonalistycznych, lewicowych i liberalnych, które nie odgrywają znaczącej roli na poziomie krajowym. Są one wspierane głównie przez turecką klasę średnią, mieszkańców dużych miast, młodych ludzi i wielu członków kurdyjskiej mniejszości etnicznej w Turcji. Ta baza wyborcza wyjaśnia również wyniki: opozycja jest silna na wschodzie kraju, gdzie mieszkają Kurdowie, w dużych miastach i regionach wypoczynkowych na południu. Partia rządząca i islamiści, przeciwnie, są silni na północy, w głębi lądu i na obszarach wiejskich (Paweł Kuzniecow, „Ostatnie wybory Erdogana?", „Nowaja Gazeta Europa", 1 kwietnia 2024).

Republikańska Partia Ludowa została założona przez ojca-założyciela nowoczesnej Turcji, Mustafę Kemala Atatürka w 1923 roku i jest świecką siłą polityczną o nacjonalistycznych poglądach. Jej tradycyjni wyborcy należą do klasy średniej i mieszkają w dużych miastach. Od czasu ustanowienia nowoczesnej Republiki Tureckiej konserwatyści i zaangażowani muzułmanie postrzegali CHP jako zagrożenie dla ich wartości: islamskiej cnoty i pobożności. Z kolei CHP oskarżała konserwatywne ugrupowania polityczne, w tym AKP, o promowanie idei islamistycznych. Podział między społecznościami religijnymi i świeckimi był czynnikiem definiującym turecką politykę przez wiele dziesięcioleci. W ostatnich latach opozycyjna CHP zaczęła jednak zyskiwać popularność nawet wśród bardziej konserwatywnych i religijnych obywateli – i jest to jedna z przyczyn jej obecnego zwycięstwa (Cagil Kasapoglu, „Największa porażka Erdogana w historii. Dlaczego prezydent Turcji przegrał wybory lokalne i co teraz zagraża jego władzy?", BBC, 2 kwietnia 2024).

▶ Turcja nie Rosja, Erdogan nie Putin

Walka o potencjalnego następcę Erdogana stopniowo nabiera tempa. Analitycy aktywnie dyskutują nad kandydaturą Selcuka Bayraktara, zięcia Erdogana i dyrektora technicznego tureckiej firmy zbrojeniowej Baykar. Nie ma jeszcze informacji, czy sam Bayraktar chce zaangażować się w politykę i jak Recep Erdogan osobiście się do tego czuje, ale ze względu na swoje osiągnięcia w przemyśle obronnym, które są znane większości wyborców, Bayraktar wygląda na silnego kandydata na następcę. Innym nazwiskiem pojawiającym się w plotkach jest Hakan Fidan, były szef tureckiego wywiadu i obecny minister spraw zagranicznych. Jest on postrzegany w Turcji jako twórca nowoczesnej polityki bezpieczeństwa republiki. Fidan byłby szczególnie dobrym kandydatem dla tradycyjnie lojalnych nacjonalistów Erdogana, których priorytetem jest bezpieczeństwo i stabilność (Paweł Kuzniecow, „Ostatnie wybory Erdogana?", „Nowaja Gazeta Europa", 1 kwietnia 2024).

„Pomimo wszystkich spekulacji i krytyki, turecka demokracja pozostaje silna z głęboko zakorzenionymi tradycjami demokratycznymi. W niedzielę wieczorem nie doszło do przemocy, ponieważ zwolennicy opozycji świętowali swoje zwycięstwo w całym kraju, a Erdogan pokornie przyznał się do porażki, gratulując opozycji zwycięstwa. Pojawiły się głosy krytyki wobec rządu, zwłaszcza na południowym wschodzie, gdzie głosowali funkcjonariusze policji i żandarmerii, którzy zostali tam przeniesieni w celu ochrony miast, mimo że niektórzy z nich nie mieszkają tam na stałe. Ale już teraz jest jasne, że Turcja nie należy do ligi autokracji, takich jak Rosja czy Chiny, gdzie nawet najniższy urząd polityczny nie może zostać zmieniony w drodze wyborów" – pisze Ragip Soylu („Wybory lokalne w Turcji: Siedem rzeczy, których dowiedzieliśmy się z porażki Erdogana", Middle East Eye, 1 kwietnia 2024). ■

eprasa.pl 0e52dac90d

Tomasz Sakiewicz

Jedni chcą wolności, drudzy świętego spokoju

Platforma Obywatelska nie przejęła władzy dlatego, że ludzie uwierzyli w obietnice Donalda Tuska – kwotę 60 tys. wolną od podatku czy paliwa po 5,19 zł. Gdyby brali to za prawdę, nikt by w wyborach samorządowych na PO nie głosował, bo oszustwo jest zbyt ewidentne. Myślę, że większość elektoratu partii Tuska od początku w to nie wierzyła albo przynajmniej do tego typu obietnic nie przywiązywała większej wagi. One nie były dla nich. One pojawiły się po to, żeby osłabić to, czym PiS przekonało wielu wyborców do siebie: zdolnością do przeprowadzania skutecznych programów społecznych. Powstała inflacja obietnic, w której kolejne programy partii Kaczyńskiego po prostu utonęły. Zabieg krótkotrwały, ale na raz wystarczył. Potem trzeba wszelkimi dostępnymi środkami zdusić opozycję i tak jechać przez kolejne lata. Czy to się może udać, to inna sprawa.

Co więc wygoniło z domów miliony ludzi, które doprowadziły do największej frekwencji w wyborach po 1989 roku? Trzeba dodać, że stało się to w wyborach, w których PO nie zdobyło nawet jednej trzeciej głosów, ale dzięki mydleniu oczu przez pozostałych koalicjantów, przejęło władzę.

Platforma miała swoją opowieść o wolności. Wolności, dla której zagrożeniem miał być PiS. To poruszyło szczególnie młodych ludzi, dla których wolność jest czymś na tyle abstrakcyjnym, by kupić ją w każdej formie, i na tyle emocjonującym, by się zaangażować. PO miała tu łatwiej niż PiS, bo była w opozycji, a to władza zawsze ogranicza. Platforma miała swój nurt liberalny (tylko w hasłach, ale kiedyś jednak był). PiS jako partia konserwatywna chętnie mówi o ograniczeniach i łatwo wpada w pułapkę partii chcącej ludziom kraść wolność. Dowodów na to miała dostarczyć choćby sprawa aborcji. To, że najszybciej i najbardziej masowo wprowadzały ją kiedyś kraje komunistyczne, dla współczesnych nie miało już większego znaczenia.

Oczywiście umiłowanie wolności Donalda Tuska poznali na swojej skórze kibice, na których lider PO ponad dekadę temu nasłał policję, czy narodowcy bici i kopani na marszach niepodległości. Takich przykładów można z tego okresu dostarczyć dużo więcej. Problem w tym, że PiS nie potrafił stworzyć swojej opowieści o wolności. Wyborcy tej partii w pewnej części byli elektoratem socjalnym, ale u swojego zarania – przede wszystkim patriotycznym i właśnie wolnościowym. Zresztą polski patriotyzm zawiera niezbędny komponent wolności i bez niego nie istnieje. Fakty są takie, że dzisiaj największym zagrożeniem dla wolności jest ekipa Donalda Tuska, a PiS nie potrafi o tym opowiadać albo robi to za słabo. Ataki na media, aresztowania ludzi, ograniczenia w stylu życia (likwidacja silników spalinowych, ingerencja w rolnictwo, wychowanie dzieci, a nawet dietę) – to wystarczająco dużo, by PiS stworzył swoją opowieść o wolności. Taką, której Tusk boi się najbardziej. On dokładnie wie, jakie to paliwo i co tym można wygrać. Ma tu zresztą jeszcze jeden problem: przez dwie kadencje swoich rządów straszył wszelkimi kataklizmami w razie dojścia PiS do władzy. Wielu ludzi nie wierząc w jego obietnice, trochę się wystraszyło i na wszelki wypadek wybierało jednak święty spokój. Jeżeli dziś jedni poczują, że muszą bronić wolności, to drudzy ten święty spokój stracą. A to byłaby już dla Tuska katastrofa. ■

ATAKI NA MEDIA, ARESZTOWANIA LUDZI, OGRANICZENIA W STYLU ŻYCIA – TO WYSTARCZAJĄCO DUŻO, BY PIS STWORZYŁ SWOJĄ OPOWIEŚĆ O WOLNOŚCI. TAKĄ, KTÓREJ TUSK BOI SIĘ NAJBARDZIEJ. ON DOKŁADNIE WIE, JAKIE TO PALIWO I CO TYM MOŻNA WYGRAĆ.

eprasa.pl 0e52dac90d

Strefa Wolnego Słowa

Albicla.com

eprasa.pl 0e52dac90d